

E O I N D E M P S E Y

B I A Ł A

R Ó Ź A

C Z A R N Y

L A S



EOIN DEMPSEY

# BIAŁARÓŻA, CZARNY LAS

Tłumaczenie  
Jakub M. Rawinis

OŚWIĘCIM 2019

Tytuł oryginału  
*White Rose, Black Forest*  
Copyright © 2019 by Eoin Dempsey  
All rights reserved  
Copyright © for Polish edition  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2019  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:  
Dariusz Marszałek  
Korekta:  
Magdalena Zięba-Stepnik  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Dystrybucja: ATENEUM [www.ateneum.net.pl](http://www.ateneum.net.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-036-0

Skład wersji elektronicznej:  
Kamil Raczyński

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Od autora

Mapa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Podziękowania

O autorze

Mojemu synowi Robbiemu

## **OD AUTORA**

*Biała Róża, Czarny Las* to historia inspirowana wydarzeniami autentycznymi. Niektóre fakty oraz chronologia zdarzeń zostały jednak zmienione dla potrzeb opowieści.



# ROZDZIAŁ 1

## *Schwarzwald, południowo-zachodnie Niemcy, grudzień 1943 r.*

To chyba było odpowiednie miejsce, by umrzeć. Znała tu kiedyś każde pole i drzewo, każdą dolinę, tu skały nosiły imiona, tu miejsca spotkań opisywano w tajemnych językach, których dorośli nie rozumieli. Wartkie górskie strumienie lśniły tu w letnim słońcu jak wypolerowana stal. Tutaj czuła się bezpiecznie. Ale teraz nawet to miejsce wydawało się zatrute, zrujnowane, a całe jego piękno i czystość – zaduszone na śmierć.

Śnieg pokrywał ziemię grubą kołdrą, nie ustępując w żadnym kierunku, jak okiem sięgnąć. Kobieta zamknęła oczy, robiąc parę sekund przerwy. Nawiedzone wycie wiatru, szelest w gałęziach drzew uginających się pod ciężarem śniegu, jej przyspieszony oddech, bicie serca. W górze widniało nocne niebo. Ruszyła dalej, jej kroki znów zachrzęściły. Gdzie było najlepsze miejsce, żeby to zrobić? Kto by ją odnalazł? Myśl o tym, że kilkoro dzieci, bawiąc się w śniegu, natrafi na jej ciało, była nie do zniesienia. Może lepiej było zawrócić, odpuścić choć na jeden dzień? Łza pojawiła się w kącie jej oka i spłynęła po odrętwiałej skórze twarzy. Kobieta szła dalej.

Padający śnieg zaczął gęstnieć, więc poprawiła szalik, zakrywając twarz. Może żywiły ją zabiorą. To byłby najlepszy koniec – powrót do natury, którą tak bardzo kochała. Dlaczego w ogóle nadal szła? Co miałyby jej dać taka wędrówka przez śniegi? Na pewno przyszedł już czas, żeby po prostu z tym skończyć, położyć kres cierpieniu. Sięgnęła do kieszeni i poczuła przez rękawiczkę dotyk gładkiego metalu – stary rewolwer ojca.

Nie, jeszcze nie. Wciąż szła przed siebie. Nigdy już nie zobaczy chaty. Nie zobaczy już zresztą niczego i nikogo. Nie dowie się, jakim wynikiem zakończy się wojna, nie będzie świadkiem upadku narodowych socjalistów, nie zobaczy, jak tamten szaleniec odpowiada przed sądem za swoje zbrodnie. Pomyślała o Hansie, jego pięknym obliczu, szczerym spojrzeniu i niewyobrażalnej odwadze w sercu. Nie miała nawet okazji ostatni raz go przytulić, wyznać, że to za jego sprawą uwierzyła, że na tym groteskowym świecie może jeszcze istnieć miłość. Ucięli mu głowę, wrzucili do trumny razem z ciałem i pochowali obok siostry i najlepszego przyjaciela.



Śnieg ciągle sypał, ale ona nie ustawała. Z lewej strony mijając leśne drzewa, wspinała się na szczyt wzgórza. Jej oczy już przywykły do ciemności i coś w oddali zwróciło jej uwagę – kopczyk w śniegu, oddalony o niecałe dwieście metrów. Ciało, jak sterta pomiętych szmat na nieskazitelnej bieli. Nie prowadziły do niego żadne ślady. Nie ruszało się, ale wciąż przypięty spadochron powiewał na wietrze, liżąc śnieg jak spragnione zwierzę. Kobieta rozejrzała się instynktownie, choć od wielu dni nie widziała żywej duszy. Ostrożnie podeszła bliżej, a zakorzeniona w niej paranoja kazała jej traktować każdy cień, każdy powiew jako śmiertelne zagrożenie. Ale nie było tam nic i nikogo.

Śnieg zbierał się na nieruchomym ciele mężczyzny, którego sporej części prawie nie było już widać spod warstwy bieli. Oczy miał zamknięte. Odgarnęła mu śnieg z twarzy i sprawdziła puls. Przez skórę szyi dało się poczuć bicie serca. Oddech buchał spomiędzy warg białymi jak lód kłębami, ale oczy nieznajomego pozostawały zamknięte. Kobieta się cofnęła, rozpaczliwie wyglądając jakiejś pomocy. Była całkiem sama. Najbliższy dom należał do niej – była to chata odziedziczona po ojcu – ale dzieliły ją od niego prawie trzy kilometry. Do najbliższej wsi pozostawało co najmniej osiem. W takich warunkach to odległość nie do przejścia, nawet gdyby mężczyzna był przytomny. Odgarnąwszy śnieg z jego piersi, odsłoniła mundur Luftwaffe z dystynkcjami kapitana. Jasne, że to był jeden z nich – tych potworów, które zniszczyły kraj i odebrały jej wszystko, co kochała. Kto by się dowiedział, gdyby pozwoliła mu tu umrzeć? Tak zwyczajnie by go tu zostawiła. Wkrótce oboje będą martwi i nikt się nigdy niczego nie dowie. Po prostu jeszcze dwa ciała w śniegu dołączą do całego nawału. Z mozołem cofnęła się o kilka kroków. Jej nogi przestały się poruszać, a zanim jeszcze sobie uświadomiła, że już podjęła decyzję, znów nachylała się nad nieznajomym.

Poklepała go po policzku i zawołała. Podciągnęła mu powieki, ale jedyną reakcją było ciche stęknienie. Kapitan Luftwaffe opierał się o plecak, głowa zwisała mu odrzucona w tył, ręce były rozrzucone na boki. Był wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt, a ważyć mógł prawie dwa razy tyle co ona sama. Szpon niepokoju wbił się w nią, gdy pomyślała o niemożliwości zanieśienia go do chaty. Nie dało się. Mimo wszystko usiłowała go unieść, ale ledwo zdołała pokonać parę cali, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i poślizgnęła się, upuszczając mężczyznę z powrotem na śnieg. Jego plecak musiał ważyć co najmniej dwadzieścia kilo, a spadochron – jeszcze z pięć. Ten ostatni mógł na razie zostać, ale plecaka trzeba było się pozbyć. Po kilku sekundach prób i

błędów odpięła paski i wyciągnęła plecak spod mężczyzny, przez co jego ciało z głuchym hukiem opadło na śnieg.

Odstawiła plecak na bok i spojrzała na niebo. Śnieg przybierał na sile. Nie zostało im wiele czasu. Znowu sprawdziła puls mężczyzny. Wciąż był silny, ale na jak długo? Impuls kazał jej wsunąć dłoń do kieszeni jego kurtki. Wyjęła dokumenty. Nazywał się Werner Graf, pochodził z Berlina, a w portfelu miał zdjęcie kobiety, pewnie żony, pozującej z dwiema uśmiechniętymi córeczkami w wieku na oko trzech i pięciu lat. Sam miał lat dwadzieścia dziewięć – był więc od niej trzy lata starszy. Z płuc kobiety buchnął głęboki oddech, gdy wstała, by przyjrzeć się Wernerowi Grafowi. Nauczyła się pomagać ludziom, na tym polegała jej praca. Tym właśnie kiedyś była – i znowu mogła zostać, choćby tylko na kilka godzin. Z powrotem schowała dokumenty do kieszeni Grafa, zanim znów go obeszła. Wsunęła mu rękę pod pachy i dźwignęła, ze wszystkich sił wytężając każdy mięsień. Od pasa w górę ranny się poruszył, ale nogi utknęły mu w śniegu i wydał z siebie głośny skowyt bólu, kiedy wyrwały się na wolność. Wciąż nie otworzył oczu. Położyła go na plecach i obeszła, by zbadać nogi. Spodnie miał podarte i Franka aż się wzdrygnęła, wyczuwając pod skórą nacisk połamanych kości. Obie nogi były złamane poniżej kolana. Być może kości strzałkowe, a na pewno piszczele. Po prawidłowym nastawieniu z czasem się zrosną, ale na razie nie będzie mógł chodzić.

Być może lepiej by było pozwolić mu spokojnie odejść we śnie, umrzeć tu we śniegu. Podeszła do plecaka i otworzyła. W środku było kilka zmian odzieży i kolejne dokumenty, które odłożyła na bok. Na dnie znalazła zapalki, prowiant, wodę, śpiwór i dwa pistolety. Zastanawiała się, z jakiej racji pilot Luftwaffe miałby dźwigać takie rzeczy. Pistolety? Może miał skakać na tyłach nieprzyjaciela we Włoszech, ale to było setki kilometrów stąd. Czasu było niewiele. Marnowanie go na pytania mogłoby kosztować Wernera Grafa życie. Pomyślała o jego żonie i córkach, nieświadomych zbrodni, jakie być może popełnił w imieniu Rzeszy.

Sama nie miała przy sobie wiele – tylko nabity rewolwer. Nie spodziewała się, że tej nocy będzie potrzebować czegokolwiek więcej.

Powróciły wspomnienia śnieżnych zim młodości, czasu spędzanego na tym właśnie polu. Linia drzew, którą mijała, była oddalona tylko o kilkaset metrów, a dla Wernera Grafa odległość ta mogła oznaczać różnicę pomiędzy życiem a śmiercią. Gdyby tam wylądował, nigdy by go nie odnalazła – nawet zakładając, że przeżyłby takie lądowanie. Wyjęła z plecaka śpiwór, otworzyła i przykryła rannego, zanim nachyliła się ku jego twarzy.

– Mam nadzieję, że warto cię ratować – wyszeptała. – Robię to dla twojej żony i dzieci.

Pole, na którym się znajdowali, leżało na płaskowyżu, linia drzew prowadziła w dół stoku do doliny. Iglaki przykrywał śnieg, naniesiony do głębokości trzech metrów lub więcej. Dotarcie do drzew zajęło jej minutę albo dwie. Przykucnęła i zaczęła kopać w śniegu. Pył był miękki, więc robiła szybkie postępy. Nikt nie nadchodził. Śnieżna jama będzie ich jedyną szansą na przetrwanie nocy. Myśli o skończeniu ze sobą mogły poczekać, dopóki nie uratowała życia jemu.

Poszła rzucić okiem na mężczyznę. Nadal żył. W głębi jej duszy zamigotało nikłe światelko, jak odległa świeca w ciemnej grocie. Wróciła do otworu, nie zastanawiając się, w jaki sposób sprowadzi tam rannego. Skupiała się tylko na kopaniu, jedna garść za drugą. Po dwudziestu minutach śnieżna jama była już wystarczająco duża. Franka spuściła się w dół, własnym ciałem wyrównując śnieg. Dłoni ukształtowała półkę, a przyniesionym z zewnątrz długim patykiem wydlubiła w sklepieniu otwór wentylacyjny.

Wróciła tam, gdzie leżał Werner, zabrała plecak i śpiwór, zniosła je do śnieżnego schronienia. Było dość długie, żeby mężczyzna mógł tam leżeć, przestrzeni wystarczająco wiele, by usiąść. Wystarczy. Poszła z powrotem do rannego. Musiało być już po północy. Względne bezpieczeństwo poranka wydawało się odległe o całe lata. Nie było sposobu, żeby przemieścić mężczyznę dalej niż jama, dopóki nie minie śnieżnica. Podniosła nylonową czaszę spadochronu, wciąż przytwierdzoną do pasków na ramionach rannego, i pociągnęła. Na twarz wypełził mu odrażający grymas bólu, gdy jego ciało ślizgało się po śniegu. Kobieta znów chwyciła spadochron, ciągnąc najmocniej, jak umiała. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ale przeciągnęła go jeszcze o dwa metry. Dało się. Zaiskrzyła w niej nadzieja, rozlewając po umęczonym ciele strumienie adrenaliny. Znów pociągnęła, i jeszcze raz. Zajęło jej to dwadzieścia minut. Pod grubym szalem i płaszczem była mokra od potu, ale zdołali dotrzeć do skraju jamy. Wtedy nawiedziło ją coś w rodzaju poczucia triumfu, pierwszy raz od czasu tak długiego, że zdawał się całym życiem. Może od czasu pierwszych ulotek Białej Róży, kiedy ogarnęła ich wszystkich ekscytacja płynąca ze stanięcia po właściwej stronie, gdy po raz pierwszy od pokolenia wizja lepszej przyszłości dla narodu niemieckiego zdawała się prawie realna.

Werner Graf wciąż był nieprzytomny. Nic nie mogło go obudzić. Nie tej nocy. Cel – sprawić, by znów otworzył oczy – pchał kobietę naprzód. Nie liczyło się już, kim on był, a tylko, że był człowiekiem, jeszcze żywym. Odpoczęła parę sekund, po czym po zbudowanej przez siebie pochylni

zepchnęła go do jamy. Znowu zajęczał. Gdy pchała go w dół, kości jego nóg wydały obrzydliwy trzask.

Śnieg nadal sypał z ciemnego nieba, wiatr wył jak wygłodniały wilk. Jama rozświetliła się, gdy kobieta roznieciła zapalną, wyjętą z plecaka rannego. Wcześniej niezbyt dokładnie mu się przyglądała. Był wtedy tylko sponiewieranym ciałem, nie zaś mężczyzną. Przystojny, nieogolony, z krótkimi brązowymi włosami. Zgasła zapalną i sięgnęła, by owinąć rannego śpiworem. Położyła się obok, słyszała dźwięk jego płytkich oddechów, a w piersi głucho dudnienie serca. Potrzebowali nawzajem ciepła swoich ciał, by przetrwać noc. Otoczyła nieznajomego ramieniem. Nie dotykała w ten sposób żadnego mężczyzny od śmierci Hansa przed dziesięcioma miesiącami. Wyczerpanie wzięło nad nią górę i zapadła w głęboki sen.

Krzyk nią wstrząsnął, wyrwał ze schronienia dawanego przez sen. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, gdzie jest i co się dzieje. Mrok jamy tłumił jej zmysły, aż spojrzała w górę, ku otworowi nad głową rannego. Teraz widać było światło księżyca. Głowa mężczyzny przewróciła się na bok. Ciało wciąż miał ciepłe. Coś mu się śniło. Kobieta usadowiła się znów obok niego, wykorzystując jego ramię jako poduszkę. Oczy właśnie jej się zamykały, gdy mężczyzna znów wrzasnął:

– Nie, proszę, nie! Proszę, przestań!

Krew zastygła jej w żyłach. Mężczyzna bez wątpienia krzyczał po angielsku.

## ROZDZIAŁ 2

Leżała bez ruchu, sparaliżowana szokiem. Z ust mężczyzny nie wydobyły się już żadne inne słowa, oczy miał wciąż zaciśnięte. Nadal panowała noc. Kobieta dalej leżała obok rannego, kimkolwiek był. Jego pierś unosiła się w rytm oddechu, teraz już wyraźniejszego. Już go uratowała, ale co go mogło czekać? Próbowwała przekonywać sama siebie, że naprawdę był on Wernerem Grafem. Niby jakim cudem? Który oficer Luftwaffe krzyczałby przez sen po angielsku? W żadnym razie nie znała biegle tego języka, ale znała gładki rytm angielskich wyrazów, nietrudno było je rozpoznać. Co to za człowiek i co by się z nim stało, gdyby przekazała go policji? Oznaczałoby to wydanie go w ręce Gestapo. Miał na sobie mundur Luftwaffe. Jeśli był Brytyjczykiem lub Amerykaninem, nie ulegało wątpliwości, że zostałby potraktowany jako szpieg i rozstrzelany. Wolałaby umrzeć niż przyłożyć rękę do gestapowskich rządów terroru. A więc co powinna zrobić?

Podniosła się z jego ciała i niepewnie wypełzła ze śnieżnej jamy. Lodowate powietrze kąsało jej odsłoniętą twarz i wydawało się niemal płynne, gdy je wciągała do płuc. Śnieg przestał padać. Chmury, uprzątnięte jak zabrudzony obrus, odsłoniły gwiazdy płonące na atramentowej czerni nieba. Wiatr złagodniał do delikatnego łaskotania na gałęziach drzew. Wszystko inne pozostawało nieruchome. Co by się stało, gdyby go zostawiła? Czy w ogóle wybudziłby się ze snu? Czy po odzyskaniu przytomności zdołałby choćby wydostać się z jamy? Pole, przez które go przywlekła, było już wygładzone, piękne. Każdy mógłby przejść obok kryjówki i nawet się nie zorientować, że tam siedzieli. Ale nadchodził poranek. Byli tu odizolowani. W tym miejscu rzadko spotykało się ludzi, ale nie było to niemożliwością. Kobieta szacowała, że zostały jej co najmniej trzy godziny, zanim niskie zimowe słońce wypełni nad horyzont, by oświetlić las – tylko trzy godziny, nim ktoś zdoła ich dostrzec. Może się na nich, brnących z wysiłkiem przez śniegi, natknąć narciarz biegowy, a wtedy nie będzie już do niej należeć moc decydowania o czymkolwiek. Nieznajomy wpadnie w ręce gestapowców przy jedynomyślności obcych. Zawsze łatwiej było stanąć po stronie Gestapo – za to obywatel dostałby nagrodę, a za sprzeciw zostałby wtrącony do więzienia. Nadprzyrodzonej siły wymagało niewykonanie ich poleceń. Na tym polegał geniusz nazistowskiego systemu:

postępowanie w sposób przyzwoity wymagało wprost niewyobrażalnego męstwa. Niedoniesienie na własnych sąsiadów było równie niebezpieczne jak działalność aspołeczna, którą tak bardzo interesowało się Gestapo. Znaczyło to, że wszędzie mieli szpiegów. Znaczyło, że „niemieckie spojrzenie” – szybki, ukradkowy rzut oka, by się upewnić, że nikt nie patrzy – stanowiło obecnie część codziennego życia.

Do kobiety powróciło widmo wcześniejszych zamiarów. Spodziewała się, że nazajutrz odnajdą jej ciało, tego właśnie chciała. Mogłaby się zapuścić w głąb lasu, gdzie nikt by na nią nie natrafił przez wiele miesięcy, aż ciało odpadłoby od kości, przyszłym znalazcom pozostawiając jedynie biały szkielet. Teraz chyba nie miała innego wyjścia niż porzucić te plany, a zamiast tego pomóc mężczyźnie. Pozostawienie go w jamie oznaczałoby dla niego śmierć. Wydanie go władzom – tak samo. W dodatku musiałaby żyć ze świadomością, że przyłożyła rękę do wprowadzania w życie wypaczonej woli Gestapo i reżimu, któremu służyła. Jeśli zaczeka do świtu, może spotkać kogoś, kto wymusi na niej jakieś działanie, a wtedy ranny umrze, a ona zapewne razem z nim. Wydawało się, że w ogóle nie istniał żaden wybór.

Śnieg zasypał ślady, które pozostawiła, docierając w to miejsce, ale te wzgórza i łąki, zaśnieżone czy nie, były jej znajome. Ruszyła w drogę powrotną do chaty. Zajmie jej to ponad godzinę, tyle samo powrót do rannego. Szpieg czy zbiegły jeniec? Ale jeżeli jeniec, to czemu miałby skakać z samolotu nad terytorium Rzeszy? Może jego maszynę zestrzelili albo zdarzyła się jakaś awaria, zmuszając go do ewakuacji. Bo inaczej skąd miałby się tu wziąć, w samym środku gór? Fryburg leżał tylko około piętnastu kilometrów stąd. Może zwiąło go z kursu. Ale przecież idąc w tę stronę, nie słyszała samolotu ani nie widziała na niebie ognia artylerii przeciwlotniczej. Naloty bombowe stawały się coraz częstsze, nawet tutaj. Myśli o spadających bombach przyniosły ze sobą wspomnienie o ojcu. Zaraz potem wrócił ten sam ból, który wygnał kobietę w to miejsce, z jego rewolwerem w kieszeni, lecz pamięć o nieznanym w śnieżnej jamie kazała jej wrócić myślami do teraźniejszości i stawiać jedną stopę przed drugą.

Zeszła w dół wzgórza, na którym znalazła mężczyznę, tą samą drogą, którą przyszła. Już wkrótce nie widziała ani jamy, ani drzewa, pod którym ją wykopała.

– Spróbuj nie martwić się rzeczami, na które nie masz wpływu – powiedziała na głos.

Dobrze było słyszeć własne myśli, czuła się prawie tak, jakby ktoś jeszcze z



nią tu był i nie zabierała się samotnie do ratowania życia rannego.

– Co ty wyprawiasz? – powiedziała. – Dlaczego zadajesz się z nieznanym mężczyzną? – Słowa te brzmiały, jakby wypowiadał je ktoś inny.

Była już bliska wyczerpania, gdy chata pojawiła się w polu widzenia. Drzwi nie były zamknięte na klucz, otworzyła je pchnięciem. Nie spodziewała się, że jeszcze tu wróci, ale pozostawiła dom w stanie nieskazitelnej czystości – w prezencie dla tych, którzy go znajdą. Wchodząc, zdjęła rakiety śnieżne i zostawiła przy drzwiach. Ściągnęła rękawiczki, po czym zaczęła zmagać się niezdarnie z zapalkami na pobliskim stoliku. Pokój zajaśniał od zapalanej przez nią świecy i przelotnie dostrzegła siebie w lustrze, nim oderwała spojrzenie. Nie miała ochoty patrzeć w twarz własnemu odbiciu. W kominku leżały wygasłe węgle ostatniej nocy. Drewno było za domem. To będzie do zrobienia później. Przeszła przez korytarz do części mieszkalnej i znalazła butelkę brandy, którą wepchnęła do kieszeni płaszcza. Złapała się oburącz za głowę, szukając w zakamarkach umysłu innych rzeczy, które mogłyby się jej przydać, gdy będzie tu wracała z rannym. Już samotna wędrowka była dość męcząca. Zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle możliwe. Miała ochotę usiąść i zamknąć oczy, żeby choć na chwilę odpocząć.

Nalała sobie filiżankę wody i wychyliła w parę sekund. Odłożyła naczynie, włożyła do kieszeni kuchenny nóż. Drzwi do sypialni, w której spała ostatniej nocy, były uchylone, łóżko nieposłane, pościel złożona w schludną stertę u jego końca. Łóżko było niewyobrażalnym luksusem, w tej chwili nie pragnęła nic więcej. Ale wiedziała, co oznaczałby jej odpoczynek dla mężczyzny w śniegu. Zamknęła drzwi sypialni, wyszła tylnym wejściem i znów zapuściła się w noc. Drwa zebrane w poprzednim tygodniu leżały nietknięte, obsypane lekką powłoką śniegu, którą wiatr naniósł pod zadaszenie na opał. Dostrzegła sanie, na których przyciągnęła drewno z lasu. Były solidne, z pewnością udźwignęłyby ciężar mężczyzny. Przeciągnęła je wzdłuż bocznej ściany domu, po czym wróciła do środka.

Na ścianie zegar z kukułką wybił piątą rano. Wynurzyła się zeń pięciocentymetrowa figurka mężczyzny i pięć razy uderzyła młotkiem w dzwonek. Fredi, jej brat, uwielbiał ten zegar. Tylko przez wzgląd na radość, jaką sprawiało mu to głupie urządzenie, jeszcze go nie rozwaliła. Wszystko, co on kochał, wszystko, czego kiedykolwiek dotknął, było dziś na wagę złota.

– Fredi – odezwała się, gdy człowieczek zniknął w środku zegara. – Widzisz, co robię, prawda? Potrzebuję twojej pomocy. Muszę cię czuć przy sobie. Bez ciebie nie dam rady.

Od miesięcy nie wymawiała na głos jego imienia, nie pozwalała sobie na to. To było dla niej za wiele. Najlepiej było zapomnieć – puścić przeszłość w niepamięć, by lepiej radzić sobie z cierpieniem. Ale teraz go potrzebowała, musiała znów poczuć miłość. Próbowwała przypomnieć sobie uczucie miłości, usiłowała wydobyć ją z głębi siebie, tak jak czerpie się drogocenną wodę z pustynnej studni. Zacisnęła dłoń w pięść, wzięła głęboki oddech i otworzyła frontowe drzwi.

Wiatr ucichł. Powietrze było spokojne jak sama śmierć. Kobieta złapała za sznurek przytwierdzony do przedniej części sań i ruszyła przez śniegi. Ślady jej stóp były wciąż widoczne i do następnego opadu miały takie pozostać. Każdy mógłby pójść jej śladem. Koc mroku skryje ją i rannego jeszcze przez kilka godzin, ale potem staną się widoczni dla każdego porannego spacerowicza. Jakie wtedy znajdzie wytłumaczenie dla ciągnięcia na saniach po śniegu wyczerpanego lotnika Luftwaffe? Pomyśli o kłamstwach, gdy będzie ich potrzebować. Na razie liczyło się tylko stawianie nogi za nogą.

Lęk, że zostanie mężczyznę martwego, nękał ją przez całą drogę powrotną. A co, jeżeli Gestapo było na jego tropie? Co, jeśli widzieli jego spadochron, ale śnieżycy nie pozwoliła im go aresztować? W takiej sytuacji teraz na pewno zmierzaliby już na pole. Powróciły do niej okrutne wspomnienia: przesłuchania, cele więzienne, zimne, szare oczy przesłuchującego ją gestapowca. Ulga przyszła dopiero wtedy, gdy kobieta zobaczyła pole. Nagłący problem uniknięcia rozpoznania zagłuszał jej myśli.

Pole było równie puste, jak wtedy, gdy je opuściła. Nadstawiła uszu. Żadnego dźwięku. Cisza nocy była wymowna. Drzewa stały nieruchomo, śnieg leżał gęsty i ciężki. Odczekała dwie minuty, aż dotarło do niej, że traci czas. Nikt nie widział rannego, ale zobaczy, jeśli ona nie zacznie szybko działać. Wyjrzała zza drzewa, za którym się kryła, i ruszyła przez pole ku śnieżnej jamie. Spostrzegłszy, że wejście było już wąskie tylko na kilkanaście centymetrów, uklękła i je poszerzyła. Mężczyzna wciąż leżał na śpiworze, który wyjęła z jego plecaka, pierś wciąż unosiła się od oddechu. Nadal był nieprzytomny.

– Hej! – powiedziała. – Nie śpi pan? Słyszysz mnie pan?

Jej głos zdawał się odbijać echem w pustce nocy. Mężczyzna się nie poruszył. Sięgnęła w dół i szturchnęła go w ramię – wciąż bezskutecznie. Słońce niedługo wszędzie. Trzeba to zrobić natychmiast. Chwyciła nylonowe linki spadochronu i pociągnęła, aż napięły się pod ciężarem rannego, wbiła stopy w śnieg i z wysiłkiem pociągnęła. Stopniowo ciało mężczyzny zaczęło sunąć w górę pochylni, wypełzając ze śnieżnej jamy. Kobieta runęła obok, ciężko chwyciła



powietrze, serce jej waliło. Ranny był na zewnątrz. Pozostało tylko wciągnąć go na sanie i przeciągnąć trzy kilometry do chaty. To wszystko.

Leżała na śniegu, wpatrzona w błyskające gwiazdy. Wyczerpanie dawało o sobie znać – pragnienie snu było przytłaczające. Nie byłoby nic wspanialszego niż mu się poddać, zamykając oczy. Ciało miała obolałe, barki i ramiona wciąż ją paliły po wyciągnięciu mężczyzny z jamy. Ale musiała próbować dalej. Zatrzymanie się w tym momencie oznaczało klęskę. Nie mogła na to pozwolić. Sanie były długie na metr dwadzieścia, mężczyzna – na prawie dwa metry. Gdyby nie złamane nogi, ciągnęłaby go za sobą, pozwalając, by kończyny wlekły mu się po śniegu. Nie mogła przecież pozwolić, aby to głowa zwisała poza krawędź sań, nieprawdaż? Ustawiała sanie równolegle do jego ciała. To była dla niego jedyna szansa. Skoro nogi muszą się wlec, niech już tak będzie. Może istniał sposób, żeby złagodzić jego cierpienia.

Plecak wciąż leżał w śnieżnej jamie, kobieta weszła do środka, by go wyciągnąć. Lina, którą wcześniej widziała, spoczywała zwinięta na dnie. Wyciągnęła ją. Była za długa, ale kobieta przyniosła z domu nóż. Ucięła sześć kawałków po około pół metra każdy. Miało to zająć kilka minut, więc wyjęła z kieszeni brandy, po czym sięgnęła w dół, by otworzyć rannemu usta i wlać do nich alkohol. Najpierw wypluł z parsknięciem, ale potem uniosła jego głowę i z zadowoleniem stwierdziła, że przynajmniej trochę przełknął. Sama też się napiła, czując, jak ciepło promieniuje w dół aż do żołądka.

Dwie czy trzy minuty zajęło jej znalezienie kilku solidnych gałęzi o grubości około dziesięciu centymetrów. Rzuciła je na ziemię obok lotnika, przygotowując najtrudniejszą część roboty. Zdjęła rękawice. Zimno atakowało jej dłonie, ale nie zwracała uwagi na ból, skupiając się na tym, co było do zrobienia.

Położyła dłoń na lewej kostce mężczyzny, a drugą wsunęła do nogawki, obmacując kość. Złamanie znajdowało się kilkanaście centymetrów poniżej kolana. Najlepiej byłoby nastawić kość od razu po znalezieniu rannego, jednak wtedy miała pilniejsze sprawy do załatwienia. Mężczyzna skrzywił się pod jej dotykiem, ale kontynuowała, nastawiając mu kość pod skórą. Powolnym, lecz mocnym ruchem pociągnęła dolną część goleni. Kość wróciła na swoje miejsce, a kobieta wzięła dwie gałęzie i za pomocą kawałków liny przywiązała je po bokach nogi. Kończyna była nastawiona i unieruchomiona, przynajmniej dopóki lina trzymała. Kobieta znów sprawdziła sznury. Były ciasno zaciśnięte. W tych warunkach nie mogła oczekiwać lepszego efektu. Teraz musiała powtórzyć to samo z prawą nogą. Znów sięgnęła pod nogawkę, po omacku szukając kości. Tym razem złamanie zdawało się mniej poważne. Nastawiła kość i przywiązała

gałęzie po obu stronach nogi.

Przez kilka sekund stała w bezruchu.

– Kim jesteś? – wyszeptwała.

Czekała chwilę, jakby mężczyzna miał usiąść i odpowiedzieć. Ale z jego ust nie dobywał się żaden dźwięk, tylko wiatr jęczał, znów zaczynając wirować wokół nich obojga. Było najpewniej przed siódmą, nie mieli czasu do stracenia. Zarzuciła na grzbiet plecak rannego i wyswobodziła go ze spadochronu – ten spełnił już swoje zadanie. Samego spadochronu zostawić nie mogła: mógłby zaczepić o ziemię, był ciężki, ludzi rozstrzeliwano za lżejsze przewinienia. Nawet jeśli nieznanego nie szukało Gestapo, to znalezienie w tym miejscu spadochronu mogłoby wzbudzić w kimś pytania, które doprowadziłyby go do rannego. Kobieta mogła zaryzykować zabranie czaszy ze sobą. Gdyby dali się złapać, to i tak nie wykręciłyby się żadnym wyjaśnieniem, ze spadochronem czy bez. Zwinęła go najlepiej, jak umiała, zmieniając w poręczny nylonowy tobołek, który położyła na rannym. Podniosła resztę liny – około sześciu metrów – i owinęła wokół sań, przywiązując do nich mężczyznę, a do jego piersi spadochron. Mocno zacisnęła linę, pozostawiając jednak rannemu dość przestrzeni, by mógł oddychać. Byli już gotowi.

Chwyliła powróż z przodu sań i pociągnęła. Zaczęły sunąć po gładkiej powierzchni śniegu i oboje ruszyli w drogę. Pierwsze kilkaset metrów było stosunkowo łatwe, przemierzali zaśnieżoną łąkę, ale najkrótsza droga do domu wiązała się z pokonaniem kawałka lasu i zamarzniętego strumienia. To nie było możliwe, gdy ciągnęła mężczyznę za sobą. Musiała trzymać się szlaku, co zwiększało ryzyko spotkania kogoś. Zastanawiała się, kto by to mógł być, i dumiała o braku zaufania, jaki powstał wśród Niemców za sprawą nazistów. Rewolwer znów ciążył jej w kieszeni. Zapomniała wyciągnąć go z płaszcza.

Na każdy łatwy zjazd przypadała kolejna wędrówka pod górę, a na samym końcu tej wyprawy czekała ją stroma wspinaczka do chaty. Wtedy akurat będzie najłatwiejsza. Podążała przed siebie, choć mięśnie zaczynały ją zawodzić. Czowała, jak uchodziły z niej siły. Jej oddechy stawały się coraz głębsze i wyraźniejsze. Na odsłoniętej skórze zaczął zamarać pot. Wiedziała, jakie to niebezpieczne, że może prowadzić do odmrożeń, ale nie ustawała. Nie można było się zatrzymać. Brnęła dalej, gdy słońce wyjrzało znad horyzontu. W jego nadejściu nie było radości, brzask nie przynosił ulgi. Do chaty zostało jej półtora kilometra, a peleryna nocy rozwiewała się z sekundy na sekundę.

\*

Z przodu dobiegł ją odgłos kroków. Z początku trudno było się zorientować, skąd dochodził. Z galopującym tętnem stanęła w bezruchu. Uszy miała dostrojone do ciszy, więc mogła wyraźnie rozróżnić szelest kroków zbliżających się tym szlakiem. Obejrzała się na mężczyznę na saniach. Trudno było stwierdzić, ile czasu im zostało, ale wątpiła, żeby więcej niż minuta. Przed sobą mieli zakręt, co oznaczało, że gdy zobaczy nadchodzącego człowieka, będzie już za późno. Ściągnęła sanie z drogi poza linię drzew. Ukryła rannego najlepiej, jak umiała, przykrywając paroma luźnymi gałęziami. Ślady pozostawione na samej ścieżce wciąż pozostawały widoczne. Każdy by zobaczył, w którym miejscu się kończą. Przycisnęła dłoń do ust, by stłumić szmer własnego oddechu.

Minuta wlokła się w nieskończoność, kroki stawały się coraz głośniejsze. W polu widzenia pojawiła się sylwetka. Kobieta ją rozpoznała i pokręciła głową, prawie wybuchając śmiechem. To był pan Berkel, ojciec jej byłego chłopaka. Nie miała cienia wątpliwości, że on by na nią doniósł. Daniel służył w Gestapo. Nic nie sprawiłoby panu Berkelowi większej przyjemności. Znajdował się już o jakieś dwadzieścia metrów, przechadzał się szlakiem z laską w ręku. Całe lata minęły, od kiedy z nim rozmawiała – wtedy jeszcze z Danielem byli parą. Był gburem pozbawionym cienia wdzięku czy subtelności. Mieszkał niedaleko. Poranne spacerowanie miał najwyraźniej w zwyczaju.

Był to zażywny mężczyzna, dobrze po sześćdziesiątce. Dłoń kobiety sięgnęła do rewolweru w kieszeni. Co była gotowa uczynić, by chronić człowieka, którego spotkała ledwie przed paroma godzinami i z którym nawet nigdy nie rozmawiała? Najpewniej nie znała nawet jego prawdziwego nazwiska. Widok pana Berkela przypominał jej jasno wizję zła, które pochłonęło jej ojczyznę. Zwróciła wzrok ku mężczyźnie na saniach i poczuła każdy okrucieństwo nadziei, jaki w niej został. Nieznajomy już uratował jej życie, tak jak ona ocaliła jego.

Berkel przystanął na ścieżce o jakieś sześć metrów od ich kryjówki. Odchylił się, rozprostowując krzyż, po czym wyjął z kieszeni papierosa. Włożył go do ust, potarł zapalniczkę i zaciągnął się dymem. Z miejsca, w którym siedziała, kobieta prawie rozróżniała rysy jego twarzy. Oczy jakby mu się skupiały, wreszcie ruszył z miejsca, choć teraz już szedł wolniej, wpatrzony w drogę. Rozglądał się w prawo i w lewo, kilka metrów od miejsca, gdzie się kryli. Zatrzymał się, a wtedy serce kobiety też prawie stanęło. Palec trzymała na spuście. Czuła gotowość. Była gotowa wyciągnąć broń na człowieka, którego znała przez większość życia, by bronić mężczyznę poznanego zaledwie przed paroma godzinami. Gdzie ukryłaby ciało? Musiała zadbać, żeby nie było takiej potrzeby. Pan Berkel pokręcił głową i ruszył przed siebie. Minąwszy ich kryjówkę, szedł

dalej, najwyraźniej nieświadom ich obecności.

Odczekała pięć minut, zanim wystawiła głowę w kierunku drogi. Łzy stały jej w oczach, gdy owładnęło ją napięcie. Chwyliła powróż sań i z wysiłkiem zmusiła obolałe dłonie, by wyciągnęły mężczyznę z powrotem na szlak. Słońce jasno świeciło na rześkim, błękitnym niebie, oświetlając piękno, jakie stworzyły śniegi poprzedniej nocy. Warstwa bieli była dziewicza, nie licząc śladu pozostawionego przez Berkela. Kobieta znów zaczęła ciągnąć rannego przed siebie, a jej myśli ponownie skupiły się na sprowadzeniu go żywcem do chaty.

Tego ranka nie było już innych spacerowiczów. Przestała trzymać dłoń na rewolwerze w kieszeni i użyła jej do ciągnięcia sań. Z jej umysłu zniknęły wszelkie myśli, jedyną rzeczą, którą była w stanie sobie wyobrazić, stał się powrót do chaty. Nic innego w tej chwili się nie liczyło. To był jedyny sens istnienia świata. Jeden bolesny krok następował za drugim, aż w polu widzenia pojawiło się ostatnie wzgórze. Kobieta nie zaznała innego odpoczynku niż ten wymuszony nadejściem pana Berkela, ale teraz przysiadła, odzyskując oddech przed ostatecznym wysiłkiem. Przebyła już daleką drogę. Teraz pozostało już tylko jedno wzgórze, a na jego szczycie dom krył w sobie obietnicę jedzenia, wody, proszków przeciwbólowych i, co najważniejsze, snu.

Przyjrzała się rannemu.

– Jesteśmy prawie w domu. Jeszcze tylko kawałek.

Mięśnie nóg prawie odmówiły jej posłuszeństwa, ale przewyciężyła ból i słabość. Wstała, wysoka i wyprostowana, chwytając powróż przytroczony do sań. Ciągnęła, wyteżała się i pociła, aż wreszcie dotarła do domu.

Z trudem łapiąc oddech, dotknęła drzwi frontowych i otworzyła je pchnięciem. Wciągnęła sanie do środka, pozostawiając za sobą ślad śniegu i błota, który będzie musiała później posprzątać.

Ranny był tu, wewnątrz chaty. Wydawało jej się, że to cud. Zaciągnęła go do salonu i pozostawiła na wprost popiołów minionej nocy. Drewna było akurat tyle, żeby znowu napalić – poświęciła na to kilka minut. Kapelusz i płaszcz wydawały się jak druga skóra, wyłuskała się z nich. Poszła do kuchni, gdzie przełknęła kilka filiżanek wody, zanim wróciła do mężczyzny. Przytknęła filiżankę do jego warg, kapiąc wodą do ust. Udało mu się trochę przełknąć. Był brudnym, śmierdzącym straszylem i miał połamane nogi, ale żył i tyle na razie wystarczyło. Zostawiła go tak przed paleniskiem, nieprzytomnego, lecz bezpiecznego. Poszła do sypialni, ściągnęła ubranie i zasnęła natychmiast, gdy tylko jej twarz dotknęła poduszki.

## ROZDZIAŁ 3

Tykanie zegara. Melodyjka kurantu. Zamrugął, otwierając oczy, po czym stwierdził, że leży w kałuży obrzydliwego potu, przywiązany do kawałka drewna. Pomiędzy uszami miał bużującą mgłę i kilka sekund zajęło mu przypomnienie sobie, gdzie jest, a zwłaszcza, dlaczego. Cierpienie w nogach promieniowało na wskroś tułowia. Umiał znosić ból, ale wszystko ma swoje granice. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ucieczki. Dogasające popioły żarzyły się czerwienią w oddalonym o parę metrów palenisku. Był sam. Pojmali go? Nie będzie mógł oczekiwać litości. Gdzie więc byli? Przez chmury jego świadomości przebiły się wspomnienia rodziny. Ojciec, matka, żona – teraz już była. Mgliste wspomnienie rozwodu też przez parę sekund było dla niego nowe. Potem w głowie pojawił mu się list, który do niego napisała, i znowu tam był, unosząc się nad pryczą podczas szkolenia podstawowego, widział sam siebie w trakcie czytania listu. Przelotne obrazy dawnego życia pojawiały się, a potem zapadały w otchłań. Próbował sobie przypomnieć coś z teraźniejszości, choćby miejsce, w którym się znajdował. Dotyk dłoni na jego ciele, poczucie bycia włączonym – wszystko to powracało do niego raczej jako esencja niż konkretne wspomnienie, którego mógłby się uchwycić. Jakby był w stanie poczuć chwilę – może nawet zwęszyć jej zapach i dotknąć – ale wyobrażenie jej sobie przekraczało jego możliwości. Próbował wstać z drewnianej platformy, na której leżał, czymkolwiek była, ale jego wysiłki na nic się nie zdały, bo padł na nią z powrotem. Powieki zdawały się ważyć tysiąc ton. Czasu starczyło mu zaledwie na rozejrzenie się po pokoju, zanim opadły i raz jeszcze poddał się łasce snu.

\*\*\*

Światło dnia zdążyło zgasnąć, zanim wczesnym wieczorem kobieta się obudziła. Usiadła na łóżku. Zaburczało jej w pustym brzuchu. Mięśnie rąk, ramion i pleców były sztywne jak żółwia skorupa. Wsunęła palce w bruzdy na barkach, gdzie twarde mięśnie stykały się z kośćmi i ścięgnami, starając się jak najskuteczniej przegnać ból masażem. Drzwi do salonu były uchylone na kilkanaście centymetrów. Wyjrzała na leżącego tam bez czucia mężczyznę. Siedziała cicho, nasłuchując dźwięków, których nie było. Jedyne, co się

poruszało, to wiatr w drzewach na dworze. Wygramoliła się z pościeli i stanęła przy łóżku, prawie mimo woli. Podeszła do szafy i wślizgnęła się w prostą szarą sukienkę. Zimna podłoga mroziła jej stopy, więc włożyła grube wełniane skarpety, a potem kapcie.

Powoli wysunęła się z sypialni, obca we własnym domu. Najpierw zobaczyła jego nogi, unieruchomione z obu stron wykonanymi przez nią łąbkami. Ranny się nie ruszał. Oczy miał wciąż zamknięte.

– Proszę pana – wyszeptała. – Nie śpi pan?

Nic.

Wzięła głęboki wdech, próbując uspokoić tętno. Pot zbierał się jej na dłoniach. Krótkie, brązowe włosy mężczyzny były zlepione błotem i wciąż mokre od śniegu. Nieogoloną twarz miał podrapaną i pokrytą brudem. Chyba się nie poruszył. Sięgnęła, by sprawdzić puls. Jego serce biło spokojnie i równo. Będzie żył. Poszła do kuchni, wróciła z kubkiem wody i nakapała mu nieco między wargi. Znów zdawało się, że trochę przełknął, choć zaniósł się kaszlem i resztę wypluł, parskając.

Uklękła obok, sięgnęła pod sanie, by odwiązać przytrzymującą go linę. Pomyślała o jej przecięciu, ale się rozmyśliła. Może jej jeszcze potrzebować, gdyby ranny okazał się nieskłonny do współpracy. Sznur spadł pod sanie, kobieta odsunęła spadochron. Sięgnęła po mocujące go paski na ramionach, zsunęła je bez większego trudu. Pozostawał jednak problem, co zrobić ze spadochronem. Ukrycie go stanowiłoby działalność wywrotową, przez którą obywatel mógłby skończyć w więzieniu albo jeszcze gorzej. Przy spaleniu powstałyby toksyczne opary. Na razie rzuciła spadochron na stertę opodał tylnych drzwi.

Mężczyzna musiał leżeć w łóżku. Sanie, choć pozostawiły za sobą błotnisty ślad, gdy przedtem wciągała je do domu, wciąż pozostawały najlepszą metodą przemieszczania rannego. Kobieta uklękła i obróciła sanie, kierując je ku zapasowemu pokojowi, gdzie w dzieciństwie razem z Fredim spędzali letnie noce. Od lat stał on pusty. Mężczyzna leżał bez ruchu, gdy pchała sanie do sypialni. Drzwi były już otwarte, łóżko posłane, a pokój nieskazitelnie czysty. Próbowała sobie przypomnieć, kto tu ostatnio spał. Pewnie ona sama, a może nawet Fredi. Przypominała sobie, jak ojciec zabierał tam Frediego, ale to było wiele lat przed wojną – zanim jeszcze Fredi stał się dla ojca zbyt wielkim ciężarem, by mógł samodzielnie się nim opiekować. Zanim ich porzuciła. Odsunęła od siebie wspomnienia, tak jak ściera się brud z przedniej szyby samochodu, i postarała się skupić na najpilniejszych problemach. Wróciła do

salonu po plecak nieznajomego. Czyste cywilne ubrania leżały zwinięte na dnie, ale nie było niczego, w czym mógłby spać, a ona z pewnością nie zamierzała trzymać go tu w bieliźnie. Niektóre ze starych ubrań ojca powinny na niego pasować. W ciągu kilku minut znalazła starą piżamę i szlafrok w kolorze wina. Wróciła i rzuciła piżamę na łóżko, ale szlafrok trzymała przez kilka sekund, czując pod palcami gładkość materiału. Przeszłość była tu wszechobecna. Nie dało się od niej uciec.

Mężczyzna był brudny i oblepiony. Przede wszystkim potrzebował kąpieli, a z tym było łatwiej, póki pozostawał nieprzytomny. Sięgnęła w dół i przesunęła palcami po prymitywnych łubkach, które wykonała, by trzymały jego kości razem. Trzeba będzie je wymienić. Zabranie mężczyzny do szpitala czy nawet lekarza nie wydawało się warte ryzyka. Nie mogła ufać nikomu.

A jemu? Słyszała już radiowe doniesienia o aliantach, ale była wystarczająco rozgarnięta, by nie ufać nazistowskim wyobrażeniom Amerykanów jako prostackich mieszaińców, a Brytyjczyków jako zdradzieckich łajdaków. Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie spotkała alianckiego żołnierza. Z biegiem lat niezliczone kroniki filmowe i artykuły utrwaliły jej w głowie nazistowską wizję aliantów. Nie mogła zlekceważyć wszystkiego, co dotąd widziała i słyszała, nawet przy całej swej nieufności wobec władzy i kontrolowanych przez nią mediów. Widziała, co alianci zrobili Niemcom. Bezlitośnie bombardowali miasta pełne ludzi. Trudno było widzieć w nich zbawców, niezależnie, jak bardzo tego pragnęła.

Wargi mu drgały, oczy pod zamkniętymi powiekami pełzały jak ślimaki. Kobieta cofnęła się przerażona, spodziewając się, że zaraz je otworzy. Nawet się dotąd nie zastanowiła, co ma powiedzieć albo zrobić, gdy ranny się obudzi. Na szczęście jego twarz wróciła do poprzedniego stanu katatonii, a więc dylemat można było odłożyć na później.

Franka weszła do kuchni. Dom był zimny. Herr Graf, czy kim on tam był, mógł poczekać, aż rozpali ogień. Wygarnęła z popielnika nieco popiołu, odsunęła zwęglone polana pogrzebaczem, który był w tym domu, zanim jeszcze ona się urodziła. Zapaliła zapałkę, a kuchnię oświetlił odbłask płomienia. Rozpalanie ognia zawsze sprawiało jej wielką przyjemność, więc cofnęła się, patrząc, jak polana zajmują się od podłożonej pod nimi podpałki. Zadowolona, poszła do kredensu. Niewiele tam było jedzenia, najwyżej parę starych puszek zupy. Prowiant, który przywiozła, już się skończył. Drogi do miasta będą odcięte przez kilka dni – jej samochód na nic się nie przyda. Podeszła do apteczki, gdzie znalazła starą buteleczkę aspiryny, zawierającą dziewięć tabletek. Tyle

wystarczy, żeby utrzymać rannego przez jakieś dwanaście godzin. Potrzebowała więcej lekarstw, i to mocniejszych, zwłaszcza jeśli miała znów nastawiać mu nogi. Butelka zagrzechotała jak zabawka dla niemowląt, gdy Franka chowała ją do kieszeni.

Od starego stołu na środku pokoju zabrała jedno z drewnianych krzeseł. Nada się. Podniosła je nad głowę i z hukiem rąbnęła o podłogę. Nic się nie stało – krzesło pozostało całe. Pokręciła głową, śmiejąc się pod nosem. Poszła do zlewu, znalazła młotek i kilka śrubokrętów różnej wielkości. Po kilku minutach dysponowała solidnymi kawałkami drewna, których będzie potrzebować, by nastawić mężczyźnie nogi, zanim uda się jej załatwić tę sprawę w sposób bardziej trwały.

Udała się do sypialni. Mężczyzna się nie poruszył. Miewała już do czynienia z gorszymi złamaniami, ale w szpitalu. Jak mają mu się zrosnąć kości bez gipsu? Martwiła ją nawet nie tyle kwestia samodzielnego zdobycia i przygotowania opatrunku, co podejrzenia, jakie zakup gipsu mógłby na nią ściągnąć. Jeśli zachowa ostrożność, może zyska niewielką szansę kupienia go bez narażania się, będzie też potrzebować jedzenia i morfiny. Pozostawało pytanie, w jaki sposób dostanie się do miasta, ale na razie odepchnęła je od siebie.

Odwiązała liny przytrzymujące łubki z gałązek i odłożyła te ostatnie na bok jako opał. Dla mężczyzny, przytomnego czy nie, następny etap miał być ciężki. Należało zdjąć te brudne spodnie i buty. Franka zaczęła rozplątywać sznurówki, co jakiś czas spoglądając w górę, na jego twarz, świadoma każdego grymasu, o jaki go przyprawiała. Rozwiązała sznurowadła i łagodnie nacisnęła but, próbując go ściągnąć. Kość nogi mężczyzny poruszyła się, krzyknął. Dziwnie było patrzeć na jego reakcje. To jakby zakwiliła marionetka zrzucona na podłogę. Franka przerwała, czekając, aż ranny się obudzi, ale do tego nie doszło. But w końcu się zsunął, przesunęła dłońmi w górę, by wymacać kość. Doszło do przemieszczenia, ale niewielkiego, więc nastawiła ją z powrotem, wyrównując. Prawy but mężczyzny z głuchym stukiem upadł na przykrytą cienkim dywanem podłogę. Wzięła głęboki wdech, szykując się do nastawiania drugiej nogi. Nie chciała przecinać sznurówek: w takich czasach buty stanowiły majątek nie do pogardzenia. Tym razem zrzucie buta zajęło jakieś pięć minut. Doświadczenie, które Franka zdobyła przy pierwszej nodze, sprawiło, że tym razem poszło łatwiej. Skarpetki zsuwały się cal po calu, odsłaniając posiniaczone i spuchnięte stopy. Nożyczki przyniesione z salonu szybko załatwiły sprawę ze spodniami mężczyzny i wkrótce leżał on już tylko w bieliźnie, nadal na saniach.

Kawałki krzesła okazały się przyzwoitymi łubkami i nastawione nogi rannego



dobrze się trzymały. W następnej kolejności ściągnęła z niego kurtkę Luftwaffe i rzuciła w kąt pokoju. Równie łatwo udało się zdjąć koszulę, a potem mężczyzna był gotów do położenia na łóżku. Franka obeszła go i zsunęła z sań. Na szczęście łóżko było niskie, umieściła na nim tułów mężczyzny. Wciągnęła rannego na czystą pościel, świadoma, że ciągle jest pokryty brudem. Ale leżał jednak na łóżku. Zrobiła krok w tył z poczuciem chwilowego triumfu, zachwycając się widokiem nieznanego na jej starym łóżku w górskim letnim domku ojca.

To dobrze, że w kąpielni będzie nieprzytomny. Kąpała już wcześniej ludzi, ale jeszcze nigdy śpiącego nieznanego, i to poza szpitalem. Liczył się czas. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było jego przebudzenie akurat w chwili, kiedy będzie go szorować. Nic nie mogło być bardziej niestosowne.

– Czas do kąpielni, kochanie – uśmiechnęła się. – Jak ci minął dzień? Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło, kiedy wracałam ze szpitala.

Starła się nie mówić na tyle głośno, żeby go obudzić. Żaden żart nie byłby wart czegoś takiego. Postawiła przy łóżku cebrzyk podgrzanej wody i wzięła do ręki myjkę. Zaschnięta ziemia zmieniała się w błoto, gdy Franka spryskiwała twarz rannego wodą. Wycierała go silnymi dłońmi.

– Znalazłam mężczyznę – tak, mężczyznę – leżącego w śniegu. I to jeszcze w mundurze Luftwaffe! – Od wielu dni z nikim nie rozmawiała. Dobrze było mówić na głos, nawet do nieprzytomnego nieznanego. – Nie, kochanie, mówię całkiem poważnie. Wiesz, że porządnej niemieckiej żonie nie przystoi robić sobie żartów z męża. Zwłaszcza gdy w trakcie naszej rozmowy dzielni żołnierze na froncie rosyjskim ryzykują życiem dla przyszłości wielkiej Rzeszy.

Położyła dłoń na jego czystej już twarzy.

– A może chcesz posłuchać radia? Cóż, obowiązkiem dobrej żony jest spełniać wszelkie twoje zachcianki.

Przeszła do salonu i włączyła radio na baterie. Eter niemieckich radiostacji zanieczyszczał zwykły zgiełk wiadomości i propagandy. Radioodbiorniki były wydawane przez władze i odbierały wyłącznie stacje zatwierdzone przez rząd. Większość ludzi umiała jednak przerobić je w taki sposób, by słuchać zagranicznych audycji, więc Franka mogła nastroić radio na szwajcarską emisję nowego przeboju Tommy’ego Dorsey’a z zespołem. Chatę wypełnił bigbandowy swing. Dzięki muzyce, wciąż z myjką w dłoni, Franka znalazła chwilę wytchnienia. Gdzieś tam ludzie wciąż tworzyli taką muzykę, nadal słuchali, tańczyli i żyli. Nagle znów poczuła, że ma coś wspólnego ze światem, na który zdążyła już machnąć ręką.

W ciszy dokończyła mycie rannego i pozwoliła muzyce, by przez nią płynęła.

– Czysto – powiedziała. Na szafce nocnej położyła aspirynę i szklanę wody. Otuliła mężczyznę kołdrą, a przy jego stopach ułożyła termofory. Kim był? Skąd tu się wziął? Jak, do diaska, miała zachować jego obecność w tajemnicy przez jakieś sześć tygodni niezbędnych, by zrosły mu się kości? Jak na nią zareaguje po przebudzeniu?

Stała w przejściu, wpatrując się w niego przez kilka minut, a muzyka wciąż unosiła się w powietrzu, nim Franka poddała się skurczom głodu dżgającym jej żołądek.

– Jutro – powiedziała na głos. – Jutro się dowiem, coś ty za jeden.

Wyjęła klucz z drzwi i zamknęła za sobą.

Głód wziął górę nad potrzebą kąpieli, poszła więc do kredensu po puszkę zupy. Wspaniale byłoby mieć trochę chleba, ale zjadła już cały, razem z serem przyniesionym poprzedniego wieczoru. Miał to być jej ostatni posiłek. Usiadła przy stole, wpatrując się w przestrzeń, gdy zupa grzała się na kuchence, i układała w głowie listę wszystkiego, co będzie potrzebne, by pozwolić jej i człowiekowi w sypialni przeżyć zimę. Jakoś musiała się dostać do Fryburga, żeby zdobyć żywność, gazę, gips, aspirynę i morfinę. Oznaczało to około piętnaście kilometrów w jedną stronę. W zwykłych okolicznościach po prostu by pojechała, ale pogoda udaremniła najprostsze wyjście. Franka wstała i poszła do szafki w pobliżu tylnych drzwi. Jej stare narty biegowe leżały nietknięte z tyłu, za starymi płaszczami zimowymi i różnymi innymi rupieciami, nagromadzonymi przez lata. Minęło ponad dziesięć lat, od kiedy ostatnio na nich jeździła. Była wtedy jeszcze nastolatką, jej matka wciąż żyła i przyjeżdżały tu każdej zimy. Sięgnęła i poczuła w dłoniach ciężar nart. Chyba nie miała innego wyjścia. Wzięła narty pod pachę i wróciła do kuchni. Zupa była gotowa, więc Franka naląła ją do miski i pochłonęła w kilka sekund. Jedzenie chyba tylko pobudziło jej głód. Przygotowała następną puszkę, obiecując sobie, że we Fryburgu kupi nową.

Druga porcja zupy załatwiła sprawę, ale pozostawało jeszcze przepoczone paskudztwo lepiące się do ciała. Myśl o podgrzaniu na piecyku całej wody, której będzie potrzebować, wydawała się prawie ponad siły, ale sama woń, którą Franka musiała roztaczać, stanowiła dla niej wystarczającą motywację. Postawiła więc na piecyku czajnik i dwa duże rondle wody, po czym usiadła, obserwując, jak zaczynają wrzeć. Świadomość obecności w domu nieznanego, choć unieruchomionego i nieprzytomnego mężczyzny towarzyszyła jej, gdy zamykała drzwi, by się przebrać. Weszła w szlafroku do

łazienki, zamykając za sobą drzwi. Światło świecy nadawało pomieszczeniu rozluźniającą atmosferę, ale brak wody już niekoniecznie. Wspaniała kąpiel, o której marzyła Franka, sprowadzała się do siedzenia w wannie i szorowania się.

Gdy wyszła, ociekając wodą po kąpieli, uderzył w nią chłód chaty. Chwyła ręcznik i wycierała się najenergiczniej, jak mogła, rozgrzewając się za pomocą tarcia. Gdy była już sucha i w szlafroku, podeszła do lustra. Nie patrzyła na siebie od wielu dni. Jej blond włosy do ramion przywierały zmierzwiłone do karku. Błękitne oczy miała przekrwione i silnie podkrążone. Przeczesała włosy, krzywiąc się z bólu przy rozczesywaniu splątanych kosmyków.

Pomyślała o panu Berkelu i wspomniła jego syna, czarującego *Hitlerjunge*, w którym się zadurzyła, należąc do Związku Dziewcząt Niemieckich, żeńskiego odpowiednika Hitlerjugend. Każdy, kogo знаła, wstąpił do tych organizacji. Stało się to obrzędem przejścia. Niezapisanie się byłoby równoznaczne z napiętnowaniem chłopca czy dziewczyny jako słabeusza, parweniusza albo symulanta. Może nawet pariasa.

Ogarnęła ją fala paranoi. Skąd miała wiedzieć, że Berkel ich nie widział? Może ich zobaczył i już zdążył donieść na Gestapo? Wydawało się to nieprawdopodobne, ale kiedy nikomu nie można było ufać, nie było miejsca na błędy.

\*\*\*

Noc zapadła. Franka zapaliła świece w kuchni i łazience, a także lampę naftową w salonie. Mężczyzna ciągle spał, kiedy do niego zajrzała. Wróciła do sypialni i choć jej ciało pragnęło snu, to nie mogła sobie na niego pozwolić. Jeszcze nie teraz. Znow się ubrała. Gestapo mogło przyjść w każdej chwili. Ranny był narażony. Ukrycie go w szafie tylko o parę sekund przedłużyłoby czas potrzebny na jego znalezienie, a obrażenia miał zbyt poważne, by go schować gdzieś na zewnątrz, na mrozie. Z przebiegającymi przez głowę koszmarnymi scenariuszami – z których każdy był realistyczny – Franka wróciła do sypialni, gdzie leżał nieznajomy. Nie byli bezpieczni, nawet tutaj, szczególnie, jeśli miała udać się do miasta. Mundur Luftwaffe wciąż leżał skotłowany w kącie, gdzie go rzuciła. Jeżeli przypadkowo nieznajomy faktycznie należał do Luftwaffe, mogła mu go oddać. Jeśli, co znacznie bardziej prawdopodobne, był Brytyjczykiem albo Amerykaninem, to mundur doprowadzi jedynie do rozstrzelania go jako szpiega. Trzeba było go schować, ale gdzie?

Tupnęła nogą i usłyszała głuchy, drewniany stuk desek podłogowych. Zabrała

z kuchni skrzynkę z narzędziami, poszła do sypialni, w której spał ranny, po czym podciągnęła cienki chodnik, odsłaniając deski. Gdyby je wyrwała, mogłaby stworzyć skuteczną kryjówkę. Najpierw jednak musiała przesunąć łóżko. Podeszła do niego z boku i przesunęła, wraz ze wciąż śpiącym mężczyzną, na drugi koniec pokoju.

Wbiła pazur młotka w szczelinę przy końcu jednej z długich desek, po czym pociągnęła go ku sobie, podważając deskę ku górze. Po kilku minutach zmagania uparta deska puściła. Dłońmi w rękawicach Franka oderwała ją do końca i oparła o ścianę, odsłaniając półmetrową przestrzeń pod podłogą. Panował tam brud i dojmujące zimno, ale po odrobinie sprzątnięcia i podłożeniu kilku koców kryjówka mogłaby spełnić swoje zadanie. Zabrała się do pracy z sąsiednią deską, zastanawiając się, ile z nich będzie musiała wyrwać, by zmieścić rannego. Im mniej, tym lepiej – wszystko musiało wyglądać jak najnaturalniej.

Kaszlnięcie od strony łóżka wyrwało ją ze skupienia, młotek wypadł jej z dłoni prosto do wykonanej dziury. Wstała, a oczy mężczyzny nagle się otwarły. Usiadł na łóżku z twarzą wykrzywioną w potwornym grymasie. Zamknął oczy, znów je otworzył, po czym odwrócił się w stronę, gdzie stała Franka w pełnym osłupieniu milczeniu. Ból i oszołomienie przyćmiewały mu wzrok.

– Kim pani jest? Dlaczego mnie tu pani trzyma? – zapytał w idealnej niemczyźnie.

## ROZDZIAŁ 4

Jego akcent trudno było umiejscowić. Franka знаła wcześniej berlińczyków, rozpoznawała ich dyskretnie chropowaty akcent. Mężczyzna zdradzał pewne jego cechy, ale czegoś wydawało się brakować. Trudno to było wytłumaczyć, prawie jakby opisywać taniec niewidomemu. Siedział na łóżku z błagalnym spojrzeniem. Minęło kilka sekund, od kiedy zadał pytanie, i jego słowa wciąż wisiały w powietrzu jak dym. Tysiące myśli przebiegały France przez głowę, ale nie była właściwie zdolna uchwycić się żadnej z nich. Zrobiła krok naprzód, wyciągnęła ramiona, uniosła dłonie w górę, jakby w geście obronnym.

– Nie mam złych zamiarów – powiedziała.

Nie odpowiedział, jakby czekał na więcej.

– Znalazłam pana w śniegu. Był pan nieprzytomny. Ten ból to od złamania obu nóg.

Mężczyzna przesunął dłońmi po łóbkach zrobionych przez nią z kuchennego krzesła, jego grymas powrócił.

– Nazywam się Franka Gerber. To ja pana tu sprowadziłam. Nie ma tu nikogo oprócz nas dwojga. Do najbliższej wsi jest kilka kilometrów.

– Gdzie jesteśmy?

– Piętnaście kilometrów na wschód od Fryburga, w górach Schwarzwald.

Mężczyzna dotknął czoła. Chyba oprzytomniał z oszołomienia i mówił już nieco jaśniej.

– Pani z policji? – zapytał.

– Skądże.

– Ma pani coś wspólnego z Gestapo czy siłami bezpieczeństwa?

– Nie mam. Nie mam też telefonu. Znalazłam pana i sprowadziłam tutaj – słowa sypały jej się z ust. Ręce opuszczone po bokach drżały, schowała je za plecami.

Mężczyzna zmrużył oczy, zanim znów się odezwał.

– Jestem kapitan Werner Graf z Luftwaffe.

– Widziałam mundur.

– Czemu mnie tu pani ściągnęła?

– Znalazłam pana zeszłej nocy. Nigdzie w pobliżu nie dostaniemy pomocy medycznej. Nie miałam innego wyjścia.

– Dziękuję za ocalenie życia, panno Gerber. Czy ma pani coś wspólnego z siłami zbrojnymi?

– Nie, jestem pielęgniarką. W każdym razie kiedyś byłam.

Spróbował poruszyć nogami. Wykrzywił twarz w cierpieniu, Franka znów podeszła bliżej, stając tuż u boku łóżka.

– Proszę się położyć, panie Graf. – Czuła się idiotycznie, używając nazwiska, o którym wiedziała, że nie jest prawdziwe. – Wiem, że bardzo pan cierpi.

Rozejrzała się za aspiryną. Proszki najwyżej złagodzą ból, ale jakakolwiek ulga pomoże mężczyźnie znów zasnąć. Leżały na nocnym stoliku, który odsunęła, żeby odsłonić deski podłogi. Ranny właśnie patrzył w dół na szeroką dziurę, którą zrobiła.

– Co tu się dzieje? Co pani zamierza?

– Mały remont – odparła Franka. – Nic, czym by pan musiał się martwić.

Wyjęła trzy tabletki i wyciągnęła do niego. Mężczyzna obrzucił je spojrzeniem, a potem znów popatrzył jej w oczy.

– To tylko aspiryna. Niewiele, ale pomoże, zanim znajdę coś mocniejszego. – W jego oczach dostrzegła ból, a także strach i oszołomienie, które z tak wielkim wysiłkiem starał się ukryć.

Wyciągnął dłoń, Franka upuściła na nią proszki. Podała wodę, a on połknął aspirynę i w kilka sekund wychylił całą szklanekę.

– Jeszcze wody?

– Poproszę.

Pośpieszyła do kuchni, przelotnie rzucając okiem na jego plecak na podłodze salonu. Pistolety ciągle były w środku. Broń jej ojca leżała w szufladzie komody przy frontowych drzwiach. Kiedy Franka wróciła, Graf próbował się wydostać z łóżka, jego spoconą twarz wykrzywiała męka.

– Proszę, nie – przemówiła. – Proszę wracać do łóżka. Nie musi się pan niczym martwić. Nie mam złych zamiarów.

Podała mu wodę. Wypił w kilka sekund, jak poprzednio. Odebrała od niego szklanekę. Graf ciągle siedział na łóżku. Gdy zaczęła mówić, skrzyżował ramiona na piersi. Wyglądał, jakby skupiał się na każdym jej słowie.

– Proszę się położyć. Nie mamy jak pana przenieść. Drogi są nieprzejezdne, a pan ma obie nogi połamane. Utknęliśmy tu razem. Będziemy musieli sobie zaufać.

– Kim pani jest? – zapytał, pocierając kark.

– Jestem stąd, wychowałam się we Fryburgu. To był letni domek mojej rodziny.

– Jest tu pani sama?

– Nie licząc pana. Co pan robił w tym śniegu? Mam pana spadochron.

– Nie mogę o tym rozmawiać. To poufna informacja. Gdybym wpadł w ręce aliantów, mogłaby zaszkodzić wysiłkowi wojennemu.

– Jest pan ciągle w kraju. Jest pan bezpieczny. Od aliantów dzielą nas setki kilometrów.

Mężczyzna pokiwał głową, spuścił wzrok ku podłodze.

– Pewnie umiera pan z głodu. Przyniosę trochę jedzenia.

– Bardzo proszę.

– Z przyjemnością, panie Graf.

Wyszła do kuchni. Ręce jej drżały, gdy sięgała do kredensu po ostatnią puszkę zupy. Trudno było zdecydować, co robić dalej. Próba zdemaskowania jego gry pozorów mogła się okazać wprost niebezpieczna, ale Franka musiała go przekonać, że można jej zaufać.

– Zaufanie wymaga czasu – wyszeptała. – Tego się nie załatwi w ciągu jednej nocy.

Wróciła do rannego, podczas gdy zupa grzała się na piecyku. Gdy weszła, wzdrygnął się.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję za troskę. Tylko nogi dość mocno mnie bolą.

– Rozumiem, przykro mi z tego powodu. Jutro zdobędę dla pana więcej proszków przeciwbólowych.

Nie odpowiedział.

– Mam pańskie buty, ale musiałam odciąć panu spodnie. Mam też pana plecak. Widziałam w środku ubrania.

Pokiwał głową, jakby niepewny, co odpowiedzieć.

– Dziękuję, że się mną pani zaopiekowała – odparł po paru sekundach. Jego spojrzenie popłynęło ku oknu, po czym wróciło na Frankę.

– Nastawiłam panu nogi, ale obawiam się, że trzeba będzie gipsu, żeby zrosły się jak trzeba.

– Proszę bardzo, panno Gerber. Jak pani uważa.

Oczy mu się zaszklily i opadł z powrotem na łóżko.

– Zaraz wracam – oznajmiła.

Zupa była gotowa, Franka naląła mu do miski. Wróciła do sypialni. Mężczyzna leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. Usiadł, gdy postawiła przed nim tacę. Pochłonął zupę jeszcze szybciej niż przedtem. Zabrała tacę, żałując, że nie ma dla niego chleba.

– Teraz powinien pan odpoczywać.

– Chciałbym panią jeszcze o coś zapytać.

– Na pytania przyjdzie pora.

– Czy mówiła pani komuś jeszcze, że tu jestem? Komukolwiek?

– Od wielu dni nie spotkałam żywej duszy, z którą bym mogła rozmawiać, na długo, zanim pana znalazłam. Mówiłam, nie mamy tu telefonu. Nie ma nawet poczty. Żeby odbierać listy, musiałabym chodzić do miasta, gdyby ktokolwiek wiedział, że tu jestem. Ale nie wie. Jesteśmy sami. – Pochyliła się do przodu. – Sprowadziłam tu pana, żeby pan wyzdrowiał.

– Jestem wdzięczny, ale powinienem jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

– Na takich nogach nigdzie pan nie wyruszy jeszcze przez parę tygodni. Kiedy drogi staną się przejezdne, to możemy pomyśleć o zabraniu pana do miasta, a na razie utknął pan tu ze mną. Musi pan się z tym pogodzić i zrozumieć, że może mi pan zaufać. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby wrócił pan do zdrowia.

– Dziękuję, *Fräulein*. – Skinął głową, ale w jego słowach nie było słyhać szczególnej radości czy szczerego uznania. Zupełnie jakby odczytywał scenariusz.

– Nie ma za co. Przecież nie mogłam pana zostawić na dworze, żeby zamarzył na śmierć, czyż nie? Teraz najważniejsze, żeby pan wypoczął.

Jej własne słowa też zdawały się drewniane, jakby współtworzyła z nim duet marnych aktorów odgrywających przedstawienie.

Mężczyzna pokiwał głową i ze zbolałą miną znów się położył. Franka sięgnęła ku świecy na szafce nocnej, by zwilżonymi palcami zgasić knot. Zamknęła za sobą drzwi, wyczerpana całą maskaradą. Ponownie przekręciła klucz w zamku, świadoma, że Graf na pewno ją słyszał. On jednak nie zaprotestował.

Ogień w salonie wygasał, więc dorzuciła dREW, po czym znów się odsunęła, by patrzeć, jak się rozpala. Czuła się, jakby siedziała w klatce sam na sam z rannym zwierzęciem i nie miała pewności, co bestia może zrobić. Połamane nogi mężczyzny stanowiły dla niej jedyną gwarancję bezpieczeństwa. Dopóki nie mógł się ruszyć z łóżka, nie mógł też jej skrzywdzić, szczególnie bez broni. Najważniejsze było, aby zrozumiał, że nie chciała go skrzywdzić, ale też, że to ona tu rządzi. Nie podporządkuje się zachciankom żadnego brutalą – czy to nazisty, czy alianckiego żołnierza. Przechowa go tutaj, bezpiecznego przed Gestapo. Będzie to jej ostatni akt oporu, zanim dołączy do Hansa i pozostałych.



Bolało ją już całe ciało, krzyczało o sen. Poszła do sypialni. Normalnie zostawiłaby drzwi otwarte, żeby złapać trochę ciepła z salonu, ale teraz zamknęła je za sobą.

Podeszła do okna. Była spokojna, jasna noc, a gwiazdy na zewnątrz lśniły niczym światło wpadające przez dziurki w czarnym aksamicie. Nazajutrz pogoda mogła się poprawić na tyle, żeby dało się iść do miasta. Szlaki staną się przejezdne. Dziesięć lat temu cieszyłaby się na taką wyprawę. Teraz tamte czasy wydawały się czymś z innego świata. Tyle blizn odtąd nzbierała...

Franka wyjęła z szafki termofor, na którego sam widok zaczęły do niej powracać wspomnienia z młodości: noce tulenia się pod kocem, opadające powieki, gdy matka śpiewała jej do snu.

Nie zamierzała zostać tu aż tak długo. Zbyt wiele duchów żyło w tym miejscu. Ale teraz nie miała większego wyboru. Odejście z chaty oznaczałoby porzucenie rannego i oddanie Gestapo kolejnego zwycięstwa. Zabrała termofor do kuchni i naląa wrzącej wody. Był przyjemny w dotyku, jakby zwracał jej życie. Przycisnęła go do siebie, czując ciepło w piersi, zanim wróciła do sypialni. Czy ten człowiek naprawdę mógł być Niemcem? To dlaczego przez sen mówił po angielsku? Może wszystko to było prostsze, niż malowała to jej wyobraźnia, i gdy za parę dni drogi staną się przejezdne, będzie go mogła podwieźć do pobliskiego szpitala. Może źle zrozumiała, co mówił przez sen. Nie mówiła po angielsku i usłyszała tylko parę słów wypowiedzianych w jej obecności. Może on w ogóle nic nie powiedział. Może naprawdę był kapitanem Wernerem Grafem z Luftwaffe. Franka poczuła skurcz serca na myśl, że nie był tym, za kogo go brała, że był rzeczywiście jednym z nich. A może należał do Luftwaffe? Widziała już filmy propagandowe o cudzoziemcach przybywających walczyć u boku wspaniałej Rzeszy Niemieckiej. Zdawało się to jednak nieprawdopodobne. Gdyby był z Luftwaffe, zaraz po odzyskaniu przez niego przytomności przekazałaby go władzom, i tyle.

Sypialnię okryła czern, gdy Franka zdmuchnęła lampę naftową przy łóżku. Nie. Mówił przecież po angielsku, słyszała. Wciąż miała w uszach te słowa, ciągle mogła zważyć je na języku. On nie był kapitanem Wernerem Grafem z Luftwaffe. Dlaczego leżał w śniegu w górach Schwarzwald? Gdy go znalazła, musiał się tam znajdować nie dłużej niż od kilku minut, bo inaczej trafiłaby na trupa. Jeśli był szpiegiem albo jeńcem, to karą za pomoc była śmierć. To mogłaby znieść. Narodowi socjaliści nie byli w stanie już nic więcej jej zabrać. Nie teraz, kiedy nie zostało jej już nic, co mogliby wziąć.

Franka przewróciła się na bok, podciągając grube koce aż po podbródek, na

wierzchu pozostawiła jedynie twarz. Pod pościelą kryło się jedyne ciepłe miejsce w całym domu, nie licząc paleniska. Ranny miał tylko jeden koc, a dziura, którą zrobiła w podłodze, będzie wpuszczać przeciąg. Wyszła z łóżka, biorąc klucz do sypialni mężczyzny. Założyła szlafrok, na niego płaszcz, po czym wyszła na palcach. Dom był cichy. Otworzyła drzwi, położyła dłoń na klamce, a w trakcie otwierania zapukała drugą ręką.

– Panie Graf? – szepnęła. – Nie śpi pan?

Leżał w łóżku, ale widziała jego otwarte oczy. Przez jedną straszliwą sekundę myślała, że umarł, lecz zaraz odwrócił ku niej głowę.

– Nie śpię, *Fräulein*.

– Nie zimno panu?

– Jest dobrze, dziękuję.

Nie uwierzyła mu na słowo. W jego pokoju było chłodniej niż u niej, poza tym nie miał aż tylu koców. Zostawiła odsunięte firanki i do środka wlewało się światło księżyca. W półmroku widać było rysy twarzy mężczyzny. Wzięła go za rękę. Nie zamierzała go dotykać, chciała tylko sprawdzić, jak bardzo zmarzł. Ranny spojrzał jej w oczy.

– Jest pan przemarznięty – stwierdziła. – Dlaczego nie poprosił mnie pan o drugi koc?

– Nie chciałem sprawiać pani dodatkowego kłopotu.

– Głupstwa. Nie ma sensu cierpieć, kiedy w szafce jest więcej koców. – Puściła jego dłoń, otworzyła szafkę, wyjęła gruby koc i przykryła mężczyznę. – Teraz będzie panu ciepło.

Wpatrywał się w nią, zrobiła krok do tyłu.

– Jutro jadę do miasta. Drogi będą nieprzejezdne, ale potrzebujemy jedzenia, a ja nie mogę znieść myśli o tym, jak bardzo pana boli. – Zamilkła w oczekiwaniu odpowiedzi, która nie nadeszła. – To oczywiste, że nie mogę pana zabrać ze sobą, ale jeśli pan chce, mogę zgłosić pańską obecność miejscowemu Gestapo.

Tym razem to ona wpatrywała się w niego.

– To nie będzie konieczne, *Fräulein*. Tutejsza policja mnie nie obchodzi. Jak już wspomniałem, załatwiam obecnie pewne wrażliwe sprawy o znaczeniu dla wysiłku wojennego. Powiadomienie kogokolwiek o mojej obecności tutaj byłoby w tej chwili nierozsądne.

– A więc nie życzy pan sobie, żebym komukolwiek zgłosiła, że pan tu jest? Mogliby powiadomić Luftwaffe, pańskiego przełożonego, który wysłał pana tym samolotem.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Opuszczę panią, jak tylko drogi staną się

przejezdne. Do tej pory będę pani wdzięcznym gościem.

Franka zastanawiała się, czy wiedział, jak długo będą mu się zrastać nogi, czy z rozmysłem nie dopuszczał tej wiedzy do siebie. Miała jednak pewność co do jednego: nie był on znającym angielski pilotem Luftwaffe.

– Jak pan sobie życzy. – Odwróciła się do wyjścia.

– *Fräulein*, w jaki sposób mnie tu pani sprowadziła?

– Przywlekłam na saniach.

– Przywlekła pani? Nieprzytomnego? – Jego oczy rozszerzyły się w ciemności. Dłonie trzymał złożone przed sobą, jakby do modlitwy. – Jest pani naprawdę nadzwyczajną osobą. Mam u pani dozgonny dług.

– Teraz powinien pan się wyspać. A może potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nocnika? Na wszelki wypadek.

– Oczywiście – odpowiedziała i wyszła do kuchni. Znalazła tam odpowiednią miskę i przyniosła mężczyźnie. Przyjął ją z uśmiechem i jeszcze raz podziękował. Franka zamknęła za sobą drzwi, przekręcając klucz w zamku. Postanowiła nie używać więcej nazwiska „Werner Graf”. Wypowiadanie go na głos było poniżające dla nich obojga.

\*\*\*

Franka przebudziła się wraz ze świtem. Tej nocy spała głębiej niż od wielu miesięcy. Obecność mężczyzny w domu w jakiś sposób przytępiła wspomnienia nawiedzające ją w mroku. Nocą wspomnienia zawsze były gorsze, a samotne spanie stało się męczarnią. Z obecności nieznanego dało się czerpać pewną ulgę i Franka ją czuła. Zrobiła już dla niego tak wiele, a on dla niej... To on jako pierwszy przyszedł jej do głowy, gdy otworzyła oczy. Zastanawiała się, czy spał i czy cierpiał. Myślała o tym, czy jego kości pozostawały prawidłowo nastawione za pomocą łubków jej roboty i kiedy dowie się o nim prawdy, o ile w ogóle do tego dojdzie. Podłoga była zimna jak lód, więc Franka rozejrzała się za kapciami i wsunęła w nie stopy, zanim odważyła się podejść do okna. Rozsunąwszy zasłony, ujrzała zimowe słońce na bezchmurnym, błękitnym jak kobalt niebie. Śnieg leżał tak samo, jak poprzedniej nocy. Pojawiły się wątpliwości. Czy naprawdę musiała akurat dziś jechać do miasta? Czy nie mogła poczekać? Zostało im niewiele żywności, a Franka nie mogła pozostawić mężczyzny leżącego w cierpieniu, dopóki drogi znów nie staną się przejezdne. Kto wie, ile czasu to zajmie? W tych stronach drogi bywały czasem nieprzejezdne przez całe tygodnie, choć do takich przypadków dochodziło

jeszcze przed nadejściem nazistów z ich bezlitosną skutecznością. Podjęła więc decyzję: pojedzie do miasta jeszcze dziś. Pokona całą drogę aż do Fryburga. Znajdzie tam niezbędne zapasy i nikt jej nie będzie szukał – nie miała przed kim się ukrywać.

Franka podeszła pod pokój mężczyzny i przyłożyła ucho do drzwi. Ze środka nie dobiegał żaden szmer, więc wycofała się i wróciła do kuchni. Narty wciąż stały oparte o ścianę, tak jak je zostawiła wieczorem. Piętnaście kilometrów to była absurdalna odległość do jazdy na nartach, szczególnie biorąc pod uwagę, że przez ostatnie kilka lat France brakowało praktyki. Do głównej drogi prowadzącej do Fryburga pozostawały ze trzy kilometry, a co do swoich umiejętności łapania okazji stamtąd do miasta miała pewność. Dołożyła do pieców, zarówno w salonie, jak i w kuchni. Zanim wróci, ogień zdąży dawno wygasnąć, ale pod jej nieobecność zapewni trochę ciepła.

Ostatnio we Fryburgu była ledwie przed kilkoma dniami, ale miała wrażenie, jakby minęły całe lata. Teraz była innym człowiekiem. Po paru dniach spędzonych tam w poprzednim tygodniu pozostało mgliste wspomnienie. Zamknęła oczy, próbując zapomnieć.

Franka otworzyła drzwi do pokoju mężczyzny, nasłuchując wszelkich odgłosów, zanim szeroko je rozwarła. Pokój był ciemny, zasłony wciąż zaciągnięte. W podłodze nadal zionęła dziura. Ranny spał na łóżku. Najwyraźniej od wieczora się nie poruszył. Zastanawiała się, czy go obudzić, ale się rozmyśliła. Podeszła do biurka w salonie, wyjęła kartkę i pióro.

*Wyjeżdżam do miasta po zapasy, o których rozmawialiśmy wieczorem. Zajmie mi to najwyżej kilka godzin. Proszę zostać w łóżku, dopóki nie wrócę.*

*Franka Gerber*

Zastanawiała się, czy nie powinna była podpisać kartki „panna Gerber”, ale nie miała ochoty trudzić się z przepisywaniem. Ranny wciąż spał, kiedy do niego wróciła. A co, jeżeli był jeńcem wojennym? Co wtedy? Czy mogła go tu trzymać aż do końca wojny? W obliczu alianckich desantów we Włoszech sprzed paru miesięcy oraz katastrofy pod Stalingradem ostateczna klęska Rzeszy w końcu wydawała się możliwa. Ale jednak nie bliska. Narodowi socjaliści wciąż trzymali żelazną ręką większość Europy, nie mówiąc o samych Niemczech. Czy mogła tu ukrywać mężczyznę przez wiele miesięcy, a nawet lat?

– Nie wszystko na raz, Franka – szepnęła. – Znajdź dla niego trochę proszków

przeciwbólowych i trochę jedzenia, żebyście oboje mogli przeżyć, a potem się będziesz martwić, co dalej.

Położyła kartkę na szafce nocnej, razem ze szklanką wody. Buteleczka aspiryny była pusta, ostatnie tabletki rozeszły się w nocy. Cały ciężar bólu czyhał, by spaść, gdy tylko męczyzna się obudzi. Franka zamknęła oczy, podnosząc pustą buteleczkę, wypuściła powietrze przez nos. Nic więcej nie zostało do zrobienia. Zamknęła za sobą drzwi.

Jasne światło słońca wpadające przez okna nie zwiodło jej żadnymi fałszywymi nadziejami na ciepło, więc założyła zimowe palto, kapelusz i rękawiczki. Wsunęła ramiona w paski plecaka, wzięła narty i wyszła w świt. Okulary słoneczne chroniły jej oczy przed palącym światłem. Wsunęła nogi w wiązania nart, które wciąż znakomicie na nią pasowały. Założenie ich przypominało wkroczenie w przeszłość.

Horyzont był czysty, przecinał go tylko kobierzec przykrytych śnieżnymi czapami drzew pnących się po okolicznych wzgórzach. Śnieg był nieskazitelny, dziewiczo biały i zdolny przyczynić piękna każdemu krajobrazowi, a co dopiero tak z natury malowniczemu jak ten. Kiedy ostatnio przyjrzała mu się naprawdę? Czy mrok, który ją ogarnął, przesłonił wszystko inne? Przyspieszyła, czując w sobie lekkość, którą uważała za utraconą. Chata znikła w oddali.

\*\*\*

Ziemia zbliżała się gwałtownie ku niemu, pęd powietrza czynił wszystkie jego zmysły bezużytecznymi. Sięgnął po spadochron, którego nie było. Ziemia poniżej zatrzymała się, zmieniła w pole za domem rodziców. Nagle znalazł się na ziemi, tocząc się po miękkiej trawie, lecz gdy spróbował się poruszyć, przeszył go ból. Ze snu wyrwał go dźwięk zamykających się frontowych drzwi. Przygryzł wargę, zaciskając pięści, kiedy przetaczał się przez niego huragan cierpienia. Opierał się mu, głęboko wciągając oddech przez nos. Znów otworzył oczy. Minęło kilka minut, brew miał mokrą od potu. Na szafce nocnej zobaczył kartkę. Pytania nadeszły szybciej, niż był w stanie je przetrwać. Umysł miał rozchybotany, na krawędziach osmalony bólem. Kim ona była? Czy to jakiś podstęp Gestapo, żeby zdobyć jego zaufanie, skłonić go do wyjawienia prawdziwej natury zadania? Kobieta powiedziała, że są piętnaście kilometrów od Fryburga. Próbował sobie przypomnieć, gdzie to dokładnie było i jak daleko do celu. To Schwarzwald – wylądował w owym Czarnym Lesie. Na pewno widzieli jego spadochron. Kobieta była agentką Gestapo. Jakim cudem miałyby

sprowadzić go tutaj na własną rękę? Wydawało się to niemożliwe. Ktoś musiał jej pomóc. Jej opowieść nie trzymała się kupy. Oczami duszy ujrzał jej twarz. Kobieta była śliczna jak sztylet o perłowej rękojeści. Sprawdził, czy ma rany na tułowiu. Głowa go bolała, ale poza tym, i oczywiście nie licząc nóg, wszystko chyba było z nim w porządku. Na pewno poszła po pomoc. Będą tu zapewne w ciągu kilku minut.

Sięgnął w dół, dotykając drewnianych łubków na nogach. Wydawały się wystarczająco kruche, żeby przykuć go do tego łóżka, ale widocznie taki był zamiar nieznamojem. Miał na sobie piżamę, plecaka brakowało, a mundur Luftwaffe poniewierał się rzucony w kącie pokoju. Mężczyzna podparł się na łóżku, próbując wyjrzeć przez szczelinę w okiennych zasłonach. Zobaczył tylko biel. Potrzebował jakiegoś planu. Etap pierwszy: wydostać się stąd. Ale jak? Łóżko zostało odsunięte aż na koniec sypialni. Do okna pozostawało jakieś osiem stóp przez cały pokój, ale równie dobrze mogłaby to być mila. Przełknął jeszcze łyk wody, zanim przeszedł do trudniejszej części. Lawina bólu, która na niego runęła, gdy nogi opadły mu z boku łóżka, nie przypominała niczego, co do tej pory przeżył. Musiał zatkać usta, żeby stłumić krzyk. W pokoju było zimno, ale na plecach czuł śliski pot. Położył się z powrotem i wziął kilka chrapliwych oddechów. W domu panowała cisza.

Zabrzmiał zegar z kukułką, dzwonek uderzył dziewięć razy. Dźwięk ten przywrócił go do rzeczywistości, a wtedy mężczyzna znalazł siłę, by znowu usiąść. Łagodnie opuszczał nogi przez krawędź łóżka, utrzymując ciężar ciała na rękach i wypuszczając głębokie oddechy przez zaciśnięte wargi.

– Panuj nad bólem – powiedział po niemiecku. Pilnował, żeby się nie pomylić: teraz każdy fałszywy krok mógł się okazać śmiertelny. „Utrzymuj swoją legendę”. – Dasz radę.

Jego bezużyteczne nogi dyndały z boku łóżka, a on sam siedział już twarzą do okna. Spoglądał w dół, na brakujące deski wyrwane przez młodą kobietę z podłogi. Po co to zrobiła? Chciała mu jak najbardziej utrudnić dotarcie do okna? Rozejrzał się po pokoju. Między nim a oknem nic nie było – o nic nie mógłby się oprzeć, gdyby już tam dotarł. Może lepiej byłoby czołgać się do drzwi.

Obrócił ciało ku przejściu i swobodnie upadł na podłogę. Sięgnął dłonią w dół. Ból palił go żywym ogniem, ale mężczyzna zacisnął zęby, starając się przenieść na dłoń jak największy ciężar. Zmierzając ku drzwiom, posuwał się naprzód na ramionach, włócząc nogi za sobą. Podciągnął się ku kłamce. Zamknięte, ale właściwie już przedtem o tym wiedział. Minęły dwie niekończące się minuty, zanim zawlókł swe połamane ciało w miejsce, gdzie

kobieta rzuciła jego lotniczą kurtkę. Z uśmiechem sięgnął do kieszeni na piersi po spinacze do papieru, które tam włożył po ostatniej odprawie.

Dziurka od klucza osadzona była w zmatowiałej tarczce na drewnianych drzwiach. Próbował przez nią wyrzeć, ale dostrzegął tylko blask płonącego kominka. Otwieranie zamków wytrychem nie należało do zakresu jego szkolenia. Był to raczej przedmiot nadobowiązkowy, którego nauczył go instruktor, a on doszedł w nim do mistrzostwa. Podparł się, jedną ręką trzymał kłamkę, drugą wpychał zgięty spinacz do dziurki, by przekreślić zapadkę. Za pierwszym razem nie trafił. Po kilku sekundach usłyszał szcęk towarzyszący ustąpieniu zapadki. Przekreślił gałkę, a drzwi się otworzyły.

W kominku buzował ogień. Obok stała sterta drew, a nad paleniskiem stały na gzymsie porcelanowe bibeloty i radio. Na tapecie jedno miejsce było mniej wypłowiałe niż reszta, co oznaczało, że zniknął stamtąd obraz. Rozglądając się po pokoju, mężczyzna zdał sobie sprawę, że zdjęto nawet kilka obrazów. Obok kominka stał nieruchomo pusty fotel bujany, a dalej stara, wytarta kanapa. Z lewej znajdowało się wejście do kuchni, a migoczące światło oznaczało, że pali tam się kolejny ogień. Jego plecak stał w kącie przy regale z książkami. Mężczyzna zastanawiał się, dlaczego nie próbowała go schować. Może nie było takiej potrzeby, skoro gestapowcy pewnie już tu jechali. Chata była cicha, nie dobiegały go żadne dźwięki prócz trzasków drewna w kominku.

Na przedramionach podczołgał się do plecaka, sięgnął do środka i wyciągnął odzież na zmianę, mapy oraz latarkę. Obu pistoletów brakowało, ale nie marnował czasu na rozmyślenia, gdzie kobieta mogła je ukryć. Siadł tylko oparty o ścianę i znów zajrzał do plecaka. Dokumenty okazały się nietknięte: książeczka żołdu Luftwaffe, skierowanie na urlop i rozkazy podróży były należycie podstemplowane, podpisane i kontrasygnowane. A przed sobą, o niecałe dziesięć metrów, miał frontowe drzwi.

\*\*\*

Franka spędziła wspaniałe pół godziny, zanim zjechała na dno doliny i ku głównej drodze do miasta. Została wystarczająco odśnieżona, żeby mogły przejechać samochody, zasypany śniegu piętrzyły się po obu stronach drogi.

– Narodowosocjalistyczna solidność – wymamrotała Franka sama do siebie.

Minęło pięć minut, zanim zatrzymała się ciężarówka, aby ją podwieźć. Hamując wśród śniegu, żołnierz Wehrmachtu pomachał do niej, żeby wsiadała. Franka zeszytniała, ale teraz nie miała szczególnego wyboru. Nie korzystając z

okazji, wzbudziłaby jeszcze więcej podejrzeń. Wetknęła narty pod pachę i ciężko podeszła ku drzwiom, które otworzył jej żołnierz.

– Dzień dobry, *Fräulein* – powiedział z uśmiechem. – Proszę wsiadać. Jadę do samego Fryburga.

– To doskonale, dziękuję.

Wspięła się ku fotelowi pasażera, z całych sił starała się odwzajemnić uśmiech żołnierza, zamykając za sobą drzwi. Był młody, najwyżej dwadzieścia dwa lata, jeszcze młodszy od niej.

– Co w taki dzień prowadzi panią do miasta?

– Jadę na zakupy. Nie spodziewałam się takiej pogody. Jesteśmy odcięci przez śniegi i zapasy powoli nam się kończą.

Patrzył na nią nieprzyjemnie długo, a ciężarówka zjechała ku poboczu, zanim skorygował kurs. Franka postanowiła nie komentować jego umiejętności szoferskich.

– Od lat nie jeździłam na nartach. Cieszę się, że mnie pan podwiózł.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *Fräulein*.

Starała się utrzymywać go w dobrym nastroju, kiedy gadał i gadał całą drogę do miasta. O sobie nic mu nie mówiła, na każde pytanie odpowiadając wymijająco. Zdolność taką wyszlifowała w ciągu minionych lat, doprowadziła ją wręcz do rangi sztuki.

Najpierw pokazały się zaśnieżone wzgórza wokół miasta, potem oprószone bielą dachy i iglice. Z daleka Fryburg wyglądał jak każde inne średniowieczne miasto Europy. Ale, jak każde inne miejsce w Niemczech, pod rządami narodowego socjalizmu Fryburg się zmienił. Alianckie bombowce nie sypnęły na niego zniszczeniem, jak na Hamburg, Kassel czy Drezno. Doświadczył tylko kilku małych nalotów, ale w pewien sposób czyniło to stratę ojca jeszcze bardziej dotkliwą. Jaki był sens tego październikowego bombardowania? Zastanawiała się, czy pilot albo bombardier myślał przez sen o tym, kogo zabijał, zrzucając bombę na kamienicę jej ojca. Czy oni w ogóle wiedzieli, że zabijają cywilów? Czy to ich obchodziło? Jakoś wątpiła. Czuli, że zaczyna się spinać. Oni nigdy nie poznają tego życzliwego, łagodnego człowieka, którego jej odebrali.

Wiadomość o śmierci ojca przyszła pocztą, a naczelnik więzienia odrzucił wniosek Franki o wyjazd na pogrzeb, stwierdzając, że „zdrajcom Rzeszy nie należy okazywać nienależnego współczucia”. Dopiero po wyjściu z więzienia mogła się udać na jego grób, by wygłosić cichutkie ostatnie pożegnanie.

Widok żołnierzy obsadzających punkt kontrolny na drodze do miasta dobitnie



przywrócił ją do rzeczywistości. Wytchnienia, jakim Franka cieszyła się w chacie, nie dało się tu znaleźć. Jak na dłoni widoczny był uścisk, w jakim narodowi socjaliści trzymali społeczeństwo Niemiec. Swoboda poruszania się czy nieograniczone możliwości podróży pozostały wspomnieniem przeszłości. Franka podała pakiet dokumentów, które miała obowiązek okazywać na żądanie, czasami po kilka razy dziennie. Siedziała w milczeniu, gdy wartownik je przeglądał.

– *Ahnenpass*? – zapytał.

Kiwnęła głową i sięgnęła do kieszeni po *Ahnenpass* – świadectwo aryjskiego rodowodu. Wartownik rzucił na nie okiem i oddał, kiwając głową. Franka pokryła uśmiechem zawstydzenie. Przypomniał jej się opowiadany ongiś przez Hansa stary dowcip o kłamstwach na temat aryjczyków.

– Jak wygląda aryjczyk? – pytał grupę.

– Blondyn jak Hitler! – który był brunetem.

– Wysoki jak Goebbels! – odpowiadał kto inny, a Goebbels mierzył metr sześćdziesiąt pięć.

– Doskonale wysportowany jak Göring! – ten zaś był odrażającym, opasłym wieprzem. Przez dowcipy wielu ludzi trafiało do więzienia. Naziści nie odznaczali się szczególnym poczuciem humoru. Jakakolwiek krytyka podlegała cenzurze i groziła karą więzienia albo jeszcze gorszą, niezależnie od tego, jak bardzo zabawny był żart.

Wartownik gestem kazał ciężarówce ruszać. Franka odrzuciła propozycję kierowcy, żeby wieczorem się z nim napiła, używając wymówki, że ma chłopaka na froncie wschodnim. Wysiadła w centrum miasta. Nazistowskie flagi powiewały na wietrze. Hitler wyjaśnił znaczenie poszczególnych elementów flagi w książce, którą napisał w więzieniu i którą Franka, jak wszystkie inne dzieci, musiała w szkole przestudiować niczym katechizm – zbiór przepisów regulujących życie. Czerwony płat oznaczał społeczną ideę ruchu, biały okrąg pośrodku świadczył o czystości jego nacjonalistycznych celów, a czarna swastyka symbolizowała wyższość rasy aryjskiej. Aryjczycy byli wymyśloną rasą jasnowłosych nadludzi, a naziści przekonali naród niemiecki, że właśnie do tej rasy należał. Franka sama była idealnym okazem aryjki – wysoka, atletyczna blondynka o przeszywających błękitnych oczach, których z czasem zaczęła się wręcz wstydzić. Gdy była nastolatką, schlebiały jej komplementy na temat jej doskonale aryjskiej urody. Dziś z ich powodu czuła odrazę.

Kilkaset metrów dalej tętnił życiem jarmark bożonarodzeniowy w cieniu fryburskiej katedry – gotyckiej świątyni górującej nad centrum miasta. Katedra

należała do nielicznych ocalałych miejsc kultu katolickiego, ale zachowano ją jedynie jako symbol wolności religijnej, którą obiecywał Hitler zaraz po dojściu do władzy. Nie odprawiano mszy – proboszcz przed laty trafił do obozu koncentracyjnego. Kościoły protestanckie pozostawały otwarte, lecz wiele lat wcześniej zjednoczono je w Niemiecki Kościół Ewangelicki, co miało zapewnić kontrolę nad kultem i zagwarantować, by głową Kościoła protestanckiego w Niemczech był członek partii nazistowskiej i aryjczyk. Wierni tego Kościoła nazywali siebie „niemieckimi chrześcijanami”, noszącymi „swastykę na piersi i krzyż w sercu”. Narodowi socjaliści nadal pozwalali świętować Boże Narodzenie, ale jego przyszłość w żadnym wypadku nie była pewna. Wszystko, co mogłoby osłabić wiarę w ideę nazistowską, uważano za zagrożenie.

Franka nie spuszczała oczu z chodnika, wlokąc się ulicą z nartami pod pachą i plecakiem na grzbiecie. Minęło ją kilku umundurowanych żołnierzy, śmiali się i żartowali. Jeden na nią zagwizdał, ale nie odrywała wzroku od szaro-białej mazi na brukowanym chodniku. Zastanawiała się, czy spotka jakichś znajomych. Jeśli tak, to czy o niej słyszeli? Czy unikali jej jako zdrajczynie? Miała nadzieję, że się tego nie dowie.

Dzwonek nad drzwiami apteki zadźwięczał, gdy weszła do środka. Wpatrzona wciąż w podłogę, skierowała się ku opiatom. Najpierw jej wzrok przyciągnęły małe buteleczki z heroiną, ale minęła je na rzecz morfiny. Kupiła zapas na kilka dni, razem ze strzykawkami potrzebnymi do jej podania. Wzięła też aspirynę, gips opatrunkowy, gazę i nylonowe skarpetki pasujące na nogi mężczyzny, po czym zabrała to wszystko do lady. Aptekarz, mężczyzna w średnim wieku, o grubych, siwych wąsach, zerkał na nią podejrzliwie sponad okularów. Na jego białym fartuchu Franka zauważyła nazistowską odznakę.

– Brat – uśmiechnęła się. – Wczoraj wieczorem połamiał nogi na sankach, a jesteśmy zasypani.

– To dość trudna sytuacja – odparł aptekarz. – Sama założy pani gips?

– Jestem pielęgniarką. Umiem to zrobić.

– Ma chłopak szczęście.

– Nie wiem, czy o kimś, kto złamał obie nogi, można powiedzieć, że ma szczęście, ale pewnie ma pan rację.

Aptekarz uśmiechnął się i podał jej brązową papierową torbę. Franka pożegnała się i opuściła aptekę, starając się wyglądać jak najzwyczajniej. W głębi duszy czuła, jakby miała zaraz zwymiotować.

Powietrze było rześkie w zetknięciu z jej lepką skórą, zaczynał prószyć lekki śnieżek. Żywność musiała zdobyć dopiero przed odjazdem. Brakowało jej

odosobnienia, jakie dawała chata. Ulice w tym pięknym mieście zostały wypaczone, wykoślawione wszechogarniającą ideologią nazizmu, która nie pozwalała prowadzić zadowolającego życia, szczególnie kobietom. Kobieta nie mogła zostać lekarką, prawniczką, urzędniczką państwową ani sędzią. Ławy przysięgłych mogły składać się tylko z mężczyzn. Kobietom nie można było zaufać, jeśli chodziło o podejmowanie decyzji – uważano je za zbyt łatwo ulegające emocjom. Poza tym kobiety nie mogły głosować, ale z wyborów i tak nie było większego pożytku. Wszystkie partie oprócz NSDAP zostały wyjęte spod prawa. Niemkom zabroniono nosić makijaż albo farbować czy ondulować włosy. Za to od najmłodszych lat wpajano dziewczynkom „trzy K”: *Kinder* (dzieci), *Kirche* (kościół) i *Küche* (kuchnia). Franka nadal pamiętała, jak drużynowe w Związku Dziewcząt Niemieckich kazały podwładnym zapomnieć o idiotycznym pomysle satysfakcjonującej kariery zawodowej. Ważniejszą rzeczą było siedzieć w domu i rodzić silnych synów, którzy pewnego dnia zaczną służyć Rzeszy. Taką oto rolę musiała odgrywać kobieta we współczesnych Niemczech i wiele dziewcząt, które Franka знаła w dzieciństwie, do tej roli się dostosowało. Niektóre otrzymały nawet Krzyż Matki Niemieckiej – odznaczenie nadawane przez nazistów matkom, które urodziły ponad pięcioro zdrowych aryjskich dzieci. Hildę Speigel, znajomą Franki ze Związku Dziewcząt Niemieckich, nagrodzono nawet najwyższym zaszczytem: złotym Krzyżem Matki za ośmioro dzieci, których dorobiła się przed ukończeniem dwudziestu siedmiu lat.

Wspomnienia dawnego życia jak szarańcza roiły się France wokół głowy. Każdy budynek, który mijala, budził nowe. Miejsce, gdzie stało ongiś mieszkanie, w którym jej ojciec spędził ostatnie pięć lat życia, znajdowało się zaledwie o parę przecznic stąd i Franka czuła, jak jej kroki zwalniają w miarę tego, jak się zbliżała. Pomyślała o mężczyźnie w chacie. To był jeden z nich – alianatów, którzy popełnili tę zbrodnię. Pragnęła luksusu, jakim było zapomnienie.

Dotarła do sklepu wielobranżowego. Naród niemiecki dotkliwie odczuwał wojenne spustoszenia. W pierwszych dniach wojny w sklepach panowała prawie taka sama obfitość, jak przed jej rozpoczęciem, ale reglamentacja zaczęła się na poważnie wiosną roku 1942, a obecnie wiele powszechnie używanych artykułów uważano za luksus. Od zapachu świeżego chleba zaburczało France w pustym brzuchu. Znalazła bochenek, do tego trochę sera i suszone mięso. Droga do domu wiodła przeważnie pod górę, więc starała się unikać cięższych towarów, takich jak puszki zupy, które tak długo wytrzymały w chacie. Kiedy zgromadziła

tyle jedzenia, na ile pozwoliły jej kartki na żywność, udała się do lady, by zapłacić pieniędzmi odziedziczonymi po ojcu. Przypomniała sobie, jak prawnik odczytywał jej testament. Był świadomy, że Franka pójdzie do więzienia, a choć nie powiedział tego na głos, podejrzewała, że wiedział, za co. W jego spojrzeniu dostrzegało się osąd.

Franka wyszła na ulicę. Była już prawie czternasta. Nie było sensu wracać do chaty o pustym brzuchu. Zostało jej wystarczająco dużo kartek na żywność, żeby mogła sobie pozwolić na obiad, a знаła odpowiedni lokal przy tej ulicy. Gdy weszła do środka, kawiarnia tętniła głośnym gwarem. W powietrzu wisiał dym. W kącie siedziało kilku żołnierzy, śmiejąc się i pijąc piwo. Usiadłszy jak najdalej od nich, Franka zamówiła sznycel z ziemniakami i filiżankę kawy z mlekiem. Posiłek podano po pięciu minutach. Był boski: pochłaniając go, ledwo robiła przerwy na oddech. Od sąsiedniego stolika wstał mężczyzna, pozostawiając gazetę – za nią mogła się ukryć. Podniosła ją i zasłoniła twarz. W środku pełno było opowieści wysławiających Führera i dzielnych żołnierzy, którzy walczyli w Rosji o przyszłość Niemiec. Po kilku sekundach przestała czytać i po prostu dała oczom odpocząć. Myślami była przy powrotnej drodze do chaty, rozmyślała o rannym, gdy nagle usłyszała przed sobą głos.

– Franka Gerber?

Opuszczając gazetę, poczuła, jak ściska ją coś w piersi. Czarny mundur Gestapo rzucił jej się w oczy, zanim jeszcze jej wzrok powędrował w górę, ku twarzy mężczyzny, którego miała nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć – Daniela Berkela.

\*\*\*

Mężczyzna odłożył do plecaka mapy, kompas, ubrania na zmianę i swoje dokumenty w takim samym stanie, w jakim je znalazł. Siedział przy regale z książkami. Do drzwi frontowych miał jakieś dziesięć metrów, ale tylne były jeszcze bliżej. Widział, jak sączy się spod nich biały blask słońca na śniegu. Nie był odpowiednio ubrany, by wyjść na zewnątrz, a przy złamanych nogach ucieczka była niemożliwa. Prawda, z którą próbował walczyć jego upór, stała się aż nazbyt oczywista: bez broni pozostawał na łasce Franki Gerber, kimkolwiek była. Ciągle miał na sobie pizamę, którą na niego wciągnęła, ale co mu zaszkodzi wyrzucić na zewnątrz? Może mówiła prawdę i rzeczywiście znajdowali się pośród gór. A może nie. Powłókł się po podłodze. Korytarz był zabłocony. Czołgając się, mężczyzna czuł pod dłońmi drobiny ziemi. Prawą rękę wyciągnął

do klamki, napierając lewym łokciem. Odsunął się z drogi i szarpnął drzwi, otwierając je na oścież. Oczy zaczął mu palić ocean bieli. Zimny powiew kąsał jego obnażoną pierś, a nogi bolały, jakby ktoś dźgał go nożem. Za drzwiami zobaczył składzik drewna opałowego. Za ledwie parę stóp dalej zaczynały się zaśnieżone drzewa. „Nic nie widać. Cholera”. Zamknął drzwi.

Przez kilka sekund odzyskiwał oddech, zanim znów się wczołgał do salonu. Ogień był ciepły, mężczyzna spędził minutę czy dwie, leżąc przed kominkiem. Co, u diabła, miał zrobić, nawet gdyby znajdowali się blisko miasta? Jak się miał tam dostać na połamanych nogach? Gdyby nawet dotarł żywy – co wydawało się tak absurdalne, że wręcz niemożliwe – to każdy, kto by go tam podrzucił, zaraz zabrałby go do szpitala. To oznaczałoby koniec – jego i zadania. Bardziej jednak prawdopodobne, że umarłby w śniegu, tak, jak bez wątplenia by się stało, gdyby ta kobieta go tu nie sprowadziła. Może i była tym, za kogo się podawała. Może miała dobre zamiary. Jak wielkie było prawdopodobieństwo, że w tym kraju fanatyków zostanie się znalezionym przez kogoś życzliwego? Widział w kronikach filmowych, jak ogromne tłumy wiwatują na każde słowo Hitlera, wymachują flagami, biją w bębny. Całemu narodowi jakby wyprano mózgi, by podążyć za ideą nazistów jak za nową religią. Inaczej dlaczego mieliby robić takie rzeczy, jak na terytoriach okupowanych? Jak inaczej mieliby usprawiedliwiać istnienie organizacji tak okrutnej jak Gestapo? Wspomnił słowa instruktora: „Nie ufaj nikomu”. Mawiał on też, że dobry Niemiec to martwy Niemiec. Rekruci reagowali śmiechem, ale nie można było wątpić w prawdziwość jego słów. Wszyscy w nie wierzyli, tak jak on sam.

Widok zza tylnych drzwi nic mu nie mówił. Musiał się upewnić. Zaczął pełznąć ku frontowemu wyjściu. Zegar z kukułką w korytarzu, przy frontowych drzwiach, wybił godzinę dziesiątą. Mężczyzna nie ustawał, jedna ręka, a potem druga, nie zwracał uwagi na ból przeszywający nogi. Sięgnął do drzwi i przekręcił gałkę, otwierając je na cal, zanim się odsunął, by móc otworzyć drzwi na oścież. Znów pojawiła się oślepiająca biel, a potem dostrzegł przysypanego śniegiem volkswagena. Najwyżej, jak mógł, podciągnął się na dłoniach. Jak okiem sięgnąć, nie było widać nic oprócz śniegu i drzew. Nawet drogi. Żadnego dźwięku. Żadnych innych oznak życia. Mówiła prawdę: byli tu sami.

Zamknął frontowe drzwi i zaczął pełznąć z powrotem do części mieszkalnej. Zamierzał leżeć w łóżku, kiedy kobieta wróci: nie chciał, aby podejrzewała, że wstał i myszkował po domu. Zatrzymał się przy stoliku w sieni, pod zegarem. Bardziej z kaprysu niż z innego powodu sięgnął w górę, by otworzyć małą szufladkę w stole. Otworzyła się, a on natychmiast rozpoznał dźwięk

przesuwającego się metalu. Włożył do środka rękę i wyciągnął rewolwer. Będzie gotów i jeśli przyjdą, zabierze kilku ze sobą.

\*\*\*

– Miło cię widzieć. Nigdy nie wyglądałaś lepiej. Ile to już czasu, Franka? – powiedział Berkel.

Franka wpatrywała się w trupa główkę na jego czapce. Zdjął nakrycie głowy i trzymał je pod pachą.

– Dziękuję. Całe lata, panie Berkel. Cztery?

– Nie widziałem cię, od kiedy wyjechałaś do Monachium. Mogę się przysiąc na chwilę? – Odsunął krzesło naprzeciwko niej.

– Oczywiście. – W tej sytuacji nie miała wyjścia.

– Proszę, mów mi Daniel. Nie powinniśmy być tak oficjalni tylko przez wzgląd na moje stanowisko. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi, którzy się akurat spotkali, i chodzi mi tylko o to – o spotkanie. Mogę zapalić?

Zaproponował jej papierosa. Nie paliła od kilku lat, ale i tak się poczęstowała. Zapalił najpierw jej papierosa, potem własnego. Powietrze między nimi wypełniły kłęby białego dymu. Franka rozsiadła się, licząc, że w ten sposób uspokoi nerwy.

– Co cię sprowadza znów do Fryburga? – ciągnął Berkel.

– Przyjechałam na grób ojca i na odczytanie testamentu.

– Aha, rzeczywiście. Widziałem jego nazwisko w spisie zabitych w ostatnim alianckim nalocie. Przykro mi z powodu twojej straty. Tych bestii nie obchodzi, ilu naszych rodaków zabijają. Nie mogę się doczekać dnia, kiedy będziemy mogli pomścić twojego ojca i setki tysięcy Niemców zamordowanych przez aliantów.

Franka poczuła, że cała dygoce.

– Ja też, Danielu.

Berkel wydawał się przekonany.

– Chciałbym też powiedzieć, jak bardzo mi było przykro, gdy się o tobie dowiedziałem. – Zaciągnął się papierosem. Franka nie wiedziała, co powiedzieć, jak zareagować. – Słyszałem, co się stało w Monachium. – Chciała zapytać, skąd, ale była świadoma, że zapewne wiedział wszystko o każdym z Fryburga. – To prawdziwa tragedia, że trafiłaś pod wpływ tych podłych zdrajców Rzeszy.

Serce jej stwardniało. Hans był sto razy lepszym człowiekiem niż Daniel czy którykolwiek z jego nazistowskich kompanów kiedykolwiek się stanie. Siedziała spokojnie, pod maską spokojnej powierzchowności skupiając się na panowaniu

nad przerażeniem.

– Dziękuję, Danielu.

– Tak bardzo się cieszę, że sędzia uznał, że jako kobieta potrzebujesz ochrony. Przez swój dobry charakter stałaś się bardziej podatna na podłe kłamstwa i propagandę, które szerzyły te szumowiny. Przykro mi, że przez to przeszłaś. – Zaciągnął się papierosem, po czym mówił dalej: – To musiało być straszne przeżycie. Wiem, że czasami trudno to przyznać, ale narodowi socjaliści pragną dla narodu niemieckiego tego, co najlepsze.

Franka nie zareagowała. Jego poważna mina pozwalała jej stwierdzić, że, co do słowa, naprawdę wierzył w to, co mówił.

– Miałam szczęście. Co do tego mam pewność.

– Racja. Cieszyłem się, że nie trafiłaś na szafot, jak inni zdrajcy. Nadal masz przed sobą przyszłość jako żona i matka. Pewnego dnia dasz Rzeszy synów, którzy będą jej służyć.

Daniel dopalił papierosa i zgasił w popielniczce na dzielącym ich stole. Franka zaciągnęła się swoim może ze trzy razy. Nachylił się do niej.

– Wiem, że poniosłaś nauczkę.

– Oczywiście. Byłam głupia, sprowadzili mnie na złą drogę. Powinnam była donieść na te świnię, ale się bałam. – Odetchnęła głęboko w daremnej próbie stłumienia bólu, który przynosiło wypowiedzenie tych słów.

Do stolika podeszła starsza kobieta. Berkel wstał, żeby się z nią przywitać.

– Panie Berkel, tak miło pana widzieć! – zawołała.

– Nawzajem, pani Goetsch. Wspaniale pani wygląda.

– Tak bardzo dziękuję!

– Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie.

Starsza pani podniosła torbę.

– Mam coś dla pana i pańskiej rodziny.

– O nie, nie mogę tego przyjąć.

– Proszę bardzo, dla pańskich synów. To dla nich – za wszystko, co pan zrobił dla mojej rodziny.

– Dziękuję. – Berkel przyjął torbę. – Nie zapomnę powiedzieć chłopcom, że myśli pani o nich w te święta.

– Wszystkiego dobrego, panie Berkel – powiedziała, cofając się. – Heil Hitler.

– Heil Hitler – odparł Berkel, po czym usiadł. – Wybacz – zwrócił się do Franki.

– Kto to był?

– Stara przyjaciółka rodziny. Była w potrzebie, a ja z przyjemnością jej

pomogłem. Szkoda, że ty nie pozwoliłaś, abym ci pomógł, nie przyszłaś do mnie, kiedy zdrajcy próbowali cię przekabacić.

– Może gdybyś tam wtedy był, z pewnością by mi było się do ciebie zwrócić.

– Miło mi to słyszeć. Teraz wiem, że sędzia wydał właściwy wyrok. Najwyższa pora zrobić coś ze swoim życiem. Myślałaś może, w jaki sposób mogłabyś się zrehabilitować wobec Rzeszy? Na pielęgniarki zawsze jest popyt, zwłaszcza kiedy nasi dzielni żołnierze na froncie rosyjskim co dzień odnoszą rany.

– Owszem, zastanawiałam się. Ale dopiero trzy tygodnie temu wyszłam z więzienia. Potrzebuję trochę czasu. Może po świętach.

– Rozumiem. Gdzie zamierzasz je spędzić?

– W Monachium. Tam jest teraz moje życie. Wróciłam tylko na parę dni.

– Ale wzięłaś ze sobą narty? – zapytał, spoglądając na podłogę za stołem.

Nagle uświadomiła sobie obecność w plecaku morfiny, gazy i gipsu. Jeżeli Daniel go przeszuka, wszystko się skończy.

– Mieszkanie ojca zbombardowali. Zatrzymałam się w starym letnim domku w górach. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałam się zasypania.

– Masz rację, taka pogoda to nie byle co. Ale mówisz, że na święta chcesz wrócić do Monachium? To już za dziewięć dni.

– Taki mam zamiar. Nie mam ochoty przesiedzieć świąt samotnie w tej starej chacie. Chcę jak najszybciej wrócić do Monachium.

– Pamiętam ten domek. Spędziliśmy tam parę miłych chwil.

Franka starała się nie dygotać, wspominając weekendy spędzane z nim w ojcowskiej chacie. Lata szkoły średniej, kiedy Daniel był dziarskim dowódcą w miejscowym Hitlerjugend, wydawały się odległe o całe wieki. Większość dziewczyn była o niego zazdrosna. Teraz mogły go sobie wziąć. Dostrzegła obrączkę na jego palcu.

– Jesteś żonaty?

– Tak, już cztery lata. Pamiętasz Helgę Dagover?

– Pewnie.

– Mamy dwóch synów, Bastiana i Jürgena.

– Moje gratulacje.

– To wspaniali aryjscy chłopcy, jakich nasz kraj potrzebuje. Oczywiście zanim dorosną, wojna się skończy i będą mogli zbierać plony tego, co teraz staramy się zasiać.

Franka nie odpowiedziała. Pragnienie ucieczki, zniknięcia, było wręcz nieopanowane, a żeby spokojnie usiedzieć na miejscu, potrzebowała wszystkich



swoich sił.

– Chcesz zobaczyć ich zdjęcie?

– Pewnie.

Berkel sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. Gdy wyciągał zeń fotografię, jego twarz przeciął dumny uśmiech, a oczy tak mu się zaświeciły, że Franka dotąd nie sądziła, że to możliwe.

– Czyż to nie najpiękniejsi chłopcy na świecie?

– Zaiste.

– Tak bardzo ich kocham... Najgorsza część mojej pracy polega na tym, że tyle czasu spędzam z dala od nich, ale cały czas pozostają w moim sercu.

Schował zdjęcie do portfela. Z kieszeni wyjął posrebrzaną papierośnicę. Franka spostrzegła, że wyryte na niej inicjały nie były jego. Raz jeszcze poczęstował ją papierosem, ale odmówiła. Minęło wiele lat, od kiedy ostatnio paliła, a poprzedni papieros dołożył swoje do nudności, które ogarniały ją jak szumowiny gromadzące się na nieruchomej powierzchni stawu. Daniel zapalił i odchylił się w fotelu. W głowie Franki pojawiła się wizja nieznanego w domku.

– Nie wyszłaś za męża, Franka.

– Ano, nie wyszłam.

– Ile masz lat, dwadzieścia sześć? Wiele jeszcze masz do zaoferowania. Nie chcesz chyba skończyć jako stara panna? Odpowiedni czas na macierzyństwo przecieka ci przez palce. Wiesz, że kiedy twoja młodość przekwitnie, to już nie wróci.

– Wiem, ile mam lat, Danielu.

– Nie to miałem na myśli! Nie chciałem cię urazić. Jesteś dziś piękniejsza niż kiedykolwiek.

– To nic takiego, Danielu, jeszcze raz dziękuję – powiedziała, niezdolna utrzymać z nim kontaktu wzrokowego dłużej niż przez parę sekund.

– Już jako podłotek byłaś nie byle panną. – Odchylił się na drewnianym krześle i splótł ręce za głowę. – Tak, dobrze pamiętam. Wszyscy koledzy mi zazdrościli. Miałem najpiękniejszą dziewczynę w całym Fryburgu. Byłem najszcześniejszym chłopakiem na ziemi. I co się z nami stało? Nigdy nie dałaś mi szansy, po prostu mnie rzuciłaś.

„Zobaczyłam, jaki jesteś naprawdę. Zdałam sobie sprawę, w kogo cię zmienili”. Zastanawiała się czy świadomie nie dopuszczał do siebie prawdy, czy był to jakiś fortel, żeby sprawdzić jej lojalność, a może faktycznie nie wiedział. Czyżby do dziś się nie domyślił? Zerwali w 1936 roku, kiedy miała

dziewiętnaście lat. Później znów próbował się z nią zejść, a choć pozostawała nieugięta co do tego, że nie zostanie jego dziewczyną, to uważała, żeby nie odrzucić go w sposób zbyt obcesowy. Bała się jego rosnącej władzy i wpływów jako członka miejscowego Gestapo.

W „noc kryształową” roku 1938 dołączył do bojówek, gdy ulice Fryburga i każdego innego niemieckiego miasta czy miasteczka lśniły stłuczonym szkłem z okien i witryn żydowskich sklepów, kiedy nocne niebo płonęło czerwoną łuną od płomieni palonych synagog. Tysiące ludzi na terenie całej Rzeszy zginęły w zorganizowanych przez państwo rozruchach przeciw Żydom, a Daniel Berkel należał do prowodyrów jednego z włóczących się po ulicach stad dzikich psów, które wyciągały żydowskich sklepikarzy na ulice, gdzie kopano ich i bito. Tamtej nocy France otworzyły się oczy na to, co naziści naprawdę zamierzali osiągnąć w Niemczech. Poczuli się odmieniona. Powodem jej wyjazdu z Fryburga była w dużej mierze chęć oddalenia się od Berkela. Porzuciła Frediego, aby od niego uciec.

– To już stare dzieje. Po co babrać się w przeszłości, skoro naród niemiecki ma przed sobą tak świetlaną przyszłość? – Uśmiechnął się, ale spojrzenie mu spochmurniało. Zanim znów przemówił, zaciągnął się papierosem. – Masz coś do ukrycia? Możesz mi powiedzieć, wtedy pozostawimy przeszłość za sobą i od tej pory pozostaniemy przyjaciółmi. Jeżeli zamierzasz mieszkać we Fryburgu...

– Nie zamierzam. Za parę dni wracam do Monachium, jak tylko drogi będą przejezdne.

Akurat, gdy Berkel znów zaciągnął się papierosem, nadeszła kelnerka. Zamówił piwo, a Franka poczuła, jak kurczą się w niej wnętrzności.

– A więc znalazłaś kogoś?

– To nie tak. Oddaliliśmy się od siebie. W tamtych czasach byliśmy jeszcze dziećmi.

– Wielu moich współpracowników – dobrych, lojalnych ludzi, oddanych sprawie naszego kraju i obronie Rzeszy – w tym wieku było już żonatych. Niektórzy nawet jeszcze wcześniej zostali ojcami.

– To nie było nam pisane.

Kelnerka wróciła z piwem i powiedziała Berkelowi, że to na koszt firmy, jak zawsze dla Gestapo. Nie podziękował, tylko pochylił się do przodu, i znów wpatrywał się we Frankę.

– No więc czytałem, że zadawałaś się z hersztem tych zdrajców z Monachium. To on miał zostać ojcem twoich dzieci?

Imię Hansa wydawało się splamione przez to, że wspomniał o nim Berkel.

Franka schowała dłonie pod stołem, zaciskając pięści tak mocno, że prawie się skaleczyła.

– Ta część mojego życia to już zamknięty rozdział. – Powstrzymywała łzy. Nie zamierzała się przed nim rozplakać. Wolałaby już umrzeć niż płakać na jego oczach.

– Miałaś szczęście. Powinnaś być wdzięczna agentom Gestapo, którzy złapali jego i pozostałych. Katu też. Oddali ci największą przysługę, jaką władza może oddać jednostce. Uwolnili cię. Wyswobodzili z szaleństwa idei głoszonych przez tych zbrodniarzy, a nawet okazali się na tyle miłośnikami i wielkodusznymi, żeby darować ci życie.

Każde słowo bolało. Miała być wdzięczna, że sędzia darował jej życie? Przecież tyle razy od tej pory żałowała, że nie stało się inaczej.

– Robi mi się niedobrze na myśl, że tacy ludzie istnieją – słowo „ludzie” wypowiedział takim tonem, jakby to była obelga. – Ale pocieszające, że wymierzono im szybką karę, na jaką zasłużyli, a niewinnych udało się ochronić przed ich podłym wpływem.

– Robili to, co uważali za najlepsze dla narodu niemieckiego – odparła. Jej głos był tak cichy, że prawie sama się nie słyszała.

Berkel pokręcił głową i pociągnął solidny łyk piwa.

– Naiwni głupcy. Chcieli nas cofnąć w czasy galopującego bezrobocia i rozruchów na ulicach? Demokracja to największa zaraza, jaka kiedykolwiek spadła na nasz kraj! Führer uwolnił nas od przekleństwa Wersalu, uratował przed listopadowymi bandytami i na nowo utrwalił należne nam miejsce wśród największych narodów świata.

Franka chciała zapytać, czemu Daniel nie walczył na froncie, skoro był tak oddany idei. Ale Gestapo nie funkcjonowało według jakichkolwiek zasad praworządności. Mógłby w tej właśnie chwili zabrać ją do siedziby Gestapo w śródmieściu i nikt by jej już więcej nie zobaczył. Nikt by nawet nie zadawał pytań. Stałaby się jeszcze jednym zaginionym wrogiem narodu. Jej życie zależało wyłącznie od widzimisię mężczyzny, któremu kiedyś złamała serce.

– Masz rację, wprowadzono mnie w błąd. Jestem wdzięczna, że darowano mi życie. Przywódcy zmuszali mnie, żebym chodziła na zebrania. Stworzyli wrażenie, że to coś patriotycznego.

– A było wprost przeciwnie. Miło mi widzieć, że nie do końca dałaś się im uwieść. To wielka ulga wiedzieć, że dostałaś drugą szansę, żeby naprawić swoje błędy.

– Miło było cię spotkać, Danielu, ale naprawdę muszę już iść. Powinnam

przed zmrokiem wrócić do chaty.

Zanim odpowiedział, przez parę sekund wpatrywał się w nią z przeciwnej strony stołu.

– Oczywiście. Taka wędrownka po ciemku byłaby bardzo niebezpieczna. Nie chcę mieć na sumieniu twojego spóźnienia.

– Racja, Danielu. Jeśli wybaczysz... – powiedziała, wstając.

Nie poruszył się, tylko z krzesła piorunował ją wzrokiem.

– Ale czekaj, drogi w tamtą stronę są zasypane, prawda? Dlatego masz przy sobie narty.

– Masz rację, dlatego naprawdę już muszę iść...

– Jak zamierzasz wrócić? Nie sądzę, żebyś zdołała przejechać na nartach aż piętnaście kilometrów.

– O wszystko zadbałam.

– W jaki sposób? Chyba nie masz ze sobą auta. Na pewno utknęło w śniegach, pod chatą.

– Tak, ale...

– No więc jak zamierzałaś wrócić?

– Ktoś czeka, żeby mnie podwieźć.

– Kto? Nikogo tu już nie znasz, a po odsiadce nie masz pewnie najlepszej opinii.

– Cóż, miałam zamiar...

– Złapać okazję? Bez sensu. Ja cię podwiozę.

Franka poczuła, jak jej serce podskakuje.

– Nie, nie chcę ci sprawiać kłopotu. To będzie ponad godzina wyjęta z twojego dnia ciężkiej pracy.

– Jestem na obiedzie. Potem mogę nadrobić. – Jego wzrok wiercił w niej dziurę. Zbierała się do odpowiedzi, ale to nic by nie dało. Berkel wstał. – W porządku: to postanowione. Mam auto przed barem. Jesteś gotowa do drogi?

– Muszę jeszcze zapłacić rachunek.

– Połóż pieniądze na stoliku.

Franka rzuciła na blat parę pogniecionych banknotów. Berkel nic więcej nie powiedział, wyprowadzając ją z kawiarni. Na zewnątrz stał czarny mercedes. Daniel otworzył tylne drzwi, aby mogła tam wcisnąć narty i kijki. Plecak wzięła ze sobą, stawiając pod nogami, gdy zajmowała fotel pasażera.

„Trzymaj gębę na kłódkę. Zgadzasz się ze wszystkim, co mówi”.

Jadąc przez miasto, rozmawiali o niegdysiejszych znajomych i dawnych czasach. Franka zastanawiała się, czy on ją sprawdza, czy naprawdę żywi jakieś

złudzenie, że pozostają starymi przyjaciółmi. Może jedno i drugie, a może w ogóle chodziło mu o coś innego. Mimo wszystko musiała okazać papiery wartownikowi na punkcie kontrolnym. Berkel pozdrowił go niedbałym salutem, podkreślającym jego starszeństwo stopnia. Poczekala, aż opuścili miasto i wjechali na szosę, zanim zadała pytanie.

– Jacy są twoi chłopcy?

– Cudowni, po prostu cudowni. Najpiękniejsze istoty, jakie widziałem, a do tego silni, młodzi aryjczycy. Jesteśmy z nich dumni. Jürgen ma dopiero trzy lata, a już umie zaśpiewać *Deutschland über alles*.

Franka ucichła, gdy Berkel opowiadał jej o swoich synach. Dało jej to chwilę wytchnienia, ale wkrótce znów zaczął wychwalać wspaniałość Rzeszy i geniusz Hitlera. Minuty ciągnęły

się nieznośnie. Wreszcie pojawiło się miejsce, w którym musiała wysiąść – wyglądało jak oaza.

– Będę wdzięczna, jeżeli tu mnie wysadzisz, Danielu. Byłeś bardzo miły. Bardziej małostkowi ludzie na zawsze żywiliby do mnie urazę za to, co zrobiłam. Popełniałam błędy, ale od tej pory jestem zdecydowana wieść jak najlepsze życie.

Berkel zjechał na pobocze i zwrócił się do niej.

– Na tym polega moja praca, Franka, żeby cały czas być podejrzliwym, a więc cały czas jestem. Wspaniale było cię zobaczyć, ale dla mnie jesteś kimś więcej niż tylko starą przyjaciółką. Jesteś skazanym wrogiem Rzeszy i choć uważam, że prawie każdy aryjczyk zasługuje na drugą szansę, to będziesz musiała udowodnić swoją lojalność wobec Rzeszy i naszego drogiego Führera. Mam nadzieję, że nigdy się nie spotkamy na stopie oficjalnej, ale wiedz, że mam cię na oku.

– Jak mówiłam, za parę dni wracam do Monachium...

– Skoro tak, to życzę ci wszystkiego dobrego i powiem „Heil Hitler”.

– Heil Hitler – odrzekła Franka słabym głosem. Założyła plecak. Berkel wysiadł, żeby pomóc z nartami, które jej wręczył.

– Miło było cię spotkać, Franka. Mam nadzieję, że znajdziesz spokój, którego szukasz. Uważaj, z kim się zadajesz.

Pokiwała głową, a Daniel wrócił do auta. Stała nieruchomo, gdy samochód odjeżdżał.

Czuła się pogwałcona, obrażona, pełna wstrętu. Chata nie wydawała się już bezpieczna ani wolna od nazistowskiego reżimu, którym Franka gardziła

bardziej niż kiedykolwiek. Skoro nie zostało już wiele dnia, nie miała czasu stać na poboczu i analizować tę rozmowę, i cieszyła się z takiego stanu rzeczy. Zapięła narty i ruszyła ścieżką ku chacie.

Z pewnością zapewnienia, że wraca do Monachium, dadzą jej spokój od nękania przez Gestapo. Ale co, jeżeli szukają tego mężczyzny? Ktoś mógł widzieć jego spadochron.

Wędrówka pod górę, z ciężącym jej prowiantem na grzbiecie, była znacznie trudniejsza niż droga w dół, w połowie Franka musiała się zatrzymać na odpoczynek. Kiedy w polu widzenia pojawiła się chata, światło dnia stopniowo już zanikało, a powietrze ciemniało z minuty na minutę. Wirujące płatki śniegu opadały w dół. W oknie sypialni nie paliło się światło. Franka zastanawiała się, czy ranny śpi. Czy teraz wreszcie zacznie jej ufać, po tym, jak pokonała dla niego całą drogę do miasta? Jak długo jeszcze ma trwać cała ta farsa z Wernerem Grafem? Jakim cudem miałyby mu zaufać, wiedząc, że okłamał ją co do swojej tożsamości? Dotarłszy do frontowych drzwi, zdjęła narty i otrzepała, po czym oparła je o ścianę. Zaskrzypiały otwierane drzwi. Światło kominka barwiło ściany salonu na pomarańczowo i żółto, a Franka zdziwiła się, jakim cudem mężczyzna zdołał dołożyć drew. Kiedy go ujrzała, siedział przy ogniu w fotelu na biegunach. W dłoni miał rewolwer ojca, a lufa mierzyła prosto w nią.

## ROZDZIAŁ 5

Franka pozwoliła, by plecak ześlizgnął jej się z ramienia i upadł na podłogę. Mężczyzna wpatrywał się w nią z rewolwerem wymierzonym w jej pierś. Oczy drgały mu w półmroku, z bólu zgrzytał zębami. Przeklinała się w myślach, że nie schowała broni starannie. Trudno było sobie wyobrazić, jakim cudem nieznajomy w ogóle wydostał się z łóżka, a co dopiero pokonał całą drogę do stolika przy frontowych drzwiach.

– Jak pan wyszedł z pokoju?

– To ja zadaję pytania.

Dostrzegła, jak palec tężeje mu na spuście.

– Mam dla pana proszki przeciwbólowe. Na pewno strasznie pana boli. Przyniosłam też jedzenie, wystarczy dla nas dwojga na wiele dni.

– Zadałem pytanie. Dlaczego tu jestem? Czemu mnie pani przyprowadziła do tego domu?

Jego niewdzięczność dotknęła Frankę do żywego i poczuła, jak gniew, zazwyczaj stępiony, zaczął w niej wzbierać. Mężczyzna był przerażony – obcy we wrogim kraju. Była wdzięczna, że nie pociągnął za spust, kiedy tylko przekroczyła próg.

– Ze zwykłej konieczności. Najbliższy szpital był za daleko i nie miałam jak pana tam zawieźć.

– Powiedziała pani komuś jeszcze, że tu jestem?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo pan nie chciał. Mówił pan, że nawet gdyby władze lokalne się dowiedziały, że pan tu jest, to by zaszkodziło panu zadaniu.

Wciąż się w nią wpatrywał i nadal celował do niej z rewolweru. Chyba nie wiedział, co dalej powiedzieć.

– Już mówiłam, nazywam się Franka Gerber. Jestem z Fryburga, a to był letni domek moich rodziców. Oboje już nie żyją. Ojciec zginął parę miesięcy temu w bombardowaniu miasta, a matka zmarła przed ośmiu laty, na raka. – Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o Fredim, ale uświadomiła sobie, że nie zdoła się wtedy powstrzymać przed płaczem, którego już i tak była bliska. – Sprowadziłam tu pana, bo potrzebował pan pomocy. Inaczej by pan umarł tam

w górach. To istny cud, że pana znalazłam. W promieniu wielu kilometrów nikogo innego tu nie ma.

– Czemu mnie tu pani trzyma? – Głos mu drżał, może z bólu, a może z innego powodu.

Franka wpatrywała się w lufę rewolweru.

– Bo nie miałam innego wyjścia. Drogi nieprzejezdne, nie mam jak pana doprowadzić do szosy głównej. Przy pana połamanych nogach to po prostu niemożliwe. – Wskazała plecak. – Mam tam gips, gazę i wszystko inne, czego trzeba, żeby założyć opatrunek. Mogę to dla pana zrobić, jeśli pan pozwoli, ale musi mi pan zaufać.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani aliancką agentką i nie trzyma mnie tutaj, żeby zyskać moje zaufanie?

– Nie jestem żadną agentką, tylko pielęgniarką z Fryburga.

Mężczyzna opuścił rewolwer o kilkanaście centymetrów, po czym znów go podniósł.

– Teraz zdejmę kapelusz i rękawiczki – oświadczyła Franka.

Pokiwał głową, a Franka zrobiła to, co zapowiedziała, upuszczając rękawiczki i kapelusz na podłogę. Powoli, z wyciągniętymi dłońmi podeszła ku mężczyźnie, jakby zbliżała się do wystraszonego psa.

– Nie ma się pan czego bać. Dla nikogo nie pracuję. Nie mam ukrytych zamiarów.

– Co pani zamierza ze mną zrobić?

– Chcę zobaczyć, jak pan stąd wychodzi. Nie chcę, aby opowiadał mi pan o swoim zadaniu. Może pan w ogóle nic nie mówić. Chcę tylko, żeby mi pan zaufał i wiedział, że nie chcę panu zrobić krzywdy.

Głos Franki drżał, choć próbowała to ukrywać. Wskazała gestem krzesło stojące obok. Mężczyzna się nie sprzeciwił, więc usiadła.

– Komu chce mnie pani wydać?

Podniósł dłoń, by zakaszczyć, ale ani na moment nie spuścił z Franki lufy rewolweru.

– Nie zamierzam wydawać pana nikomu, chyba że sam pan tego chce.

– Nie ma tu telefonu? I nikogo w promieniu wielu kilometrów?

– Jesteśmy sami. Może mnie pan zastrzelić, ale wtedy zabije sam siebie. Znowu pada śnieg. Możemy tu spędzić całe tygodnie. Pan, niezdolny do podróży, tutaj umrze. Musi mi pan zaufać. Nie mam złych zamiarów.

– Może mnie pani zabrać do miasta?

– Nie, nie da pan rady. Sama ledwo zdołałam tam dotrzeć, a znam tutejsze



drogi. Bywałam tu całe życie. Proszę sobie uświadomić, że na jakiś czas utknęliśmy tu we dwoje. Musimy zaufać sobie nawzajem. Muszę przyznać, że trudno mi panu zaufać, kiedy mierzy pan do mnie z tej broni.

– Przede wszystkim nie miała pani prawa odbierać mi pistoletów.

– To był tylko środek ostrożności, nic więcej. Nie były panu potrzebne.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Bo gdybym chciała pana zabić, to zostawiłabym pana w śniegu. Parę godzin dzieliło pana od śmierci, kiedy pana znalazłam.

Widziała, jak jego oczy ustępują, może przed logiką, a może przed koniecznością.

Opuścił rewolwer o kilkanaście centymetrów i na sekundę zamknął oczy.

– A skąd mam wiedzieć, że cokolwiek z tego, co mi pani mówi, jest prawdą?

– Gdybym była jakąś aliancką agentką, to skąd, do diaska, sama miałabym wiedzieć, że wylądował pan w śniegu pośrodku pustkowia, i to jeszcze w Niemczech? Skąd miałabym się wziąć w górach, czekając, aż spadnie pan z nieba? Sądzi pan, że ktoś znalazł pana nieprzytomnego i przywiózł tu, żeby dał się pan usidlić kobiecie?

Zamknął oczy, ale nie odpowiedział.

– Kto inny niż Gestapo mógłby tu wchodzić w grę? Gestapo nie bawi się w delikatność czy subtelności. Nie próbują podstępem wydobywać informacji z ofiar. Na ich miejscu już bym pana torturowała.

– Dlaczego niby miałbym się bać Gestapo?

– W takim razie czemu pan nie chce, żebym im o panu powiedziała?

Mężczyzna otworzył oczy, otworzył też usta, ale Franka nie pozwoliła mu się odezwać.

– Mogę panu pomóc. I chcę. Specjalnie dla pana pokonałam dziś całą drogę do Fryburga i z powrotem. Mogłam pójść bliżej, do wsi, ale tam nie mają prozków przeciwbólowych, których pan potrzebuje. Proszę odłożyć ten rewolwer i pozwolić, żebym panu pomogła, a wtedy, jak tylko drogi staną się przejezdne, przekażę pana lokalnym władzom, żeby mógł pan dalej się leczyć w szpitalu Luftwaffe.

Nieznajomy wbił wzrok w podłogę i złożył broń na podolku. Głos miał słaby, pozbawiony życia.

– Dlaczego pani to dla mnie robi?

– Bo jestem pielęgniarką. Bo pan potrzebuje pomocy. – „Bo chciałam znowu się stać potrzebna. Musiałam zrobić coś pożytecznego, coś dobrego”.

– Nie musi mnie pani przekazywać władzom. Sam o siebie zadbam.

– Jak pan sobie życzy, panie Graf. Nic mnie to nie obchodzi. Proszę to traktować jak szpitalną salę pooperacyjną. Mam tu robotę do wykonania, a kiedy pan odejdzie, za nic już nie poniosę odpowiedzialności. Czy to brzmi uczciwie?

– Owszem. Dziękuję, *Fräulein*. – Jego ciało zwiotczało, a z twarzy odpłynęły kolory.

– Proszę. Na pewno umiera pan z głodu. Wziął pan sobie coś do jedzenia?

– Nie zdołałem się dostać do kuchni.

– I tak niewiele by pan tam znalazł.

Franka głęboko odetchnęła. Nadal nie wiedziała, kim jest mężczyzna, ale rozmowa na ten temat mogła zaczekać. Teraz musiała znów stać się pielęgniarką i to było dobre uczucie. Sięgnęła do torby, wyjęła buteleczkę morfiny. Ranny nic nie mówił, gdy wyciągała strzykawkę i napełniała ją przezroczystą cieczą.

– To pomoże panu przetrwać najgorszy ból. Mam zapas na jakieś trzy dni, a potem wrócimy do aspiryny. Mogą wystąpić zawroty głowy, omdlenia albo senność, przyniosę wiadro na wymioty, ale i tak najbliższe kilka dni spędzi pan w łóżku. Nie ma potrzeby, aby pan wychodził.

– Rozumiem.

– Nie jest pan moim więźniem – powiedziała Franka, stukając paznokciem w zbiornik strzykawki. – Stoję po pana stronie. Sam się pan niedługo przekona. Może pan swobodnie odejść, jak tylko drogi będą przejezdne, albo zostać trochę dłużej, gdyby chciał pan tu jeszcze przez jakiś czas wracać do sił.

– Dziękuję.

– A teraz – jaką metodą zaciągniemy pana do łóżka?

– Wypełzłem stamtąd, to mogę i wpełznąć z powrotem.

– W jaki konkretnie sposób by pan chciał wpełznąć? Nie da pan rady się podciągnąć.

– Dam sobie radę.

– Mam lepszy pomysł.

Franka okrążyła rannego i przechyliła fotel bujany do tyłu, tak, że nogi mężczyzny znalazły się w powietrzu. Zdławił ból, przygryzając pięść. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam. Najpierw muszę zapakować pana z powrotem do łóżka, a potem dostanie pan proszki.

– To tylko lekka niewygoda. Nic mi nie jest.

Franka zdjęła dłoń z jego ramienia i popchnęła fotel. Mężczyzna wciąż miał rewolwer na kolanach. Nie sięgnęła po broń ani nawet nie poprosiła, żeby ją oddał. Popychanie rannego okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażała, drogę

do sypialni pokonywali bardzo powoli. Na szczęście było to tylko sześć metrów, a po kilku nieudanych próbach udało im się stanąć u łóżka.

Mężczyzna próbował się podciągnąć, jego grube ramiona zmagaly się z ciężarem ciała. Wreszcie Franka chwyciła go pod pachami, pomagając mu się podnieść i wciągnąć na łóżko. Sięgnął po rewolwer i wepchnął pod poduszkę. Najlepiej było pozwolić mu go zatrzymać – w ten sposób pokaże, że mu ufa i nie ma złych zamiarów. Mężczyzna się położył, grymas jego twarzy zdradzał nieumiejętnie skrywany ból. Pocił się i dyszał. Franka wyszła po szklankę wody, a po powrocie podała leki.

– Proszki zaczną działać za jakieś dwadzieścia minut, a jutro rano przygotuję opatrunek. Tymczasem zrobię panu coś do jedzenia, póki nie zaczęły się mdłości.

Pokiwał głową. Uśmiechnęła się do niego i znów poszła do kuchni, by wrócić z talerzem świeżego chleba z serem. Ranny zjadł to w kilka sekund, po czym z powrotem opadł na poduszkę. Było po siódmej.

– Teraz pana zostawię. Proszę się rozluźnić i dobrze wyspać. Jutro porozmawiamy. – „A wtedy to ja będę zadawać pytania”.

Mężczyzna zamknął oczy, gdy ogarnęła go euforia wywołana przez leki. Na jego twarzy zajaśniał ledwo widoczny uśmiech.

– Dobranoc, *Fräulein* – wyszeptał.

Przykryła go grubą warstwą koców, zgasiła lampę naftową, a wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Raz już sobie otworzył. Teraz zamykanie na klucz nie miało sensu. Musiała mu zaufać, bo wiedziała, że nie odda jej rewolweru ojca.

Zmęczenie, które cały dzień ignorowała, zaczęło dawać się we znaki, Franka powlekła się więc do kuchni, by zjeść trochę chleba z szynką. Choć ogromnie pragnęła iść do łóżka, to jednak wiedziała, że ogień nie będzie płonąć całą noc, a zapas drewna niebezpiecznie się kurczył. Dokończyła skromny posiłek, po czym, zbierając siły, narzuciła kapelusz, płaszcz i rękawice, aż wreszcie zmusiła się do wyjścia na zewnątrz. Na szczęście na tylnym ganku zostało akurat tyle porąbanego drewna, żeby dało się przetrwać noc. Nazajutrz musiała zdobyć więcej. Ta sprawa leżała w jej rękach. Wszystko miało leżeć.

Kiedy leżała w łóżku, jej myśli nawiedzał Daniel Berkel. Jego lodowato niebieskie oczy były ostatnim, co ujrzała, zanim w końcu pokonała ją senność.

\*\*\*

Gdy się przebudziła, w domu było zimno. Przez noc ognie wygasły i powietrze

w chacie stało się prawie lodowate. Jedyne schronienie dawała zwalista góra koców na łóżku, ale Franka wiedziała, że jedynie tymczasowe. Głód, pospołu z chęcią zajrzenia do mężczyzny, skierował jej stopy na podłogę. Płaszcz wisiał przy łóżku, przed wyjściem z sypialni Franka zarzuciła go na koszulę nocną. Gdy robiła na śniadanie chleb z serem i wątrobianką, z drugiej sypialni nie dobiegały żadne oznaki życia. Przez noc poważnie przybyło śniegu, prawie nie było już widać samochodu. Przynajmniej przykryje ślady stóp Franki, a jeśli drogi jeszcze przez kilka dni pozostaną nieprzejezdne, to mężczyzna zyska trochę czasu, żeby najgorszy ból mu przeszedł. Dodatkowe warstwy śniegu na dworze dadzą też pewną ochronę przed niepożądanymi odwiedzinami Berkela. Może zanim śnieg stopnieje, a drogi się udroźnią, Daniel uzna, że wróciła do Monachium. Pobożne życzenia. Gestapo nigdy niczego nie zakładało z góry. Musiała jak najszybciej dokończyć przygotowywanie kryjówki pod podłogą.

Franka poszła do mężczyzny, dwoma palcami popychając drzwi jego sypialni. Jeszcze spał – chrapał, leżąc na plecach.

– Śpij, kimkolwiek jesteś – wyszeptła. – To dla ciebie najlepsze.

Jeszcze minutę albo dwie stała w drzwiach, nasłuchując jego oddechu z nadzieją, że znowu usłyszy od niego coś po angielsku, co ugruntuje jej przekonania. Nic nie powiedział, po angielsku ani po niemiecku. Wyszła. Pilniejsza była kwestia ogrzania domu.

Śniegu za tylnym gankiem napadało na dobry metr. Franka wzięła sanie i pociągnęła do lasu, trzymając w ręku siekiere. W dzieciństwie nauczyła się takich rzeczy od ojca. Jego miłość nie była ani trochę słabsza przez to, że Franka była dziewczyną, ale z drugiej strony też jej nie rozpieszczał. Nauczył ją zbierać drewno, sezonować je i rozpalać ogień. Nauczył strzelać, zakładać sidła, skórować i patroszyć zwierzyne. Wprowadził ją też w dzieła Goethego, Hessego i Manna, a także w zakazaną dziś powieść Remarque’a *Na zachodzie bez zmian*. Przez dwie godziny spędzone na zbieraniu drewna Franka rozmyślała o ojcu. Alianci go zabili, a teraz jeden z nich spał w jego chacie. Próbowwała oddzielić w głowie nieznanego leżącego w zapasowym pokoju od ludzi, którzy zrzucili tamte bomby. Wiedziała, że to naziści byli agresorami, ale co za sprawiedliwość kryła się w nalotach dywanowych na cywilne cele? Zginęły już dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi, a bombardowania dopiero przybierały na sile. Ale z drugiej strony, wróg jej wroga był jej przyjacielem. Pomimo tego, co uczynili, alianci musieli mieć za sobą jakieś racje, a pomoc temu człowiekowi mogła dać jej szansę pewnego rodzaju zemsty na nazistach.

W domu, przy tylnych drzwiach, Franka ustawiła drwa w ustawione na krzyż,

luźne sterty, by suszenie zajęło jak najmniej czasu. Musiały wyschnąć szybko, bo wydawało się, że zimowa pogoda, podobnie jak sama wojna, jeszcze się pogorszy, zanim ulegnie poprawie.

Była prawie jedenasta przed południem, gdy Franka wróciła do sypialni rannego. Kiedy weszła, jego oczy się otwały. Były mętne, pełne bólu.

– Jak się pan czuje?

– W porządku. Prosiłbym może jeszcze trochę proszków. Noc przespałem, ale obawiam się, że teraz mogą przestać działać.

– Oczywiście.

Podchodząc do łóżka, miała w dłoni przygotowaną strzykawkę. Mężczyzna wyciągnął rękę spod grubej warstwy koców i wystawił do niej. Bez słów przyjął zastrzyk, bez drgnienia powieki obserwował, jak Franka wbija mu igłę w ramię.

Potem przyniosła mu lekki posiłek i odezwała się dopiero wtedy, gdy zjadł.

– Teraz założę panu gips na nogi. Będzie pan miał znacznie większe widoki na porządne wyzdrowienie, a po podaniu morfiny nie powinno to za bardzo boleć.

Oczy miał przymknięte, ale pokiwał głową.

– Najpierw będę musiała umyć panu nogi, potem założę pończochy.

Jego odpowiedzią było kolejne skinienie, oczy już zamknął.

Franka zagrzała trochę wody i zrobiła porządne mydliny w starej miednicy, znalezionej pod zlewem w kuchni. Zdjęła prymitywne drewniane łubki, zostawiając drewno na opał na następną noc. Umyła mężczyźnie nogi od kolan w dół. Wiedziała, że zapewne potrzebował pełnej kąpieli z użyciem gąbki, tym jednak będzie musiał zająć się sam. Tutaj nie wydawało się to właściwe. Naciągnęła pończochy, sięgające od kolan do kostek rannego, po czym owinęła je bandażami z gazy. Kiedy mieszała gips, słowa sypały jej się z ust, częściowo po to, by ranny czuł się pewniej, a trochę po to, żeby w zimnej ciszy pokoju słyszeć jakiś głos.

– Trzy lata byłam pielęgniarką w Monachium, w szpitalu uniwersyteckim. Widziałam mnóstwo złamanych nóg. W miarę trwania wojny pojawiały się coraz straszniejsze obrażenia. Widywałam coraz więcej młodych chłopców na progu życia, którzy mieli przed sobą całą przyszłość – bez nóg, bez rąk, bez oczu. A potem to już nie byli tylko sami żołnierze. Kobiety i dzieci, zmiażdżone we własnych łóżkach albo spalone na węgiel przez alianckie bomby. Tysiące, całe tysiące. Ciało nie mieściły się w kostnicy, nawet nie było co o tym myśleć. Musieliśmy je kłaść w bocznej uliczce, w stertach, jedno na drugich.

Przez parę minut nic nie mówiła, nasączając gazę rozrobionym gipsem i

owijając nogę.

– Pracowała pani kiedyś jako pielęgniarka w tych stronach?

– Nie, zaraz po skończeniu szkoły wyjechałam do Monachium. Skorzystałam z okazji, żeby jak najszybciej wyrwać się z Fryburga.

– Czemu chciała pani wyjechać?

Brzmienie jego głosu przeraziło Frankę. Oczy miał otwarte i patrzył na nią z góry.

– Byłam młoda. Zerwałam z chłopakiem. Pragnęłam nowego początku. Wykręciłam się od obowiązków wobec rodziny i odeszłam. Z jakiegoś powodu myślałam, że może ludzie w Monachium są inni.

– A byli?

– Niektórzy, ale niewielu.

Skończyła z pierwszą nogą, pozostawiając gips, by zastygł, i przeszła do drugiej.

– Wychodzi na to, że ciągle odpowiadam na pytania, chociaż to ja pana znalazłam w śniegu.

Nie zareagował.

– Dlaczego skakał pan nad górami i co się stało z samolotem? Nic nie słyszałam. Po co miałby pan skakać, jeśli z maszyną nic się nie działo?

Wahał się kilka sekund, a kiedy odpowiedział, głos miał zmieniony i przymulony.

– Bardzo mi przykro, panno Gerber, ale nie mogę rozmawiać o powodach, dla których tu jestem. To by mogło zagrozić mojemu zadaniu i narazić na niebezpieczeństwo dzielnych żołnierzy na froncie.

Franka skierowała wzrok z powrotem na nogę mężczyzny i przygryzła wargę.

– To proszę opowiedzieć mi coś o sobie. Skąd pan jest?

– Z Karlshorst w Berlinie. Zna pani stolicę?

– Słabo. Jako podłotek pojechałam parę razy ze swoim zastępem ze Związku Dziewcząt Niemieckich. Podziwialiśmy widoki: Unter den Linden, Reichstag, Zamek Miejski.

– Dla młodej dziewczyny to musiało być ekscytujące, stać tak w samym sercu Rzeszy.

Skończyła nakładanie gazy i zaczęła moczyć bandaż w gipsie. Druga noga już schła. Franka przesunęła palcami po powierzchni gipsu. Było dobrze.

– Ufa mi pan? – zapytała.

– Oczywiście. Jest pani lojalną obywatelką Rzeszy.

– To dlaczego wczoraj wieczorem mierzył pan do mnie z rewolweru?

– Nie byłem pewien, gdzie jestem. Wyszkolono mnie, abym nikomu nie ufał. Stawka jest za wysoka. Teraz widzę, że się myliłem. Zrozumiałem, kim pani jest. Podziwiam każdego, kto dla członka sił zbrojnych Führera zadałby sobie tyle trudu, co pani. Z pewnością pojmuję pani wartość każdego żołnierza w naszym dążeniu do ostatecznego zwycięstwa.

Franka prawie się zaśmiała z bezmyślnie powtarzanych przez niego sloganów, ale zdołała się pohamować. Co on myślał naprawdę?

– Dlaczego nie poprosił mnie pan, żebym w mieście nawiązała z kimś kontakt? Co z pana żoną i dziećmi? Wiedzą w ogóle, że pan żyje?

– To by groziło klęską mojego zadania. Muszę panią prosić, aby nie zgłaszała nikomu, że mnie pani widziała, a tym bardziej, że tu jestem.

Franka podeszła do okna, przekraczając dziurę w podłodze. Odsunęła zasłony. Tuż za oknem widać było sypiący śnieg.

– Znowu pada. Drogi będą nieprzejezdne jeszcze przez parę dni. A może tygodni. Jeszcze długo nigdzie się pan stąd nie ruszy. Musi pan zacząć mi ufać. Mogę się okazać jedyną pana przyjaciółką.

Podniosła miednicę, wrzuciła do niej artykuły medyczne i jak burza wypadła z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Minął dzień, potem następny. Przez większość czasu mężczyzna leżał w morfinicznym otępieniu, więc niewiele rozmawiali. Trzeciego dnia wyszedł z zamroczenia. Coraz mniej go bolało i tamtego rana Franka dała mu ostatni zastrzyk morfiny. Była druga po południu. Drzwi miał zamknięte, ale wyobrażała sobie, że do mężczyzny dobiegają audycje radiowe, których słuchała – żadne z nich nie były dozwolone przez narodowych socjalistów. Jeśli był tak lojalnym obywatelem, dlaczego nie protestował? To, co robiła, było nielegalne i wystarczyłoby, żeby wysłać ją z powrotem do więzienia. Siedziała w fotelu bujanym, ze wzrokiem utkwionym gdzieś poza książką. Próbowwała sobie wmawiać, że mężczyzna istotnie był tym, za kogo się podawał, ale nie dało się zignorować tego, co mówił przez sen i co usłyszała. Gdyby naprawdę był z Luftwaffe, nawet jako szpieg, to poprosiłby ją, żeby z kimś się skontaktowała podczas pobytu w mieście. Nawet jeśli mówił prawdę i denerwował się, by Gestapo nie usłyszało o jego zadaniu, to powinien istnieć ktoś, z kim można było się skontaktować. Na pewno ktoś chciałby wiedzieć, czy on żyje, czy umarł. Franka położyła książkę na kolanach i rozdrażniona potarła oczy.

Dołożyła do ognia parę drew i przez parę sekund przyglądała się, jak pochłaniają je płomienie. Wyglądało na to, że została już tylko jedna rzecz do zrobienia.

Gdy pchnęła drzwi, mężczyzna nie spał, wpatrywał się w sufit.

– Muszę panu powiedzieć, kim jestem. Jeżeli jest pan tym, za kogo się podaje, to najpewniej poczuje pan do mnie odrazę i ten tydzień czy dwa, które zmuszeni jesteśmy spędzić razem, stanie się dla nas trudny. Ale muszę. Może potem pan otworzy się przede mną.

– *Fräulein*, nie trzeba żadnej zbędnej gadaniny. Im mniej o sobie wiemy, tym lepiej. Jestem ogromnie wdzięczny za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, ale nie pozwolę, aby naraziła pani na klęskę moje zadanie.

– Zadanie? Jakże niby zadanie może wykonywać pilot Luftwaffe w górach Schwarzwald, i to zimą? Sądzę, że znalazł się pan tu przez pomyłkę. Uważam też, że zamierza pan uciec, jak tylko znów się dobrze poczuje. To pańska sprawa, o tyle, o ile nie zagrozi mojemu bezpieczeństwu.

Mężczyzna był w wyraźnym szoku.

– Nigdy bym pani w żaden sposób nie skrzywdził, teraz, kiedy już wiem...

– Zastanawiał się pan, po co wrywałam deski z podłogi, kiedy pan się obudził? – Mężczyzna nie odpowiedział, tylko się jej przyglądał. – Robiłam to, żeby mieć gdzie pana ukryć. Żeby nie leżał pan w łóżku, kiedy przyjdą gestapowcy, a przyjdą na pewno.

– *Fräulein*...

– Gestapowcy przyjdą – powtórzyła. – Natknęłam się na byłego chłopaka, który jest dziś kapitanem Gestapo. Nie mówiłam nic o panu, ale on przyjdzie, zwłaszcza jeśli już pana szukają. – Pochyliła się nad łóżkiem, dłonie złożyła na kocu. – Opowiem panu, kim jestem. Jeżeli pod koniec tej opowieści nadal będzie się pan podawał za pilota Luftwaffe, to zaopiekuję się tu panem przez następne kilka dni, a kiedy tylko się wypogodzi, będzie pan mógł pokuśtykać w nieznaną. Może pan też mi zaufać, a wtedy będę mogła pomóc.

Mężczyzna nie odpowiadał. Twarz miał bladą. Sięgnął po szklanekę wody, którą Franka zostawiła mu przy łóżku, a potem spojrzął na dziurę w podłodze. Powietrze wypełniła cisza.

– Proszę mówić – odezwał się.



## ROZDZIAŁ 6

Nadejście w roku 1933 nowego kanclerza nie wydawało się niczym doniosłym ani godnym uwagi. Było już ich wielu, a mało się od tego zmieniało na lepsze. Życie wciąż było ciężkie. Pogłębiał się ogólnoświatowy kryzys, w którym Niemcy ucierpiały chyba najbardziej. W gazetach pisano, że ponad piętnaście milionów ludzi, czyli dwadzieścia procent ludności kraju, żyło na poziomie minimum egzystencji. Nowego kanclerza, Hitlera, uważano za parweniusza, za kiepski żart. Jego Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza nigdy wcześniej nie zdobyła więcej niż 37 procent głosów, ale prezydent mianował go kanclerzem. Tak czy inaczej, „austriacki kapralik”, jak go określali przeciwnicy polityczni, nie wydawał się zdolny długo przetrwać. On i jego banda w brunatnych koszulach mieli utracić władzę, gdy tylko republika rozstrzygnie wewnętrzny konflikt, który spowodował rozłam wśród potęg politycznych. Poza tym w swych przemówieniach Hitler z pewnością nie mówił na poważnie o zamiarze zniszczenia republiki i rozpoczęcia nowego etapu, o determinacji, by pomścić klęskę Niemiec w wojnie światowej, czy o Żydach. Oświadczenie przekazane prasie przez jednego z jego rzeczników przeszło w zasadzie bez echa: „Winni Państwo zdać sobie sprawę, że to, co zaszło w Niemczech, nie jest zwyczajną zmianą. Czasy parlamentaryzmu i demokracji przeminęły. Oto początek nowej ery”.

W tym samym tygodniu Franka nauczyła się nowych słów, takich jak „chłoniak” czy „przerzuty”, i po raz pierwszy zobaczyła, jak ojciec płacze. Fredi nic nie rozumiał, a matka mocno tuliła go do piersi, gdy tak pięknie się do niej uśmiechał. Nalegała, by byli dzielni. Przeszli już tak wiele, a przyszłość kryła dla nich same wspaniałości. Zapewniała, że pokona raka, a potem będą nadal trwać razem. To był dopiero początek ich życia. Nie miała nawet czterdziestu lat. Nieważne, co mówili lekarze. Wiara miała pozwolić jej przetrwać, tak samo jak wcześniej, tak samo, jak gdy urodził się Fredi i później, przez całe wspólne życie z nim.

Rak się rozprzestrzenił.

W ciągu kilku tygodni Hitler umocnił władzę. Wolność słowa, prasy i zgromadzeń publicznych została zniesiona i tak zakończył się niemiecki eksperyment z wolnością i demokracją. Obywatele Niemiec bez mrugnięcia

okiem oddali Hitlerowi i nazistom władzę absolutną. Najwyraźniej nie czuli się uciskani przez nową władzę. Nie pokładali większej wiary w wadliwym i nieprzemyślanym systemie demokratycznym. Dzieciaki zaczęły zakładać do szkoły nazistowskie opaski naramienne, a nowe powitanie „Heil Hitler”, połączone z uniesieniem wyprostowanego ramienia, stało się oznaką lojalności wobec partii.

Entuzjazm dla przywództwa, które obiecywało postawić Niemcy z powrotem na piedestale jednego z największych narodów świata, był zaraźliwy. Franka go odczuwała. Czuł go zresztą prawie każdy młody człowiek, jakiego znała. Wydawało się, że naród niemiecki stoi na progu czegoś doniosłego i niesamowitego. Ze wszystkich stron sypały się wyrazy poparcia dla systemu narodowosocjalistycznego. Franka przeczytała raz nawet w gazecie, że poparcie dla nowego reżimu wyraziła organizacja pod nazwą Związek Żydów Narodowości Niemieckiej.

Zmianę odczuła prawie natychmiast. W całym kraju w miastach i miasteczkach pojawiała się nowa klasa rządząca, zdecydowana zaznaczyć swoją obecność. Pokrzepiona partyjnymi emblematami w butonierkach, legitymacjami w kieszeniach i swastykami na rękawach, ta do niedawna nieznaną i ignorowaną grupą zaczęła się czuć coraz pewniej. Josef Donitz, miejscowy sklepikarz, zaczął przychodzić do pracy w mundurze szturmowca. Po kilku tygodniach stanął na czele władz lokalnych bez jakichkolwiek formalności czy zachodu, z jakimi wiązały się wybory. Komendanta straży pożarnej, który od zawsze przyjaźnił się z ojcem Franki, wypchnął ze stanowiska młodszy strażak – znany jako alkoholik, ale akurat był członkiem partii. Pracownicy z partyjnymi referencjami szorstko się odzywali do kierowników, którzy zaczęli z szacunkiem słuchać. Na każdym szczeblu życia polityczno-społecznego rewolucja narodowych socjalistów przejawiała się jako swego rodzaju oddolny wyciek – szumowiny wypływały na wierzch.

Determinacja, jaką miała w sobie matka Franki, pozwoliła jej przekroczyć terminy prognozowane przez lekarzy. Dla Sarah „pół roku życia” znaczyło „zobaczmy się za rok, żebyś to odszczekał”. Chciała spędzać czas na zewnątrz, na cudownym, naturalnym placu zabaw, jaki wydawał się rozciągać wokół nich wprost bez końca. Ojciec Franki, Thomas, kupił chatę w górach od swego wuja Hermana, który traktował ją jako domek myśliwski w czasie wypraw na jelenie i dziki. Franka z matką zabrały się za remont domku, Thomas zaś starał się uczynić go zdatnym do zamieszkania przed nadejściem cieplejszych miesięcy. Rodzina spędziła tam większość lata 1933 roku, rozkoszując się wspólnie

spędzonym czasem. Z czasem Franka zaczęła uwielbiać widok rodziny siedzącej przed domem, gdy wracała z przyjaciółmi z górskiej wycieczki. W ciepłe letnie noce, gdy zachodzące słońce chowało się za chatą, spowijając niebo i drzewa pomarańczową i czerwoną poświatą, kiedy zapach jedzenia na kuchence mieszał się z dymem z fajki ojca, wydawało się, jakby Gerberowie odnaleźli własny zakątek raj. Pod koniec tego wspaniałego lata, gdy Sarah oznajmiła, że w następnym roku zamierza znów takie zobaczyć, Fredi przytulił ją z miłością. Franka i ojciec milczeli. Tylko Fredi wydawał się wierzyć, że to możliwe, ale czas przyznał mu rację.

Szkoła się zmieniała. Naziści zamierzali zostać partią młodych. Zasadniczym celem stało się opanowanie i utrzymanie pod kontrolą lojalności niemieckiej młodzieży. Wpływ rewolucji narodowosocjalistycznej był wyraźny, kiedy po wakacjach Franka wróciła do Fryburga. W każdej klasie wywieszono nazistowską flagę, a na ścianach, w miejsce krucyfiksów, pojawiły się nagle portrety Adolfa Hitlera, półboga na czele narodu. Podobizna człowieka, którego jeszcze przed rokiem Franka by nie rozpoznała, wisiała teraz w każdej sali lekcyjnej. Książki ze szkolnej biblioteki, które uznano za wywrotowe, zostały wyniesione na zewnątrz, ułożone w wysokie stosy i spalone na podwórzu. Franka zapytała bibliotekarza, co konkretnie zabrano, i dowiedziała się, że miejscowi członkowie partii usunęli wszelkie książki, czy to z dziedziny literatury pięknej, czy naukowej, które głosiły idee liberalne lub sugerowały, że ludzie powinni sami panować nad własnym przeznaczeniem, zamiast podążać za Führerem. Wkrótce luki na półkach wypełniły nowe książki o tym, jak narodowi socjaliści uratowali Niemcy z otchłani Republiki Weimarskiej. Te nowe pozycje napisane były infantylnym, prymitywnym językiem, ale żaden z nauczycieli się nie skarżył. Wszyscy wstąpili do Narodowosocjalistycznego Związku Nauczycieli. Pragnąc zachować posady i działając pod naciskiem władz lokalnych, zaczęli propagować nowe idee nazistów. Ulubiony nauczyciel Franki, pan Stiegel, należał do nielicznych, którzy sprzeciwiali się nowym porządkom, nalegając, aby pozwolono mu prowadzić zajęcia tak samo jak przed dojściem nowej partii do władzy. Wytrwał dwa tygodnie, a gdy Franka i kilkoro innych uczniów poszli go odwiedzić do starego domu pod miastem, zastali budynek pusty. Nigdy więcej nie zobaczyli pana Stiegla. Nina Hess przechwalała się później, że to ona doniosła na niego jednemu z miejscowych przywódców NSDAP. W nagrodę otrzymała czerwoną szarfę, symbolizującą lojalność wobec reżimu narodowosocjalistycznego, którą przez resztę roku szkolnego zakładała codziennie.

Nikt nie chciał pozostawać w tyle, więc Franka dała się ponieść gwałtownej fali entuzjazmu dla nowego świtu rasy aryjskiej. Naziści zaczęli używać pojęcia „aryjczyk” na oznaczenie cech idealnych Niemców. Franka bez wątplenia należała do opisywanej przez nich rasy nadludzi. Było w tym coś przyjemnego, gdy się słyszało od władzy, że jasne włosy i błękitne oczy są doskonałe, że czynią cię idealną Niemką. Franka nie znała innych ras, ale narodowi socjaliści utrzymywali, że zarówno ona, jak i jej koledzy byli krwią z krwi rasy panów, a więc stali wyżej od wszystkich pozostałych. To było miłe uczucie. Uważała się za część czegoś ważnego.

Decyzja o wstąpieniu do Związku Dziewcząt Niemieckich przyszła jej łatwo. Wszystkie jej koleżanki już do niego należały. Miała prawie osiemnaście lat, trochę za dużo jak na członkinię, ale perspektywa osiągnięcia stanowiska zastępowej dodawała jej motywacji. Nie chciała odstawać od reszty, a poza tym to nie był dobry czas, żeby stać na uboczu. To był czas śmiałego działania. Tak więc wstąpiła, mimo protestów rodziców, którzy zdawali się być nieufni wobec partii nazistowskiej na prawie każdym szczeblu. Franka Gerber stanowiła wzór wspaniałej młodzieży, z której pomocą, według proroctwa Hitlera, Niemcy mieli zapanować nad światem, i nie zamierzała dopuścić, by jakiegokolwiek staromodne poglądy stały jej na przeszkodzie. Chciała zrobić swoje dla idei narodu niemieckiego.

Franka uwielbiała swój mundur, złożony z białej bluzki z luźnym czarnym krawatem, ciasno spiętym emblematem ze swastyką, oraz granatowej spódnicy. Dziewczęta ze Związku maszerowały w bardzo podobny sposób jak rzucający im spojrzenia chłopcy z Hitlerjugend. Ćwiczyły musztrę, wykonywały ćwiczenia gimnastyczne i chodziły na długie wycieczki, często nocując pod gołym niebem, gdzie śpiewały pieśni wysławiające Führera i tęskniły za dniem, gdy będą mogły dać krajowi zdrowych synów na rzecz przyszłego wysiłku wojennego. Pomiędzy dziewczynami nawiązywały się więzi siostrzeństwa. Wspólne cele i skupione na nich starania zbliżały je do siebie. Wspaniale było czuć się akceptowaną, cenioną, wyjątkową.

Daniel był w Hitlerjugend drużynowym i prowadził musztrę, gdy chłopcy biegali przez miasto w koszulkach ze swastyką, śpiewając: „stare musi zginąć, słabe musi zgnieć”. Zaiste był to kwiat niemieckiej młodzieży, szczupli i gibcy, szybcy jak charty i twardzi jak stal Kruppa – tak, jak żądał sam Hitler. Daniel zaś był najwspanialszy z nich wszystkich i kierował młodszymi junakami z surową, lecz sprawiedliwą pewnością siebie. Wszystkie dziewczęta rozmawiały o nim zarumienione, a gdy przechodził obok, szeptały z zasłoniętymi ustami.

Franka i on przyciągnęli się jak magnesy – oboje uosabiali wszystko, co silne i piękne w nowych Niemczech. Jego ojciec, przed rewolucją narodowosocjalistyczną bezrobotny, teraz został jednym z najważniejszych członków rady miejskiej. Franka nigdy nie widziała go bez nazistowskiej odznaki na piersi albo partyjnej opaski na ramieniu. Jego syn był wcieleniem jego marzeń, stanowił obietnicę nowego, lepszego życia dla rasy aryjskiej.

Wobec rekrutów Daniel był surowy, ale krył w sobie czułość, którą najwyraźniej okazywał tylko France. Był ambitny i dalekowzroczny, poważny i zdecydowany: idealny chłopak na ekscytujące czasy, które Franka przeżywała. Czowała się wciągana coraz głębiej. Pod koniec szkoły, tuż przed wręczeniem świadectw, zabrała go do domu, by poznał jej rodziców. Daniel był pełen szacunku i uprzejmy. Przyszedł na obiad w mundurze dowódcy Hitlerjugend i przywitał się nazistowskim salutem, kiedy ojciec Franki otworzył przed nim drzwi. Matka zrobiła krok naprzód, uśmiechając się najlepiej, jak umiała, gdy ją pozdrawiał. Udali się do stołu, a Franka usiadła obok Daniela. Fredi siedział na swoim stałym miejscu u końca stołu. Daniel pozdrowił go skinieniem. Nie był jednak nieśmiały wobec jej rodziców i opowiadał o swoich zamiarach wstąpienia do nowo sformowanego Gestapo, doborowej formacji policyjnej, i o konieczności obrony rewolucji przed szpiegami i pasożytami. Wtedy po raz pierwszy Franka usłyszała wyrażenie „wrogowie państwa”. Rodzice zachowywali uprzejmość, ale widziała, jak podczas posiłku spoglądają na siebie zmrużonymi oczami, czuła ich osąd. Wiedziała, co ją czeka po jego wyjściu.

Ojciec zaniósł Frediego do łóżka. Matka czekała, aż wróci na parter, zanim kazała France usiąść. Położyła bladą dłoń na nodze córki. Wyglądała już przez cały czas na zmęczoną, jej piękno tłumił niewidzialny wróg czający się w jej wnętrzu. Przekrwione oczy miała poważne, lecz spokojne.

– Na ile poważna jest ta sprawa z Danielem? Wiem, że już jakiś czas się spotykacie.

– Kocham go, mamu. Byłaś tylko trochę starsza ode mnie, kiedy poznałaś ojca.

Thomas usiadł, przecierając oczy.

– Miałem dwadzieścia dwa lata, matka dziewiętnaście. Ty masz siedemnaście i chodzisz jeszcze do szkoły. Zastanawiamy się, czy Daniel nie odciąga cię od nauki. Tak bardzo się teraz angażujesz w ten Związek Dziewcząt... Chyba spędzasz z nimi cały wolny czas.

– Kocham swoją drużynę. Jestem czegoś częścią. Nie macie pojęcia, co się dzieje w kraju. Utknęliście w starym świecie kajzera i weimarskich głupców,

przez których Niemcy osiadły na mieliźnie.

– W starym świecie? – zdziwiła się Sarah. – Kto cię nauczył czegoś takiego?

Franka przepędziła życzliwe emocje, które kazały jej uspokajać matkę. To nie byłoby patriotyczne. Nadarzała się okazja przekonać rodziców, że każdy Niemiec ma obowiązek dopomóc rewolucji narodowosocjalistycznej.

– Martwimy się o ciebie – powiedziała matka.

– Niby o co? Mam koleżeństwo innych dziewczyn w Związku. Nawet wszyscy nauczyciele głoszą chwałę nowego ruchu. Wszyscy to robią, tylko nie wy.

– No to opowiedz o tej waszej wspaniałej rewolucji – powiedział Thomas ściszoneg głosem.

– Popatrzcie tylko na statystyki w gazecie. Hitler robi koniec z kryzysem. Bezrobocie spada do poziomu, o jakim przed dojściem Führera do władzy nikt by nawet nie marzył. Robotnik niemiecki znów jest wydajny. Nie uważacie, że to osiągnięcie warte pochwały?

– Oczywiście – odparł ojciec – ale pomyśl, w jaki sposób on to robi. Tryby przemysłu znów zaczynają się kręcić – przemysłu wojennego. Hitler kieruje nas na drogę ku wojnie. A statystyki, o których mówisz, nie obejmują kobiet i Żydów – dwóch grup wykluczonych z siły roboczej.

– Hitler przywraca Niemcom wielkość.

– W imię narodu czy tylko swojej partii? To się skończy wojną.

– Führera chwali cały świat. Inge, moja drużynowa, pokazała nam w gazecie artykuł, gdzie David Lloyd George, brytyjski premier z czasów wojny, nazwał Hitlera wielkim przywódcą. Chciałby, żeby Brytyjczycy też mieli takiego męża stanu.

– Chyba zgłupiał – odparła Sarah.

– Znam nazistów lepiej niż on – stwierdził ojciec. – To wilki żerujące na naszym narodzie. Boję się, Franka. Boję się wpływu, jaki na ciebie mają. Taki chłopak jak Daniel tylko ten wpływ pogorszy.

– Znalazłam swoje miejsce w szeregach rewolucji, tato. Narodowi socjaliści wprowadzają reformy dla dobra wszystkich Niemców, łącznie z tobą.

– Kobiet też? – powtórzyła Sarah. – Nie mają wstępu do wielu zakładów pracy. A Żydzi? Ich się wyklucza z niemieckiego społeczeństwa.

– Nie wiem, co z Żydami. Znajdą sobie miejsce w nowym społeczeństwie.

– Nie słuchałaś przemówień Hitlera? Człowiek, za którym idziesz, dumnie głosi nienawiść wobec Żydów. Co z twoim bratem? Jakie miejsce on znajdzie w tym nowym, idealnie aryjskim świecie?

– Nic o tym nie wiem. – Franka wstała. – Chyba wystarczy już politycznych dyskusji na jeden wieczór.

Zostawiła ich tak, utwierdzając się tylko w postanowieniu, by kroczyć drogą narodowego socjalizmu. Nie zamierzała dopuścić, by powstrzymywały ją ich staroświeckie poglądy. Ten czas należał do niej, nie do nich.

Następnego dnia, trzymając ją w swych silnych ramionach, Daniel zapytał, jak poszła kolacja.

– Całkiem dobrze – odparła. – Rodzice uznali cię za porządnego młodego człowieka i doskonałego partnera dla mnie – istny obraz młodego, aryjskiego narodowego socjalisty.

Jak wszystkich innych, Frankę zachęcano, by donosiła na temat opinii i myśli rodziców. Wszelką nieprawomyślność należało tępić u źródła. Wiedziała, że każde słowo wypowiedziane przy Danielu trafi do uszu lokalnych władz. Od tej pory jadali obiady z jego rodzicami.

\*\*\*

Sarah pokazała wszystkim oprócz Frediego, że się mylili, i dożyła aż do lata roku 1934. Choć Franka miała dużo zajęć w drużynie, starała się jak najczęściej odwiedzać letni domek, by spotykać się z rodziną. Ciało Frediego rosło, ale umysł wciąż tkwił w dzieciństwie, od zawsze wiedzieli, że tak będzie. Jego miły charakter i czysta dusza chwytały za serce każdego, kto go spotykał. Fredi był idealny, nieskażony wirującym dookoła złem – pozostawał ponad nim. Sarah i on stawali się coraz bardziej zżyci w miarę tego, jak jej stan zdrowia się pogarszał. Wszyscy nadal liczyli na cud, który im obiecała, ale wraz z upływem czasu taka ewentualność zdawała się coraz mniej uchwytana. Franka tęskniła za większością tego idyllicznego lata spędzonego w ich towarzystwie. W drużynie praktycznie zawsze miała coś do zrobienia, było tam tyle młodych dziewczyn, które potrzebowały wsparcia kogoś tak doświadczonego i zaangażowanego jak ona. Wiedziała, że rodzice to rozumieli, choć wyrażali dezaprobatę.

Pod koniec lata Frankę mianowano drużynową. Matka nie dotarła na uroczystość, na której jej córce wręczono szarfę, tego dnia źle się czuła. Za to pojawił się Daniel, kierował aplauzem, lśnił w słońcu.

Ostatnie kilka miesięcy życia matki było bolesne w swoim pięknie, przynębiające w swej cudowności. Odchodziła spokojnie, z naturalnym urokiem. Rodzinie dane było wytchnienie ostatnich wspólnych świąt Bożego Narodzenia, a potem nowy rok przyniósł brutalną rzeczywistość. Sarah chciała

zostać w domu. Jej siostry przyjechały z całym stadem dzieci, ale ostatecznie wróciły do Monachium. Matka kurczowo trzymała się życia, na przekór oczekiwaniom, a gdy koniec wreszcie nadszedł, okazał się zaskoczeniem. Franka w jakiś sposób miała nadzieję – nie, wierzyła – że wszyscy lekarze się mylili, a cuda są możliwe.

Gdy tamtego mroźnego styczniowego poranka Sarah leżała na łożu śmierci, towarzyszyła jej rodzina. Franka pamiętała, jak dziadek tłumaczył, że od tej pory to do niej należała opieka nad Fredim i że jej brat nigdy tego w pełni nie zrozumie, ona jednak wiedziała, że się mylił. Fredi siedział u łóżka, trzymając głowę na piersi matki. Nie płakał, nie ruszał się. Dobrze wiedział, czego potrzebowała, i dawał jej to bezinteresownie. Nikt inny nie miał pojęcia, co mówić, myśleć czy zrobić. Tylko on rozumiał naprawdę.

Sarah poprosiła Frankę o rozmowę w cztery oczy, więc pozostali wyszli z pokoju. Białe światło poranka wpadało przez okno, lśniąc bielą na białej skórze matki. Posiwiła, z ognia w spojrzeniu pozostały dogasające węgielki. Dłoń miała zimną, gdy Franka ją ujęła. Jakimś cudem Franka nie płakała.

– Moja piękna córuniu – powiedziała matka, ściskając jej dłoń z zaskakującą siłą. – Tak bardzo jestem dumna z tej panny, którą się stałaś, tak mnie raduje myśl o silnej, dojrzałej kobiecie i matce, którą na pewno zostaniesz. Będzie z ciebie wspaniała pielęgniarka. Niech nikt nie rządzi, kim masz być albo co masz mieć w duszy. Tylko ty jedna to wiesz. Pamiętaj, że jesteś moją córką, moją piękną, mądrą dziewczynką, i zawsze nią będziesz. Zostanę z tobą na zawsze, nigdy cię nie opuszczę.

Franka musiała otrzeć łzy, żeby widzieć twarz matki.

– Nie daj się zmienić tym nowym ideom narodowych socjalistów i nie pozwól, by twoją duszę skaziła nienawiść. Pamiętaj, kim jesteś.

Pogrzeb urządzono pięć dni później. Przyszła cała drużyna Franki, a także większość miejscowego Hitlerjugend. Franka założyła mundur Związku Dziewcząt Niemieckich. Daniel obejmował ją, gdy później płakała, a ostatnie słowa matki odbijały się echem w jej głowie.

\*\*\*

Reszta roku szkolnego minęła jak we mgle, a lato było puste i pozbawione radości. Rodzina próbowała w chacie przywołać ducha poprzednich lat, ale Franka więcej pocieszenia znajdowała w koleżeństwie drużyny, którą teraz kierowała. Po śmierci matki ojciec musiał wziąć w fabryce wolne, by zajmować



się Fredim. Nie można było oczekiwać, by Franka porzuciła wszelkie zobowiązania na rzecz opieki nad młodszym bratem. Pomagała, na ile mogła, ale wobec kuszącej obietnicy uniwersytetu nie chciała tworzyć precedensu. Miała własne życie, własną ideę, której pragnęła się poświęcić. Ojciec zawsze zachęcał ją do samodzielności, więc pozwolił jej się uchylić od zobowiązań wobec rodziny, wobec własnego brata. Na studia poszła we wrześniu 1935 roku. Rozpoczęła naukę, a Daniel towarzyszył jej na każdym kroku. To wtedy rozpoczął szkolenie w Gestapo.

Po tym, jak życie rodzinne Franki poszło w rozsypkę, spędzanie czasu w domu sprawiało jej ból. Chciała się oderwać od bolesnych wspomnień śmierci matki, które ją tam nawiedzały. Wiedziała, że Fredi czerpał siłę od matki, więc jakkolwiek ona i ojciec by się starali, nigdy nie mogli jej zastąpić. Sam Fredi był nadal sobą, radosny jak zawsze, jasne światełko w ciemności, choć ciało coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa.

W październiku 1935 roku ojciec zamówił Frediemu wózek inwalidzki jako tymczasowe rozwiązanie, jednak oboje wiedzieli, że chłopak najpewniej nigdy już nie będzie chodzić. Fredi uwielbiał swój nowy pojazd, traktował to jako zabawę. Franka często pchała go po mieście, a on machał każdemu, kogo zobaczył na ulicy. Prawie wszyscy odpowiadali uśmiechem. Wyjątek stanowili członkowie partii, przechadzający się z wypiętą piersią, obnoszący opaski na ramionach i odznaki w klapach. Radosne zachowanie Frediego zdawało się ich drażnić. Franka nauczyła się lekceważyć ich spojrzenia.

Później tej samej jesieni przyszedł do niej ojciec. Właśnie skończyli kolację i sprzątnęli talerze. Wieczorne posiłki nie były już takie jak dawniej. Ojciec upierał się gotować według matczynych przepisów, ale szedł na łatwiznę i brakowało mu talentu kulinarnego. Franka czytała Frediemu jedną z baśni, które tak uwielbiał. Książka była potargana, z oślimi uszami, ale jemu nigdy nie nudziło się słuchanie w kółko tych samych opowieści. Ojciec włączył radio i nastroił na jedną ze szwajcarskich stacji, które nadawały w miarę prawdziwe wiadomości. Usiadł przy dzieciach.

– Dziękuję, że nie doniosłaś, że słucham zagranicznych stacji.

– Och, tato, na ciebie nigdy bym nie doniosła. – Franka poczuła, że się czerwieni.

– Wiem, że naciskają na ciebie, żebyś opowiadała, co robisz, a skoro Daniel szykuje się do służby w Gestapo... Wyobrażam sobie, w jakim napięciu żyjesz.

Franka siedziała, wspominając słowa Daniela zaledwie sprzed tygodnia. „Naród niemiecki to twoja rodzina” – mówił. – „I to wobec niego powinnaś być

lojalna”.

Wiedziała, że chciał, aby doniosła o czymkolwiek, aby dała mu choćby okruszek informacji, który rzuciłby na pożarcie swym nowym panom, ona jednak nie powiedziała ani słowa. Wiedziała, że ojca mogą aresztować za słuchanie zagranicznego radia albo za czytanie książek, które upierał się trzymać na przekór nowym prawom, czy też za rzucane lekką ręką uwagi o reżimie. Było tego tak wiele... Kilka znajomych dziewczyn już doniosło na swoich rodziców. Ojciec Gildy Schmidt spędził w więzieniu kilka tygodni za nieprzychylną uwagę o nazistach i do tej pory był obserwowany przez Gestapo. Gilda doniosła, że nazwał Hitlera niebezpiecznym podżegaczem wojennym.

– Führer pragnie, by wszyscy popierali jego śmiałe plany – powiedziała Franka, słysząc, jak z jej ust wydobywają się słowa instruktorek. – Jest zdecydowany zdemaskować wrogów państwa, aby można ich było nauczyć właściwego sposobu służby narodowi niemieckiemu.

– To nie brzmi jak twoje słowa – odparł ojciec.

– Co masz na myśli?

– Jakbym słyszał Daniela albo jednego z tych nazistów tupiących po śródmieściu. Pamiętaj, kim jesteś, Franka.

– Pamiętam, tato.

– Chciałbym ci coś pokazać. – Położył przed nią na stole gazetę „Völkischer Beobachter” – „Obserwator Ludowy”. Nagłówek mówił o nowych, heroicznych ustawach uchwalonych w celu opanowania w Niemczech żydowskiego zagrożenia. – Naziści mówią, że Żydzi nie mogą być członkami narodu. Odebrano im

prawa obywatelskie i zabroniono zawierać małżeństwa z Niemcami. Oto wspaniała rewolucja, w którą tak się angażujesz.

Odpowiedziała dopiero po kilku sekundach.

– Führer na pewno wie, co najlepsze dla Niemiec. Pytałam niedawno kilka tutejszych kierowniczek Związku. Zapewniły mnie, że lepiej się skupić na ogólnym obrazie, a szczegóły zostawić Führerowi.

– I to ci wystarczy?

Nie odpowiedziała. Podniosła kolejną książkę, żeby poczytać bratu.

Ojciec przerwał jej, zanim zdołała zacząć.

– Mam ci jeszcze coś do pokazania. – Wyjął inną gazetę. – To jest „Der Stürmer”, „Szturmowiec”. Kontrolowany i wydawany przez partię nazistowską, tak samo jak „Völkischer Beobachter”, ale bardziej szczerzy co do zamiarów.

Franka wzięła gazetę. Widywała ją przedtem na stoiskach prasowych, ale dotąd nie czytała. Na pierwszej stronie widniała wykonana ołówkiem karykatura Żyda z długimi pejsami opadającymi na czarny chałat i nitkami śliny zwisającymi z ostrych jak brzytwy zębów. Trzymał w szponach zakrzywiony sztylet, nachylając się nad śpiącą w łóżku piękną kobietą o aryjskiej urodzie. Nagłówek głosił: „Żydzi – nasze nieszczęście”. Franka czuła, jak łzy zbierają jej się w oczach. Odwróciła się do Frediego, lecz ten bawił się właśnie znalezionym pociągiem-zabawką.

– To szmata – powiedziała. – Idiotyczna szmata.

– Rozchodzi się w nakładzie kilkuset tysięcy. Hitler wiele razy mówił o jej dziennikarskiej uczciwości.

– Nie wiem, co powiedzieć. System nie jest idealny, ale...

Zabrakło jej słów. Nie miała argumentów.

– Nie po to cię wychowaliśmy, żebyś odwracała głowę od niesprawiedliwości. Zawsze cię uczyliśmy, żebyś...

– Pamiętała, kim jestem.

– Właśnie. Wydaje mi się, że powodem, dla którego tak chętnie dałaś się uwieść temu reżimowi, jest twoje pragnienie zmieniania świata, tak częste u dzieci z twojego pokolenia. Ale powinnaś sobie uświadomić, kogo popierasz.

– Nie zgadzam się z polityką wobec Żydów, ale Führer na pewno ma dla nich rozsądny plan.

– Pozbawienie obywatelstwa nazywasz rozsądnym? Słyszałaś kiedyś o Dachau, Franka?

Pokręciła głową.

– Ja do niedawna też nie. To małe miasteczko targowe o dwadzieścia parę kilometrów od Monachium, w rodzinnych stronach matki. W zeszłym tygodniu spotkałem się w interesach z człowiekiem stamtąd. Opowiedział mi o obozie założonym przez nazistów.

– Jakim obozie?

– To miejsce to zbrodnia przeciw Niemcom. Tamten człowiek jeszcze w trzydziestym trzecim dostarczył tam trochę materiałów na nowe budynki i wracał później kilka razy. Ten obóz to pierwszy front wojny, którą naziści już toczą z własnym narodem. W Dachau trzymają politycznych przeciwników systemu. Socjalistów, komunistów, przywódców zakazanych związków zawodowych, pacyfistów, trochę opozycyjnych księży i innych duchownych. Siedzą tam tysiące ludzi, zamęczanych pracą i głodzonych na śmierć, pilnowanych za drutem kolczastym przez esesmanów z trupimi główkami na

hełmach.

– To niemożliwe. Führer o tym wie? – Franka czuła, jak wzrasta w niej odraza, ale nadal się zastanawiała, co powiedziała by Daniel albo inne drużynowe.

– Jak miałyby nie wiedzieć? Pan Hitler podejmuje wszelkie decyzje, według których rządzi się tym krajem. Mógłby tego zakazać w każdej chwili. Sądzę, że takich obozów będzie więcej.

– Kim jest ten człowiek z Dachau? Dlaczego szerzy takie złośliwe kłamstwa?

– To nie kłamstwa. Otwórz oczy, Franka. Zobacz, komu przysięgasz wierność.

Zamknęła oczy. Czuła, jakby głowa miała jej pęknąć. Gorące łzy ciekły jej po policzkach, kiedy wstawała.

– Nie wierzę, że opowiadasz tak ohydne kłamstwa przy Fredim, który nie potrafi ich przejrzeć. Jesteśmy wobec niego odpowiedzialni, tato. Musimy być lepsi.

Wypadła z kuchni jak z procy i pobiegła do siebie, kłębił się w niej jad wątpliwości.

Studia były przedłużeniem nazistowskiego systemu propagandy, któremu Frankę i jej kolegów poddano w szkole średniej. Intelktualiści stali na równi z Żydami i zasługiwali na identyczne traktowanie. Setki profesorów w całej Rzeszy zwolniono z pracy za nadmierny liberalizm albo żydowskie pochodzenie. Byli wśród nich jedni z największych niemieckich uczonych, a nawet kilku noblistów. „Kultura” stała się brzydkim słowem. Uniwersytety przekształcono w narzędzia Ministerstwa Propagandy. Nie było już życia studenckiego, oprócz organizowanych przez NSDAP wieców i przemówień wysławiających wspaniałość reżimu. Franka odkryła, że na swoich studiach, skupiających się na fizjologii człowieka, mogła unikać pola minowego, jakim były przedmioty w rodzaju „higieny rasowej” czy „narodu i rasy”.

Odeszła ze Związku Dziewcząt Niemieckich. Inne drużynowe kwestionowały jej decyzję, ale przekonała je, że nie ma już czasu, musiała myśleć o studiach i bracie. Prawdą było, że zarówno na uczelni, jak i w domu miała mnóstwo roboty, ale pozostawało jeszcze coś innego. Nie dawała jej spokoju opowieść o obozie w Dachau. Wiele wyjaśniała. Gdzie się podział pan Rosenbaum, sąsiad z tej samej ulicy? Gdzie zniknął pan Schwarz z rodziną i stary nauczyciel Franki, pan Stiegel? Gestapo zabrało ich na przesłuchanie, nigdy więcej nie wrócili i nikogo nie wydawało się to obchodzić. Franka wiedziała, że samo wymawianie ich nazwisk mogło ją narazić na więzienie, więc zachowała pytania i burzę

wątpliwości dla siebie. Mogła zaufać ojcu, ale nikomu więcej, a już zwłaszcza nie Danielowi.

Pod kuratelą profesorów na studiach prawniczych poświęcenie Daniela dla idei zmieniło się w obsesję. Gestapo było przede wszystkim formacją policyjną – z identycznymi ścieżkami awansu, wynagrodzeniami i długością służby jak zawsze – ale teraz policja, jak prawie wszystko inne, zmieniła się nie do poznania. Daniel upajał się swoim oddaniem naukom nazistów. Coraz trudniej było wytrzymać w jego towarzystwie. Opowiadał o czających się wszędzie wrogach, o komunistach i Żydach. Nikt nie pozostawał dla niego wolny od podejrzeń. Powodująca Danielem nienawiść całkiem pozbawiła go radości. Kochać go stało się rzeczą niemożliwą, a uczucia, które Franka ongiś do niego żywiła, rozsypały się i zgasły. Było to w lutym 1936 roku, Franka wracała z kolacji z Danielem. Nalegał, że to on zapłaci – jak zawsze, co tylko pogłębiło jej poczucie winy w związku z tym, co musiała zrobić.

– Jesteś dziś milcząca – odezwał się.

– Mam mnóstwo na głowie.

– O co chodzi? O twoją matkę? Czy znowu o brata?

– O nas, Danielu.

W jego spojrzeniu pojawiło się zaskoczenie, do którego Franka nie była przyzwyczajona, ale nic nie powiedziała.

– Chyba oddaliliśmy się od siebie – ciągnęła. – Idziemy w życiu inną drogą.

– Co ty mówisz?

Zatrzymali się. Franka zdawała sobie sprawę, że padają na nich spojrzenia nieznanymi przechodniów, ale wiedziała, że musi być konsekwentna. Szykowała się do dalszego ciągu, gotowa wypowiedzieć słowa, które drzemały w niej od miesięcy.

– Chyba powinniśmy zrobić sobie przerwę. Nie jestem pewna, czy chcę...

– Co takiego? Zrywasz ze mną? Nie możesz.

– Uważam, że jesteś zdecydowanym, odważnym młodzieńcem, który ma wiele do zaoferowania...

– Nie bądź śmieszna. Nie rozstajemy się. Za parę lat się pobierzemy, osiadziemy tu i założymy rodzinę. Razem to postanowiliśmy.

– Już tego nie chcę.

– W porządku – warknął. – Niech ci będzie. Nie myśl, że będę na ciebie czekał, kiedy za parę dni przyjdiesz skomleć o łaskę, suko! – Odbiegł wzburzony.

Po kilku tygodniach Daniel otrzymał pismo ze Służby Pracy Rzeszy i został

powołany na pół roku, by nieodpłatnie pracować na rzecz Niemiec w bawarskim gospodarstwie. Po kilku tygodniach zaczął przysyłać listy. Ojciec Franki, który subtelnie okazywał zadowolenie z jej rozstania z Danielem, początkowo wstrzymywał korespondencję, ale potem dał sobie spokój. Była przecież dorosła i mogła sama o sobie decydować. Franka zabrała listy, które ojciec przed nią chował, i zaniósła do siebie. Rozerwała koperty i upuściła je na podłogę, biorąc do rąk same listy. Daniel oświadczał, że przeprasza, poniosły go nerwy. Nie odpowiedziała, ale listy i tak jeszcze później nadchodziły. Daniel pracował w wielkim gospodarstwie, zakwaterowany z dziesiątkami innych. Pisał o wspaniałym uczuciu służby dla Rzeszy i o poczuciu koleżeństwa, zrodzonym pomiędzy nim a innymi robotnikami, z których wszyscy mieli około dziewiętnastu lat. Poczucie ciekawości kazało France raz przeczytać każdy z listów, zanim spaliła je w kominku. Po tonie Daniela poznała, że jeszcze z nią nie skończył, choć ona skończyła z nim.

Zwyczaje czytelnicze ojca nie zmieniły się od czasu nastania państwa narodowosocjalistycznego. Wiele zakurzonych, sfatygowanych książek zapełniających regały w jego gabinecie było już zakazanych i mogłoby mu przysporzyć przesłuchania na miejscowym Gestapo, a nawet kilku nocy w areszcie. Wzruszył ramionami, gdy córka przypomniała mu o zakazie posiadania wywrotowej literatury, obiecał, że zdejmie ją z półek. Tygodnie mijały, książki pozostawały na miejscu. Franka wzięła w końcu sprawy we własne ręce i była w połowie „sprzątanania” regałów, kiedy ojciec wrócił z pracy.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Coś, co dawno temu sam powinieneś był zrobić – wyjaśniła. – Nie możemy sobie pozwolić, żebyś poszedł za kratki albo stracił pracę, i to tylko przez parę książek.

– To nie były jakie książki. – Wyrwał jej z ręki tom, który akurat trzymała. – Zobacz, Heinrich Heine.

– Znam Heinego. Zna go każdy, kto ma pojęcie o literaturze niemieckiej.

– A nasi narodowosocjalistyczni władcy go zakazali. Jego niezrównaną lirykę oficjalnie uznano za zakazaną, a przy tym za w ogóle niebyłą. Pamiętam, jak czytałem ci jego *Księgę pieśni*, kiedy jako mała dziewczynka siedziałas mi na kolanach.

Franka kiwnęła głową. Pamiętała wersy połyskujące na stronicy, szybujące z ust ojca do jej ucha.

Przerzucił kartki.

– Zamierzałaś urządzić ognisko, jak naziści? – Znalazł stronę, której szukał, i

wskazał jeden z wersów, wpatrując się w córkę.

– Nie, tato. Chciałam je schować pod twoim łóżkiem.

– Czy to nie absurd, że wielki poeta nagle przestaje być wielki, bo należał nie do tej rasy, był Żydem? On już i tak nie żyje od prawie osiemdziesięciu lat.

– Oczywiście, że to absurd, ale chodzi im też o jego poglądy polityczne. Chciałam cię tylko chronić, tato.

– Przeczytaj wers, który ci pokazuję. Czytaj.

Jej wzrok odnalazł słowa.

– „Gdzie się pali książki, dojdzie w końcu do palenia ludzi”.

– Może to już się zaczęło – powiedział ojciec. Oddał jej książkę i wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

Później, gdy już Fredi poszedł spać, Franka siedziała na łóżku, kiedy ojciec przyniósł jej resztę.

– Te książki to dzisiaj skarb. To dla ciebie przywilej czytać te słowa, których tak wielu ludzi się pozbawia. A dlaczego? Bo naziści wiedzą, że prawdziwym ich wrogiem jest człowiek niezależnie myślący, prawdziwy niemiecki patriota, który kwestionuje ich porządki i wypowiada się przeciw ich niesprawiedliwości. Nie każę ci chodzić i głosić dzieła Heinego, ale trzymaj w sercu idee, o których on mówi, i korzystaj z nich. Analizuj to, co się dzieje, i pamiętaj, że Heine nie znał Hitlera ani narodowych socjalistów. Za to rozumiał naturę ludzką i naturę Niemców, dlatego właśnie jego dzieła ciągle się liczą. Tego właśnie boją się naziści.

Po dwóch tygodniach Hitler wprowadził wojska do Nadrenii, zdemilitaryzowanego na mocy traktatu wersalskiego regionu Niemiec na pograniczu z Francją, w rażącej pogardzie dla prawa międzynarodowego. Tego samego wieczoru Franka siedziała na łóżku, czytając słowa, które Heine zapisał prawie przed stuleciem. Poeta mówił, że gdy w Niemczech złamana zostanie moralna praworządność, wówczas ponownie rozgorzeje dzikość pradawnych berserków, wojowników, o których śpiewali nordyccy bardowie, a ta nowa furia, grzmot germańskiego gniewu, będzie czymś, czego świat jeszcze nie widział.

Franka położyła się na łóżku, świadoma, że to już się zaczęło.

Od tej pory dokładała wszelkich starań, by lekceważyć ingerencje narodowego socjalizmu w jej życie. Zatopiła się w nauce, niewiele uwagi poświęcając wszechobecnym flagom i plakatom wysławiającym wielkość reżimu, jakimi wyklejone były korytarze. Istniały rzeczy, których naziści nie mogli tknąć. Istniała muzyka, sztuka, książki, które chowała odtąd pod łóżkiem, i cudowna

arkadia, jaką były otaczające ją góry i lasy. W każdy weekend wybierała się z przyjaciółkami na wycieczki, lecz odchodziła, gdy z kokieteryjnym śmiechem i czerwieniejącymi policzkami wspominały o „przystojnym Adolfie”. Znały przypadki omdleń u kobiet w obecności wodza. Franka niespecjalnie odczuwała jego powab, niezależnie od okoliczności. Niektórzy z miejscowych chłopców zapuszczali wąsiki w hołdzie Führerowi, ale nawet najbardziej fanatyczni zwolennicy reżimu raz na jakiś czas spoglądali w lustro. Kult zarostu jako wyrazu czci dla demagoga nie przetrwał długo.

Wszelkie stosunki międzyludzkie stały się przesiąknięte ideologią nazistowską i paranoją, do tego stopnia, że nie można już było ufać przyjaciołom, a członkowie rodzin donosili na siebie nawzajem dla dobra idei. Stare społeczeństwo pękało po kawałku. Nawet najbardziej oddani stronnicy reżimu cały czas pozostawali pod nazistowską lupą. We Fryburgu, jak w każdym innym mieście Rzeszy, dla każdego kwartału domów i każdej ulicy narodowi socjaliści wyznaczyli swoich przedstawicieli. Nazywano ich blokowymi. Przy ulicy, gdzie mieszkała Franka, blokowym był pan Duken, ogrodnik, który wstąpił do partii jeszcze w latach dwudziestych, gdy była zaledwie zbieraniną krzykaczy szerzących antysemitkę propagandę i potępiających „listopadowych bandytów”, którzy pod koniec wojny światowej podpisali zawieszenie broni. Pan Duken był zawodowym wścibskim sąsiadem, płatnym szpiclem o przerażających uprawnieniach. Upajał się tym zajęciem. Teraz stał się kimś ważnym, poważanym przez sąsiadów i budzącym ich lęk. Jego zadanie polegało na zgłaszaniu wszelkich dostrzeżonych przez siebie przewinień i jakichkolwiek pogłosek, które mu przekazywano. Donosił na sąsiadów za niewywieszenie flagi ze swastyką przy uroczystych okazjach albo za niewystarczający entuzjizm przy udzielaniu się na rzecz partii. Franka, świadoma, że myśli w jej głowie można byłoby zgłosić jako zbrodnie przeciwko państwu, uśmiechała się do Dukena, spotykając go na ulicy. W mieście i okolicach działały dziesiątki blokowych. Letni domek był jedynym miejscem wystarczająco odosobnionym, by dało się uciec.

Odbywszy służbę na rzecz państwa, Daniel wrócił oddany jeszcze bardziej niż kiedykolwiek ojczyźnie, a z pozoru także France. Jego nieudolne próby odzyskania dziewczyny okazały się dla niej co najwyżej uciążliwe, teraz jednak Franka podchodziła z ostrożnością do zalotów innych chłopaków. Zdawała sobie sprawę z władzy, jaką dysponował Daniel, więc nie chciała wpędzać w kłopoty żadnego biednego, nieświadomego chłopca, który miałby zaledwie ochotę zaprosić ją na piwo czy na obiad. Daniel wyjaśnił kiedyś, w daremnej próbie



ośnienia jej nowymi znajomościami, że to Gestapo sprawowało w Rzeszy Niemieckiej prawdziwą władzę. Cień tysięcy agentów, którymi naszpikowany był cały kraj, jak i blokowych składających im sprawozdania, wisiał nad każdym obywatelem Niemiec. Wkrótce Daniel miał zyskać moc rujnowania ludziom życia według własnego widzimisie. Krytyka reżimu – choćby zwykłe wyrażenie niezadowolenia – mogła się skończyć aresztowaniem, karą więzienia, torturami, a nawet śmiercią. Franka nie posiadała się ze zdumienia, że Daniel w ogóle kiedykolwiek ją pociągał, i twardo postanowiła nie dopuścić, by więcej ją tknął.

Zastanawiała się, co by osiągnął, gdyby naziści go nie wypaczyli. Co by się z nim stało, gdyby poświęcił swoje talenty słusznej sprawie? Była to tragedia, jedna z milionów tragedii rozgrywających się równocześnie w całych Niemczech.

Większość lata 1938 roku Franka spędziła w chacie z rodziną. Było to miejsce, gdzie swobodnie rozmawiali. Nigdzie indziej nie było bezpiecznie. Na zewnątrz Thomas Gerber pozostawał lojalnym obywatelem, a choć w żadnym wypadku nie był oddanym nazistą, to jednak spłacał swoje należności wobec partii, w postaci zarówno pieniędzy, jak i szacunku. Opór był bezsensowny – przyniosłby najwyżej jeszcze ściślejszą obserwację i być może pozbawienie wolności. Gerber ponosił odpowiedzialność za swoją rodzinę i daremny pokaz sprzeciwu tylko pogorszyłby ich problemy. Niektórzy przyjaciele skrytym szeptem wyrażali identyczne poglądy. Nie każdy popierał nazistowskie porządki, ale nikt ich otwarcie nie kwestionował. Ci, którzy nie zgadzali się z narodowymi socjalistami, zajmowali się swoimi codziennymi sprawami, tak samo jak Thomas i Franka. Próbowali żyć niezależnie od reżimu, który traktował niezależność jako zagrożenie. Wiedzieli, że każde gniewne słowo było karalne. Sam Hitler stwierdził: „Każdy powinien wiedzieć, że jeśli podniesie rękę na państwo, jego losem stanie się pewna śmierć”. Nic nie dało się zrobić. Wszelki sprzeciw zepchnięto do sfery wewnętrznej. Franka nauczyła się z zewnątrz zachowywać zimną krew, podczas gdy w środku krzyczała. Bezczynność jednak dawała się jej we znaki. Śmiałe słowa, które wymieniali z ojcem za zamkniętymi drzwiami, były jedynie słowami. Kiedy powiedziała, że powinni spróbować coś zmienić, zaśmiał się jej w twarz.

– To niemożliwe – stwierdził. – Nazistom można odmówić wielu rzeczy, ale nie skrupulatności, a choć mogą być niedouczeni i zacofani, to mają wrodzony talent do propagandy i represji. System, który stworzyli, jest idealny w swej wadliwej sprawności. Każdy jest szpiegiem. Ludzi na całym świecie, którym mogę dziś zaufać, jestem w stanie policzyć na palcach jednej ręki.

– W takim razie jaki z nas pożytek? Na pewno możemy coś działać, nawet coś niedużego.

– Z protestu nie przyjdzie nic dobrego. Idea wolności słowa jest równie martwa jak cesarstwo. Co możemy działać, skoro nawet publiczne okazanie niezgody wobec wszelkich postanowień Führera uważa się za przestępstwo zdrady? W zeszłym tygodniu skazali kogoś na dwa lata więzienia za sprzeciw wobec wyrzucenia ze szkół wszystkich żydowskich dzieci. Dwa lata!

Widząc przybitą minę córki, kontynuował.

– Jestem dumny, Franka, widząc, że chcesz walczyć. Ale najlepszym wyjściem jest po prostu czekać. Narodowi socjaliści nie będą trwać wiecznie. Wiodą nas ku wojnie. Będzie równie nieunikniona jak wschód słońca o poranku albo ciemność w nocy. Drogo zapłacimy za ich odsunięcie od władzy, ale w końcu przegrają. A wtedy naszym zwycięstwem stanie się przeżycie. Jeśli pozostaniemy wierni sobie i nie damy im poranić swoich dusz, to wygramy.

– Ale za jaką cenę, tato? – Franka pokręciła głową. – Nie chcę już się cały czas bać.

– Przetrywamy to jako rodzina. Obiecuję. Matka codziennie czuwa nad nami.

Franka pragnęła się z nim zgodzić, ale nie czuła już obecności matki w swoim życiu. Wspomnienia przeciekały jej przez palce.

Fasada kultury nazistów runęła, gdy spuścili ze smyczy swe wściekłe psy w „noc kryształową”. Wykorzystali zabójstwo niemieckiego dyplomaty przez siedemnastoletniego Żyda jako pretekst, by w pełni rozpętać tłumiony dotąd gniew swoich zbirów. Ministerstwo Propagandy zorganizowało serię demonstracji, które szerzyły się w całym kraju jak zaraza. Z dachu domu Franka z narastającą zgrozą obserwowała motłoch i szturmowców napadających na żydowskie sklepy. Pojawili się prawie wszyscy miejscowi naziści, rzucając cegłami lub bombami zapalającymi, zastraszając, a nawet zabijając. Zobaczyła Daniela ze swastyką na ramieniu, jak kierował tłum do piekarni Grünberga. Wyciągnęli pana Grünberga na ulicę i bili, aż przestał się ruszać.

Następnego dnia gazety pisały o sprawiedliwej odpłacie oburzonego narodu. Dziennikarze chępli się, że Żydów w końcu spotkała kara, na którą zasłużyli przez całe lata niesprecyzowanych krzywd wyrządzonych Niemcom. Artykuły redakcyjne przestrzegały przed opiniami słabeuszy krytykujących wzorową postawę tłumów. Takie liberalne wypowiedzi lekceważono jako przewrażliwione i sentymentalne. Dziennikarze uczulali czytelników, by zgłaszali odpowiednim organom wszelkie niewłaściwe postawy, potępiali też

każdego Niemca, który nie rozumiał, w jak wspaniałych czasach żyje.

Dwa dni później rząd nałożył na niemieckich Żydów grzywnę w wysokości miliarda marek za zniszczenia dokonane w czasie „nocy kryształowej”.

Dziesiątki tysięcy Żydów trafiły do obozów koncentracyjnych – tajemniczych więzień, nazywanych w szeptach „kacetami” przez tych Niemców, którzy odważali się o nich rozmawiać. Ojciec przypominał France opowieści, które słyszał o pierwszym obozie, w Dachau – teraz zdawały się one niewątpliwe. Naziści ujawnili swą barbarzyńską naturę, ale nie stracili poparcia. Hitlerjugend nadal śpiewało pieśni, przebiegając przez miasto. Członkinie Związku Dziewcząt Niemieckich wciąż wyszywały flagi ze swastyką i chichotały o „przystojnym Adolfie”, naczelnym monstrum. Pachołkowie narodowego socjalizmu w dalszym ciągu z uniesioną głową przechadzali się po mieście, a ich partyjne odznaki lśniły w słońcu. Miliony ludzi w całym kraju witały się, pozdrawiając Führera. Naród niemiecki wciąż zdawał się zahipnotyzowany przez nazistów.

Życie toczyło się dalej, pomimo niesprawiedliwości i koszmarów, które w Rzeszy były już na porządku dziennym. Franka zakończyła naukę i otrzymała posadę w Monachium. Jakimś cudem ludzie nadal kończyli uczelnie, szukali pracy i zastanawiali się nad przeprowadzkami do innego miasta. Mimo wszystkiego, co narzucił jej reżim nazistowski, rodzina Gerberów wciąż starała się funkcjonować, lecz nawet to miało się zmienić.

Z Fredim było coraz gorzej.

Pod koniec lata 1939 roku opowiadali mu o szpitalu – nie dało się dłużej unikać tematu. Słońce zachodziło, promieniowało eterycznym blaskiem ponad nieskończonym horyzontem, malując złocistą barwą liście lasu wokół. Fredi siedział na wózku. Był już prawie równie wysoki jak Thomas, ale kończyny miał cienkie i krzywe, nogi prawie bezużyteczne. Bawił się pociągiem-zabawką, jeżdżąc nim po udach. Co kilka sekund odgłos „ciuch;-ciuch” przerywał jego własny chichot.

– Fredi?

– Tato, co się stało? Dlaczego płaczesz?

– Bo tak bardzo cię kocham, Fredi. – Spojrzał na Frankę. – Oboje cię kochamy.

– Najbardziej na świecie – dodała.

– A ja was kocham – powiedział Fredi.

Franka przytuliła brata, poczuła uścisk jego wątlých ramion i delikatny

pocałunek na policzku. Chciała coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Nie wierzyła, że zamierzają powierzyć Frediego zakładowi opieki. Nie mogła sobie wyobrazić, że doszłoby do czegoś takiego, gdyby matka jeszcze żyła.

– Jak się czujesz? – zapytał Thomas.

– Świetnie – uśmiechnął się Fredi.

– A ręce nie bolą?

– Nie, czuję się dobrze.

Fredi był zawsze szczęśliwy. Znał tylko radość. Świat nie był w stanie skwasić jego cudownego humoru. Jego uśmiech trwał pomimo bólu, pomimo pobytów w szpitalu, pomimo rzeczy, których nie mógł znieść prawie nikt inny. Nigdy nie przestawał się uśmiechać. Wszyscy w szpitalu go znali za sprawą jego nader regularnych odwiedzin. Pielęgniarki go uwielbiały. Niektórzy lekarze – ci z nazistowskimi odznakami w klapie – powstrzymywali się przed otwartym okazywaniem lekceważenia lub wyrażaniem niechęci wobec konieczności leczenia kogoś, kogo władza nazwała „idiotą” i „niegodnym życia”.

Franka uklękła przy bracie. Słońce wciąż było ciepłe, choć zaczął już zapadać zmrok. Fredi zdawał się wiedzieć, że coś się dzieje. Miał bardziej wyostrzoną intuicję niż siostra. Chciała się odezwać, ale on zrobił to pierwszy.

– Franka, kocham cię. Jesteś taka piękna. Nie ma lepszej starszej siostry od ciebie.

– Musimy z tobą porozmawiać – zdołała wykrztusić.

Thomas ukląkł obok.

– Twoja choroba ostatnio coraz bardziej się pogłębia – powiedziała – a tata nie ma już dość czasu, żeby się tobą opiekować.

– Tak mi przykro, tato...

– Nie, Fredi, niech ci nie będzie przykro, nie przepraszaj. To nie twoja wina. Jesteś najwspanialszym chłopcem na świecie, najlepszym synem, jakiego mógłby sobie życzyć jakikolwiek ojciec. To tak wielkie szczęście mieć ciebie, naszego anioła na ziemi.

– Lubisz pielęgniarki, prawda? – zapytała Franka.

– Tak, są bardzo miłe.

– A wiesz, że też zostanę pielęgniarką, tak jak one?

– Jasne.

– Dostałam wspaniałą szansę – posadę w monachijskim szpitalu. Znasz Monachium, tam, skąd pochodziła mama?

– Tak, pamiętam lizaki, które tam kupiliśmy.

Thomas zaśmiał się.

– Racja, kiedy przyjechaliśmy tam przed dwoma laty. Kupiliśmy lizaki i jedliśmy je w parku.

– No więc tam będę pracować.

– Pociągiem to daleko.

– Zgadza się, za daleko stąd. Będę musiała tam znaleźć jakieś mieszkanie.

– Będiesz najlepszą pielęgniarką w całym szpitalu. Pomożesz tylu ludziom...

– Mam nadzieję. – Słowa z trudem wydobywały się jej z ust.

– Pielęgniarki i doktorzy w naszym szpitalu chcieliby – przemówił Thomas – żebyś do nich przyjechała, zamieszkać w specjalnym domu, gdzie będą mogli lepiej się tobą opiekować.

– Tata nie może już sam się tobą zajmować.

– Będziecie mnie odwiedzać? – zapytał Fredi. – Nie zostawicie mnie tam?

– Skądże. Nigdy w życiu. Będę zaglądać codziennie, a Franka – kiedy tylko zdoła, za każdym razem, gdy przyjedzie do domu.

– Nic się nie zmieni – zapewniła Franka. – Nadal cię kochamy, tak samo jak zawsze. Nadal będziemy razem. Niedługo wszyscy razem zamieszkamy, i to na zawsze.

Franka wielokrotnie myślała o tych słowach od czasu, gdy je wypowiedziała. Fredi przyjął je jak wszystko inne, co mówiła: z uśmiechem i otwartym sercem. Lecz czas i okoliczności uczyniły z niej oszustkę, to zaś było ostatecznie, czym kiedykolwiek chciałaby zostać, a już zwłaszcza wobec niego. Tydzień później Fredi trafił do domu pomocy. Zostawili go z pielęgniarkami i odeszli, wyczerpani i samotni. Trzeciego września, w dniu, gdy Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, Franka wyjechała do Monachium. Zanim wysiadła na monachijskim peronie, proroctwo jej ojca się spełniło i szalona furia pradawnych berserków raz jeszcze rozpętała się nad Europą.

## ROZDZIAŁ 7

Huragan bólu osłabił do siły wichury. Mimo to i tak był pierwszym, co poczuł mężczyzna, gdy jego oczy otworzyły się wraz z nadejściem poranka. Sięgnął po buteleczkę aspiryny, wrzucił do ust kilka małych, białych pigułek i popił wodą tak zimną, że aż się zdziwił, że nie miała warstewki lodu na powierzchni. Zastanawiał się nad buteleczką. Czy to było jakieś nazistowskie serum prawdy? To nie miało znaczenia. Nie miał innego wyjścia niż podporządkować się tej kobiecie. Potrzebował jej. Inaczej się nie dało.

Mróz namalował na szybie lodową pajęczynę. Drzwi były otwarte, lecz z salonu nie dobiegał żaden szmer. Mężczyzna miał zamiar zawołać, zapytać o samopoczucie Franki albo o ogień, ale tego nie zrobił. Z powrotem naciągnął kołdrę na twarz, aż na wierzchu zostały tylko oczy. Wrócił myślami do historii, którą opowiedziała mu wieczorem, jak i do jej udręczonego spojrzenia w czasie tej opowieści. Jeśli służyła w Gestapo, to musiała być cholernie dobrą aktorką. Dotknął twarzy i przetarł oczy. Decyzję, czy powiedzieć jej prawdę, musiał podjąć wkrótce. Przez nogi wciąż pozostawał nieruchomy. Będzie tu tkwił, póki śniegi nie ustąpią, czyli może nawet tygodniami. Co mógł zrobić, leżąc w łóżku? Znajdował się o wiele mil od celu. Był bezużyteczny, do tego być może przygotowywany na tortury i straszliwą śmierć.

Sięgnął pod poduszkę, szukając dotykiem chłodnego metalu rewolweru. Ona uratowała mu życie. Niezależnie od wszystkiego innego, to wiedział na pewno. Zabicie jej oznaczałoby morderstwo. Ale czymże jest morderstwo na wojnie? Zabijał już ludzi, widział przerażenie w ich oczach, gdy sobie uświadamiali, że ich następne tchnienie będzie ostatnim. Łatwo było zbyć to, co robił, zatracić poczucie, że zakończył życie tych ludzi, otoczyć swoje czyny tumanem wojny, ale jednak często o nich myślał. Przez większość dni. To byli nieprzyjaciele. Oni by go zabili. Nie stało się tak tylko dlatego, że był szybszy, silniejszy, lepszy. Przypomniawszy sobie człowieka zabitego, gdy zaciął mu się pistolet, ciepłą krew spływającą po pięści, gdy wbijał tamtemu nóż w pierś. Pamiętał odgłos wyciągnięcia noża. Wiedział, że od tego koszmaru nie ucieknie. Teraz ani nigdy.

Odgłosy z salonu gwałtownie przywróciły go do teraźniejszości: układanie polan w kominku, strzelanie i trzaskanie niewysuszonego, z trudem poddającego się płomieniom drewna. A co, jeżeli faktycznie była tym, za kogo się podawała?

Ale jakie było prawdopodobieństwo natrafienia akurat na kogoś odpornego na hitlerowską masową hipnozę?

Jego szkolenie nie pozostawiało miejsca na subtelności. Nazistów należało tępić. Jego zadanie miało pierwszorzędne znaczenie, a wszystko i wszystkich, co stało mu na drodze, należało wyeliminować. Nic nie było ważniejsze. Ani on sam, ani z pewnością nie Franka Gerber. Pomyślał o jej twarzy i uroku jej poważnych oczu. Nie mógł dać się zwieść jej wdziękom. Musiał pozostać silny. Usłyszał kroki zbliżające się do drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała Franka. – Jak się pan czuje?

– Lepiej, dziękuję.

Wydawała się zażenowana tym, że wieczorem za bardzo się uzewnętrżniła.

– Zjadłby pan śniadanie?

– Bardzo chętnie.

Franka wyszła, a mężczyzna nasłuchiwał, jak przez kilka minut krząta się po kuchni. Wróciła z jakimś mięsem, serem i filiżanką gorącej kawy. Zostawiła go przy jedzeniu, a dopiero gdy skończył, znów przyszła, żeby zabrać talerz. Jakaś jego część pragnęła, by dziewczyna znów usiadła obok i opowiedziała resztę swojej historii. Gdzie jest teraz Fredi? Czy w ogóle kiedykolwiek istniał? Coraz trudniej było sądzić, że to tylko wyrafinowany podstęp dla zdobycia jego zaufania. Franka bez słowa wyszła z pokoju.

Minęło kilka sekund, nim znów usłyszał ciężkie kroki na drewnianej podłodze, a wtedy panna Gerber wróciła do sypialni, niosąc skrzynkę z narzędziami. Minęła łóżko, nie zaszczycając gościa spojrzeniem, i usiadła obok dziury w podłodze. Mężczyzna patrzył, jak wyjmuje młotek i zaczyna podważać deskę przy krawędzi otworu.

– Co pani robi, *Fräulein*?

– A jak się panu wydaje? Zrywam podłogę.

Nie patrzyła na niego, tylko robiła swoje. Zanim przemówił, poczekał, aż uda jej się wyciągnąć deskę. Niestosowne wydawało mu się patrzeć na nią przy tej całej robocie, gdy sam bezużytecznie leżał w łóżku.

– Po co?

Wstała i westchnęła, rozprostowując krzyż. Uklękła ponownie i zajrzała do wykonanego przez siebie otworu. Najwyraźniej oceniała szerokość. Dziura była szeroka na jakiś metr, a długa na około dwa. Franka wstała i wyszła, znów unikając spojrzenia mężczyzny. Po kilku minutach wróciła, niosąc pod pachą kilka koców. Raz jeszcze uklękła obok otworu i rozłożyła koce, wyściełając nimi przestrzeń pod deskami. Znów wstała. Chyba chciała coś powiedzieć, ale

zamiast tego podeszła do kąta między łóżkiem a ścianą, gdzie wciąż leżał plecak i mundur mężczyzny. Zwinęła mundur i schowała do dziury.

– *Fräulein*, naprawdę muszę zapytać, co pani właściwie robi. To mój mundur.

– Czyżby? – Zrzuciła w dół także i plecak. Podniosła jedną z desek podłogi, które stały oparte o ścianę, i odłożyła ją na miejsce.

– Panno Gerber?

Odłożyła dwie kolejne deski. Znowu uklękła i z całej siły je docisnęła. Przesunęła dłonią po powierzchni desek, upewniając się, że nie wystają, po czym znów wstała, z palcami na podbródku, by ocenić efekty. Zarysowania na końcach desek były niebezpiecznie wymowne. Wyszła, a mężczyzna usłyszał, jak przez chwilę przetrząsa szafki, zanim wróciła z puszką lakieru do drewna. Podłogi w starej chacie były dobrze utrzymane. Lakier był gładki i równy, położono go pewnie nie wcześniej jak przed pięciu laty. Franka uklękła i zaczęła mazać skraje desek świeżym lakierem, by zamaskować rysy w miejscach, gdzie stary odpadł. Po jakichś dwóch minutach nie dało się rozpoznać, że deski w ogóle ruszono.

– To na wypadek, gdyby przyszło Gestapo. Jeśli pana tu znajdą, to koniec z nami, a ja, w odróżnieniu od pana, nie zamierzam być ślepa na fakty. Przy tak grubym śniegu tu nie dotrą, ale kiedy tylko przyjdzie odwilż, zaczną pana szukać. Ktoś zobaczył pański spadochron albo usłyszał samolot, z którego pan skoczył. Im dłużej trzyma się pan tej idiotycznej farsy, tym dłużej naraża życie nas obojga. Jeśli nie zacznie mi pan ufać, oboje umrzemy.

Wyszła z sypialni.

Szare popołudnie mężczyzna przeleżał samotnie. Przez okno wpadało nieco światła, drzwi pozostawały zamknięte. Co jakiś czas słyszał odgłosy, ale jej nie widział. Nie pojawiały się żadne odpowiedzi, tylko wciąż nowe pytania. Nic nie mógł zrobić, uwięziony w tym łóżku. Ból w nogach dało się już znieść, ale wyjść stąd nie zdoła jeszcze przez wiele tygodni. Czy mógł jej zaufać? Czyżby odrzucała bezmyślne posłuszeństwo, które naziści wpoili tak wielu Niemcom? A może takich ludzi istniało więcej, niż sądził? Co byłaby skłonna uczynić, gdyby faktycznie jej zaufała? Zaczęła w nim narastać presja. Każdy dzień samotnego, bezużytecznego leżenia w tym łóżku oznaczał dzień bliżej klęski, a z tym nie mógł się pogodzić. Przeklinał swoje nogi, przeklinał nazistów, próbował jakoś zasnąć, by uniknąć męczącego poczucia, że nie wykona zadania. Ugryzł się w pięść tak mocno, że prawie do krwi. Sen nie chciał przyjść. Wytchnienia nie było.

Zegar z kukułką zadzwonił siedem razy, po kilku sekundach drzwi się



otworzyły. Przyszła Franka, a kiedy usiadł, postawiła mu tacę na kolanach. Nie tknął jedzenia, chociaż wydawało mu się, że umiera z głodu.

– *Fräulein?* Franka?

Za oknem był wiatr.

– Czy ma pani zdjęcia swojej rodziny? Fotografie Frediego?

– Kilka mam.

– Czy mógłbym obejrzeć? Kiedy wyszedłem, nie widziałem w domu żadnych zdjęć.

– Kiedyś były. Zdjęłam je ze ścian parę dni przed pana znalezieniem.

– Ma je pani jeszcze?

– Oczywiście.

Zniknęła za drzwiami i po minucie wróciła, niosąc dwie fotografie o pozaginanych rogach. Trzymała je jak znalezionego rannego ptaka. Mężczyzna wziął je w dwa palce. Na pierwszym zdjęciu widniała cała czwórka pozująca wspólnie na schodach budynku, który pewnie był ich domem. Franka wyglądała tam młodziej, może na jakieś szesnaście lat. Nosiła krótkie blond loki i białą sukienkę. Obejmowała ramieniem ojca – tęgiego, przystojnego mężczyznę o brązowej brodzie i śmiejących się oczach. Długie blond włosy matki beztrudno opadały na ramiona, uśmiechała się promiennie, a oczy skrzyły się nawet na starej, wyblakłej fotografii. Ramionami otaczała wtulonego w nią Frediego. Wyglądał na jakieś osiem lat. Z koszulki i szortów wystawały słabe, tyczkowate ręce i nogi. Podnosił ku matce spojrzenie przepełnione miłością. Mężczyzna odwrócił zdjęcie, by przeczytać datę – czerwiec 1933. Franka podała mu drugą fotografię, na której siedzieli przed chatą ciepłego letniego dnia roku 1935, już tylko we trójkę. Fredi wciąż się uśmiechał, siedząc ojcu na kolanach, ale ten uśmiech sprawiał wrażenie przybranego specjalnie do zdjęcia. Thomas wpatrywał się w syna z wyraźnym uwielbieniem. Obok siedziała Franka, ze spojrzeniem nadmiernie poważnym jak na jej wiek. Mężczyzna oddał jej zdjęcia.

– Dziękuję, że mi je pani pokazała.

Skinęła głową i wyszła, zabierając fotografie. Ranny zjadł prawie do końca podane przez nią mięso i warzywa, gdy wróciła do sypialni. Przyniosła krzesło i usiadła przy łóżku, czekając, aż gość skończy jeść.

– Chciałbym podziękować, że wieczorem opowiedziała mi pani historię swojego życia – powiedział, gdy skończył. Napił się wody, czekając na jej odpowiedź.

– Od dawna nie mówiłam nikomu o swojej rodzinie. Otworzyło to we mnie na nowo rany, które ledwo zaczęły się goić.

„Pohamuj się. Nie naciskaj. W swoim czasie sama powie”. Odstawił pustą szklankę na tacę, kiwając głową. Franka zabrała tacę i wyszła bez słowa.

Kilka godzin później siedział, słuchając wiatru grzechoczącego szybami. Na dworze było już ciemno i kobieta przyszła zapalić lampę naftową przy jego łóżku. Usiadła obok. Nic nie powiedział, czekając, aż ona zacznie.

– Chciałabym panu opowiedzieć resztę swojej historii. Rozważałam za i przeciw, zastanawiałam się, co powiedzieć, co przemilczeć i czy naprawdę jest pan tym, za kogo pana uważam. Aż w końcu przeżyłam olśnienie. Zdałam sobie sprawę, że nie mam już nic do stracenia. Jeśli nie jest pan tym, za kogo pana biorę, a za opowieść przyjdzie mi zapłacić swoim żalonym żywotem, to niech tak będzie, ale nie zamierzam się hamować. Wystarczy. Nie dbam o to. Może mnie pan zabić. Pańscy towarzysze zabili mi ojca. Inni zabili prawie wszystkich pozostałych ludzi, których kochałam.

Zbyt łatwo było zapomnieć, dlaczego tu trafił. Najlepiej było siedzieć cicho i pozwolić, by odsłoniła swoją prawdziwą naturę, jeśli to właśnie postanowiła zrobić. Miał dość żywności na tydzień albo i dłużej. Jeśli kobieta miałaby odejść, on zdoła przeżyć samodzielnie. Nie jego sprawą było ratować tę Niemkę przed demonami przeszłości. Po prostu nie miał czasu na przywiązanie czy sentymenty.

Położył się, gdy zaczęła mówić. Na zewnątrz wiatr ustał, zapadły ciemności. Pokój wypełniło złociste światło płonącej na stole lampy naftowej. Franka wyjrzała w pustkę, jakby przeszłość była wszędzie naokoło i wystarczyło tylko sięgnąć, żeby jej dotknąć.

\*\*\*

Berlin był stolicą państwa i siedzibą Hitlera, ale wódz Rzeszy nigdy nie lubił tego miasta. Jego domem było Monachium. Często mówił o swej bezgranicznej miłości do miejsca, gdzie wylądował jako artysta bez grosza przy duszy, szkicując pocztówki sprzedawane na ulicy. Tam właśnie zaczęła się narodowosocjalistyczna rewolucja, od nieudanego puczu monachijskiego w roku 1923. Ciała poległych owego dnia pochowano tam w potężnych kamiennych sarkofagach, przy których wartę pełnili odziani w czarne mundury esesmani o kamiennych twarzach. To w Monachium Hitler znalazł pierwszych popleczników – porzuconych przez państwo żołnierzy, wyrzutków i margines okaleczonego wojną społeczeństwa. W tych pierwszych dniach maszerowali w nogę, ubrani w płaszcze i wiatrówki, bo nie było ich stać na mundury. Grono

zwolenników Hitlera rosło, aż po zaledwie kilku latach od przybycia zaczęto go nazywać „Królem Monachium”. O tym Hitler nigdy nie zapomniał. Monachium należało do niego.

Do roku 1941 władza narodowych socjalistów przytłumiła splendor i urok Monachium. Było tam jeszcze mniej wytchnienia od wszechobecnych nazistowskich flag niż we Fryburgu. Miasto kontrolowały partyjne zbiry, jak w całych Niemczech, a brak wolności czuło się jak uścisk imadła. Lecz nazistom nie udało się zgasić witalności i piękna tego tętniącego życiem miasta. Franka znalazła wytchnienie w sztuce i regularnie chodziła na koncerty. Największym azylem stała się dla niej muzyka, co już samo w sobie stanowiło formę protestu. Muzyka przywracała życie tej części jej duszy, której naziści nigdy nie zdołali tknąć. Franka znajdowała ukojenie w tej subtelnej formie protestu, jako że kto wyrażał zainteresowanie sztuką, ten był antynazistą, choć otwarcie tego nie deklarował. Hitler pogardzał intelektualizmem i dążeniem do estetyki. Okazywanie zamiłowania do takich spraw było oznaką słabości, nie zaś żelaznej, nieugiętej twardości, której wymagali narodowi socjaliści. Sala koncertowa stawała się azylem, a Franka czuła wspólnotę z innymi słuchaczami na widowni, gdy obmywała ją ambrozja dźwięków.

Szpital, gdzie pracowała, wypełniała radość i groza, koszmar i piękno. Łóżka zajmowali żołnierze z frontu, ich rany dawały jej niewielkie pojęcie o piekle, którego przed wojną Franka nigdy by sobie nie wyobrażała. Wszędzie wokoło leżeli złamani młodzieńcy, których przyszłość zgasiły pociski i bomby: bez oczu czy nóg, z twarzami spalonymi na węgiel, ich krew ciekła na marmurową podłogę. Takie marnotrawstwo... Siadywała z chłopcami, którzy życzyli sobie jedynie tego, by pottrzymała ich za rękę i uśmiechnęła się. Pokazywali jej zdjęcia żon i dziewczyn, które odwiedzały ich z kwiatami w ręku i wilgotnymi oczami. Chodzenie od łóżka do łóżka, bycie dla nich obecną, przepajało Frankę szczęściem, które uważała za niemożliwe. Żołnierze ci rozpalali świeczkę w ciemnościach jej duszy. Czasami mówili o Rzeszy i swoich nadziejach na przyszłość po ostatecznym wielkim zwycięstwie. Połamanymi zębami i rozerwanymi wargami opowiadali o wspaniałej bitewnej chwale. Ich lojalność wobec reżimu, który ich zniszczył, pozostawała niezachwiana. Tak niewielu z nich zdawało sobie sprawę, że w imię kłamstwa zostali przezuci i wypluci. Mało kto najwyraźniej rozumiał zakłamanie, które miało stać się ich udziałem, gdy historia zostanie spisana. Pozostawali w przekonaniu, że czynią słusznie, aż do samego końca. Franka nie miała serca wyprowadzać ich z błędu. Nic nie byłoby bardziej okrutne.

Hans Scholl nosił szary mundur Wehrmachtu, lecz odznaczał się energiczną charyzmą, której w tych czasach zdecydowanie brakowało. Był o rok młodszy od niej, miał ciemne blond włosy i twarz, która mogłaby stać się ozdobą uwielbianych przez niego filmów. Inne pielęgniarki trącały się łokciami, by patrzeć na niego, gdy przechodził. Studiował medycynę na uniwersytecie. Nie posługiwał się nazistowskim salutem, na powitanie wolał podawać rękę. Z Franką umówił się w pół minuty po tym, jak się poznali. Była bezsilna w obliczu jego uroku i prawie natychmiast się zgodziła. Następnego wieczoru poszli na koncert. Hans trzymał ją za rękę, gdy grzmiała *V Symfonia* Beethovena, a Franka wiedziała, że jest inny niż wszyscy. Rozumiała, że jest taki jak ona. Owego wieczoru księżyc jasno świecił nad miastem, a oni po koncercie siedzieli w parku, sącząc czerwone wino w ciepłej atmosferze lata. To wszystko prawie wystarczyło, by zapomnieć. Dzięki Hansowi mogła się śmiać, czuła się piękna. Jego oczy lśniły w srebrzystym świetle. Tyrania i terror poszły w niepamięć. Znikały ciemnie przeszłości. Wiedziała, że coś się zaczęło.

Hans pochodził z Ulm, miasteczka, w którym wizytę pamiętała z dzieciństwa, sto sześćdziesiąt kilometrów od Monachium. Często opowiadał o swojej rodzinie. Ojciec był lokalnym politykiem i przedsiębiorcą, a także namiętnym krytykiem partii nazistowskiej. Został aresztowany przez Gestapo za nieprawomyślność. Hans często też wspominał rodzeństwo, zwłaszcza młodszą siostrę Sophie, która w następnym roku miała pójść w jego ślady na uniwersytecie. Wcześniej należał do Hitlerjugend. Mógł zostać jedną ze znakomitości tego ruchu, lecz nie nosił nazistowskiej odznaki, a o władzy wypowiadał się wymijająco, zawsze chętny zmienić temat. Zamiast tego opowiadał historie zasłyszane od kolegów z wojska, którzy służyli w Polsce. Mówił o swobodach obywatelskich i wolności z pasją i porywcznością, które nie pozostawiały France wątpliwości co do tego, jakim wartościom czuje się oddany. W przebywaniu z nim kryła się wolność. Hans był kimś, z kim Franka mogła rozmawiać o sztuce i polityce, kto zgadzał się z nią, że machinacje reżimu narodowosocjalistycznego doprowadzą ostatecznie do zagłady narodu niemieckiego. Gdy stało się powszechnie wiadome, że są z Hansem parą, niektóre pielęgniarki przestały się do niej odzywać.

Pod koniec lata 1941 roku Hans zaprosił ją na spotkanie grupy przyjaciół, pod pretekstem, jak stwierdził, dyskusji o filozofii. W rzeczywistości spotkali się, by dać upust politycznym frustracjom. Spotkanie nie odbyło się w barze, lecz w pokoju prywatnego mieszkania. Filiżanki kawy i kufle piwa stały na stole obok stert gazet i książek. Hans przedstawił Frankę swoim przyjaciołom, Williemu i

Christophowi, a ona usiadła przy stole razem z gronem innych kolegów. Wszyscy byli studentami, młodszymi od niej, z wyjątkiem właściciela domu, doktora Schmorella, obok którego siedział jego syn Alex. Po krótkim wstępie Hans zaczął mówić.

– Wszyscy słyszeliśmy opowieści z frontu. Franka i ja codziennie widzimy w szpitalu niemieckie ofiary tej bezsensownej wojny.

Mężczyźni zwrócili spojrzenia na Frankę, zanim znów skupili wzrok na Hansie.

– Ledwie wczoraj doszły mnie wieści od zaufanego przyjaciela, który widział na własne oczy, jak na froncie wschodnim Polaków i Rosjan zapędza się do obozów koncentracyjnych, gdzie są rozstrzeliwani lub zamęczani na śmierć przymusową pracą.

Poczucie azylu było wszechogarniające, wręcz oszłamiające. Franka nie słyszała dotąd, aby mówił tak ktokolwiek oprócz jej ojca. Nawet sam Hans nie był przedtem tak szczery w jej obecności. Zapłonął w niej ogień.

– Dziewczyny się wyłapuje – powiedział Willi – i wysyła do burdeli, żeby wbrew własnej woli służyły nowym panom z SS. To coś więcej niż zwykłe podporządkowanie narodu. To gwałt i mord na skalę przemysłową. To koszmar, jakiego ludzkość chyba jeszcze nie znała, i to czyniony w imieniu nas wszystkich.

Christoph wstał.

– Mieszkańców terytoriów okupowanych reżim traktuje ohydnie, jeszcze gorzej niż własnych obywateli. Pytanie brzmi: czy będziemy działać? Czy możemy siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć, jak to się dzieje? Dobrze jest siedzieć przy stole i wygłaszać opinie, przez które, gdyby doszły do uszu kogoś z zewnątrz, wszyscy trafilibyśmy za kratki.

Zwrócił się do Franki, która poczuła na sobie spojrzenia niczym światła jupiterów.

– Franka, Hans nam opowiedział, co naziści zrobili twojemu bratu. Poniosłaś z ich rąk straszne cierpienia.

Wszyscy czekali, aż przemówi, ale słowa uwięzły jej w gardle. Do tej pory tylko Hansowi opowiedziała o losie Frediego, urywanymi zdaniami, nie ujawniając całej głębi związanego z nim bólu. Nie czuła się gotowa dzielić się tym bólem z nieznanymi, choć myśleli podobnie jak ona.

– Nie jestem gotowa mówić o tym tu i teraz, ale dość powiedzieć, że naziści zniszczyli albo usiłovali zniszczyć wszystko, co w naszym wspaniałym kraju było kiedyś szlachetne i prawdziwe, a ty pytasz, czy powinniśmy coś zrobić?

Kategorycznie odpowiadam, że tak. To nasz moralny obowiązek.

– Ale co robić? – zapytał Willi. – Jeśli naszym moralnym obowiązkiem jako lojalnych Niemców jest coś zrobić, to w takim razie co? Sprawy wojskowe na pewno pozostają poza naszym zasięgiem. Nie jesteśmy zamachowcami ani awanturnikami. Nie jesteśmy też wojskowymi rządzącymi żelazną ręką czy zbirami, jak sami naziści.

– Trzeba wykorzystać nasze mocne strony – stwierdził Hans. – Przelewać nasze idee na papier i rozpowszechniać prawdę, którą widzimy. Naziści chętnie głoszą swoją potęgę i tysiącletnie trwanie budowanego przez nich imperium, ale tak bardzo się boją własnego narodu, że wszelką krytykę tłumią ze skutkiem śmiertelnym. Lękają się jednej rzeczy: prawdy. Jeśli zdołamy przekazywać ludziom prawdę – o potwornościach popełnianych w naszym imieniu przez nazistów – to wygramy. Ci Żydzi, których pozostawiono w naszych miastach, muszą nosić żółte gwiazdy, ale gdzie reszta? Teraz już wiemy. My wiemy, ale większość ludzi nie wie albo udaje. Jeżeli uda nam się zmusić Niemców, by stawili czoła prawdzie, to będziemy mieć szansę na realne i trwałe zmiany. Musimy stać się sumieniem Niemiec. Musimy wystąpić w imieniu Żydów, homoseksualistów, duchownych i innych wrogów państwa, którzy zniknęli bez śladu. Musimy sprawić, by nasz naród i reszta świata dowiedzieli się, że są jeszcze w Niemczech ludzie, których przerażają czyny nazistów i żądają, aby ich zaniechali.

Dyskusja polityczna trwała jeszcze kilka godzin, aż wyczerpana Franka poszła do domu. Słowa usłyszane na zebraniu brzęczały jej w głowie przez wiele dni, zagłuszając nazistowską propagandę, która w innym wypadku zdominowałaby jej codzienne życie.

Ale starania, by przekuć te słowa w czyny, wymagały czasu. W państwie nazistowskim rzeczy niezbędne do tego zadania, jak maszyny do pisania, papier i powielacz, trudno było zdobyć bez ściągania na siebie podejrzeń. Hans załatwił lokal, w którym mieli przechowywać pozyskany sprzęt, zaczęli też opracowywać zarys ulotek. Omawiali podstawową argumentację, którą na regularnych spotkaniach odpowiednio wygładzali lub zaostrozali.

Przyjęli nazwę „Biała Róża”, a pierwszą akcję pocztową wyznaczili za kilka miesięcy, na lato roku 1942. Nie było ustalonych zasad czy przepisów co do zebrań albo członkostwa w Białej Różce. Nie istniała formalna lista członków, a nikt ze wstępujących nie przysięgał zachowania tajemnicy ani nie musiał składać przysięgi na Biblię. Rozumiało się, że to Hans był motorem organizacji, a więc

podejmował decyzje co do kierunku, w którym zmierzała. Dołączali nowi członkowie, zawsze weryfikowani przez poprzednich, bardziej na zasadzie odczucia niż czegokolwiek innego. Gestapowski „kret” mógł oznaczać dla nich wszystkich aresztowanie i więzienie albo jeszcze gorszy los. Jarzmo nazistowskiego państwa ciężko nad nimi wisiało, oni jednak śmiali się i bawili. Wciąż byli młodzi.

Żadne z działań Białej Róży nie skupiało się na uniwersytecie, gdzie studiowała większość członków. Ich grupa tworzyła wyspę na oceanie lojalności wobec nazistów, odmawiała udziału w życiu uczelni, w którym wszystkie imprezy odbywały się z inicjatywy narodowych socjalistów lub za ich zgodą.

Franka i Hans spędzali teraz cały swój wolny czas razem. Ich życie i związek nie ograniczały się do polityki Białej Róży. Ciągłe był jeszcze czas na młodość i miłość, nawet gdy Niemcy coraz głębiej zapadały się w otchłań.

W kwietniu 1942 roku, na kilka tygodni przed pierwszą akcją pocztową, Franka i Hans spacerowali nad rzecznym bulwarem, trzymając się za ręce. Mijały ich inne spacerujące pary. Była wśród nich młodzież, były małżeństwa z hasającymi przodem dziećmi, ale nikt nie wydawał się zasadniczo odmienny od Franki i Hansa. Przeszli obok starszego małżeństwa siedzącego na ławce i z zadowoleniem na pomarszczonych twarzach wpatrującego się w zachód słońca.

– Myślisz, że za pięćdziesiąt lat też tak będziemy tu siedzieć? – powiedziała niby żartem, choć pytanie zawarte w jej słowach było całkiem poważne.

– Oczywiście – odparł. – Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek chciał być z kimś innym niż ty.

Miała właśnie coś powiedzieć, kiedy Hans znów przemówił.

– W pewnym sensie zazdroścę innym parom. Wydają się nieświadome wszystkich okropności wokoło. Wyobrażam sobie, że taka możliwość oddalenia daje jakieś szczęście.

– Ty byś nigdy nie zrobił czegoś takiego, Hans. To nie w twojej naturze. Między innymi dlatego tak bardzo cię kocham.

– A poza tym dlatego, że jestem niesamowicie przystojny, prawda?

– O tym nie chciałam mówić w pierwszej kolejności, żeby nie wyjść na płytką.

– Za późno, teraz już wiem.

– Jesteś innym człowiekiem, kiedy jesteśmy sami – stwierdziła. – Jakiś taki lepszy.

– To moje prawdziwe oblicze, Franka. Taki chciałbym być przez cały czas. –

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy, zanim znowu przemówił. – Taki będę przez resztę życia, kiedy w końcu uda się na dobre pokonać zarazę narodowego socjalizmu. Tylko tego pragnę: wieść proste, spokojne życie, w którym mógłbym być sobą, przy tobie.

Wierzyła mu. Wierzyła w każde jego słowo.

Ulotka liczyła około ośmiuset słów. Franka spędzała czas, pochłaniając jej treść, tak jak wygłodniały człowiek łapczywie pożera jedzenie. Jej wzrok zatrzymał się na trzecim zdaniu: „Któż z nas może sobie wyobrazić rozmiary wstydu, jaki spadnie na nas i na nasze dzieci, gdy zasłona spadnie nam z oczu i ohydne zbrodnie, nieskończenie przekraczające wszelkie ludzkie miary, wyjdą na światło dzienne?”. Ulotka nawoływała wszystkich ludzi wiernych chrześcijańskiej tradycji Niemiec, by „stawiać bierny opór – gdziekolwiek jesteście, udaremnić dalsze trwanie tej bezbożnej maszyny wojennej, nim będzie za późno”. Strona kończyła się wierszem o wolności, pod którym widniało zalecenie, by podać ulotkę dalej i wykonać jak najwięcej kopii. U góry znajdował się nagłówek: „Ulotki Białej Róży”.

Zadaniem Franki stało się rozpowszechnienie pewnej części spośród wydrukowanych tysięcy. Wróciła pociągiem do Fryburga z wywrotowymi papierami w walizce. Ulotki wystarczały, by ją skazać na śmierć. Zwykłą radość z podróży do domu zastąpiły nerwy, lecz jazda pociągiem minęła bez problemów. We Fryburgu Franka rozesłała ulotki pod adresy z listy, którą miała przy sobie. Równie dobrze mogłaby wysyłać z Monachium, ale nadawanie z Fryburga, Berlina, Hamburga, Kolonii i Wiednia utrudniało władzom ustalenie, skąd właściwie pochodzi Biała Róża. Po kilku dniach Franka powróciła zwycięsko. Nikt nie dał się złapać. Powstała kolejna ulotka, potem jeszcze dwie. Działali według tej samej procedury, podejmowali identyczne środki ostrożności. Po Niemczech rozeszły się tysiące ulotek Białej Róży. Władze nie zauważały skutków tej akcji, wkrótce jednak Franka zaczęła słyszeć szepty na uczelni i gdzie indziej. Ludzie rozmawiali o artykułach Białej Róży. Rozpoczął się dyskurs, jakiego pragnęli członkowie grupy. Zapisane na maszynie kartki przechodziły z rąk do rąk, wszędzie pozostawiając ekscytację i niepokój. Czytelników zaskakiwała ich treść. Niektórzy przyjmowali je z obrzydzeniem, inni – ze zdumieniem lub niedowierzaniem. Z Monachium rozeszła się fala na cały kraj. Co najmniej jedna osoba poszła na Gestapo – ostatecznie takie rzeczy najlepiej było zgłaszać od razu. Nie było sensu pozwalać, by kogo innego nagrodzono za zgłaszanie wywrotowych treści. Gestapo rozpoczęło



poszukiwania autorów, ale członkowie Białej Róży pozostali nietknięci. Hans był przekonany, że to dopiero początek.

Franka poznała Sophie, młodszą siostrę Hansa, gdy ta w maju 1942 roku wstąpiła na uniwersytet. Przyjechała z nim zamieszkać. Z początku było niezręcznie. Franka przyzwyczaiła się do pewnego stopnia intymności, dla którego obecność siostry Hansa czasami okazywała się przeszkodą. Sophie była jednak miła i uprzejma, choć nieco zbyt poważna. Hans nigdy nie mówił o jej wstąpieniu do grupy. Za najlepsze wyjście uważał ukrywanie przed nią swej nielegalnej działalności, ale wkrótce znalazła nieco ulotek ukrytych w ich wspólnym mieszkaniu. Zażądała, by brat przyjął ją do organizacji. Franka pomogła przekonać Hansa. Czuła się ośmielona odwagą Sophie i jej trzeźwą determinacją, by walczyć o to, co uważała za słuszne. To było zaraźliwe.

Odmowa na nic by się nie zdała, więc po kilku dniach oporu Hans ustąpił. W ciągu kilku tygodni Sophie dorównała bratu w kierowaniu grupą. Zupełnie przejęła przywództwo, gdy pod koniec lata Hans, Alex i Willi trafili ze swoimi jednostkami na front wschodni.

Franka nadal pracowała w szpitalu, tajemne życie wyrotowej zdrajczynie skrywała przed wszystkimi oprócz najbliższych powierników. W stosunkach ze współpracownicami i koleżankami zapanowały wątpliwości i podejrzania. Analizowała każde ich słowo, każdy gest. Nie można było zaufać nikomu. W takiej izolacji jeszcze mocniej odczuwała brak Hansa w swoim życiu. Jej regularne listy, choć zakamuflowane i oszczędne w treści, określały prace Białej Róży mianem „projektu budowlanego”. Miała Hansowi wiele do powiedzenia. W oczekiwaniu na powrót chłopców nastąpiła przerwa w redagowaniu i publikacji ulotek Białej Róży, ale w tle wciąż toczyły się jakieś działania. Oddział organizacji powstał w Hamburgu, by pomagać przy kolportażu ulotek. Franka kończyła każdy list do Hansa ustępem poświęconym tylko sobie i ich związkowi. Bez względu na wszystko pragnęła, by wiedział, że ona myśli o nim w każdej godzinie dnia i odlicza czas do jego szczęśliwego powrotu. Wiedziała, że pewnych rzeczy naziści nie będą cenzurować w listach do frontowych żołnierzy.

Tego lata ojciec nie wrócił do chaty. Żał stał się dla niego nie do zniesienia. Kiedy na Boże Narodzenie przyjechał do Monachium, był już bladym cieniem samego siebie z czasów, zanim złamali go narodowi socjaliści. Jego posadę w fabryce oddano młodszemu o połowę miejscowemu naziście. Obniżono mu pobory i zastanawiał się nad wcześniejszą emeryturą. Ojciec z córką spotkali się na dworcowym peronie. Thomas Gerber był nieogolony, miał ziemistą cerę i

zalatywało od niego alkoholem. Poszli na obiad, ale niewiele rozmawiali, każde bało się tego, co może powiedzieć drugie. Udali się na długi spacer po mieście, mijając gruzy zbombardowanych budynków – coraz powszechniejszy widok – i budowane wszędzie schrony przeciwlotnicze. Rozmawiali o dawnych latach, o złotych czasach w chacie i o matce. To wszystko. Prawie nie wymawiali imienia Frediego, sprawiałoby to zbyt wielki ból. Ta sprawa i tak wydrenowała oboje do tego stopnia, że nie zostało już w nich wiele więcej.

Owej styczniowej niedzieli Franka późnym wieczorem pożegnała się z ojcem na dworcu. Obejmując go, znowu poczuła łzy.

– Nie muszę się o ciebie martwić? – zapytała, cofając się.

– Skądże – odparł, choć jego spojrzenie mówiło co innego.

– A może byś się tu przeprowadził?

– Dziękuję, ale nie. Zostanę we Fryburgu, tam, gdzie moja praca, gdzie twoja matka i brat. Prawie codziennie chodzę jeszcze na jej grób. Szkoda tylko, że nie mam dokąd iść, żeby odwiedzić jego. Nigdy się nie dowiemy, co te kanalie zrobiły z jego ciałem.

Ojciec wybuchnął na peronie płaczem, łzy lały mu się strumieniem po twarzy. Zaproponowała, że z nim zostanie, wróci na chwilę do Fryburga, jeszcze raz się upewniła, czy nie chciałby zostać, ale odmówił. Siedzieli na ławce, czekając na pociąg i obejmując się nawzajem, aż wreszcie pociąg przyjechał i Franka się pożegnała.

Wróciwszy z frontu rosyjskiego, Hans był bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek, by szerzyć idee Białej Róży. Służąc na froncie jako sanitariusz, widział, jak żołnierzy niemieckich pozbawiano jakiegokolwiek rycerskości, miłosierdzia czy człowieczeństwa. Zawodowi oficerowie, ongiś hołdujący ścisłemu kodeksowi honorowemu, teraz w pełni popierali nazistowskie dogmaty rasowe, którymi kierowały się jednakowo siły Wehrmachtu i SS. Wojnę na froncie wschodnim przedstawiano jako obronną krucjatę przeciw komunizmowi, ale, jak Hans uświadomił France, naprawdę był to pretekst dla zdobycia przestrzeni życiowej, którą Hitler obiecał Niemcom. Prawdziwa krucjata toczyła się przeciwko Żydom. Hans rozmawiał z dziesiątkami żołnierzy, świadków masowych mordów tysięcy żydowskich cywilów: ustawiano ich w szeregu na skraju wielkich rowów, które stawały się ich grobami. Odmieniło go to, co zobaczył. Pierwszej nocy po powrocie Franka obejmowała go, gdy drżał, leżąc w łóżku.

Gazety pełne były materiałów o bohaterskich zwycięstwach nad bolszewickimi hordami na froncie wschodnim. Rosjan przedstawiano

karykaturalnie jako bestie, lekceważono jako nieokrzesanych podludzi, niegodnych istnienia. Tylko Żydzi stanowili niższą formę życia. Tylko oni byli bardziej zbydlęci, gorsi od Rosjan, których dziarscy aryjscy żołnierze pokonywali z łatwością. Bitwa pod Stalingradem jednak odmieniła przekonanie, że naziści są niezwyciężeni. Członkowie Białej Róży starannie śledzili rozwój wydarzeń. Hitler nie chciał wydać żołnierzom rozkazu do odwrotu, skazując ich na śmierć w zamrzniętym mieście tysiące kilometrów od domu. Niemiecka 6. Armia została doszczętnie rozbita. Oficjalne doniesienia mówiły, że setki tysięcy poległo śmiercią bohaterów, a ich poświęcenie poprowadzi Rzeszę dalej, ku większym zwycięstwom. Członkowie Białej Róży wiedzieli co innego. Rozumieli, że zwycięstwo nazistów nie jest już nieuniknione i że Niemcy po raz pierwszy patrzą prosto w zimne szare oczy kłeski. Hitler zasmakował pierwszej większej przegranej. Biała Róża nie zamierzała przepuścić takiej okazji.

W prasie roiło się od artykułów o tym, jak reżim karze wszelkie akty oporu, nawet całkiem błahe. Pewnego mężczyznę stracono, bo powiedział, że Hitlera należałoby zabić za wysłanie na śmierć tak wielu żołnierzy niemieckich. Gestapo ucięło głowę kelnerowi za wyśmiewanie się z Führera i straciło przedsiębiorcę, który odważył się powiedzieć na głos, że wojna przyjęła zły obrót dla Niemiec. W Berlinie skazano na śmierć pięćdziesięciu ludzi za przesyłanie Rosjanom tajnych informacji w ramach tak zwanej Czerwonej Orkiestry. Mężczyzn z tej siatki nie ścięto na gilotynie, zgodnie z oficjalną metodą nazistowskich katów. Zostali powieszani na rzeźniczych hakach i pozostawieni, by umierać w męczarniach. Kobiety, skazane przez sąd na dożywocie, zgilotynowano na osobisty rozkaz Hitlera.

Franka знаła kilku ludzi aresztowanych przez Gestapo za nieostrożne słowa albo poruszanie w listach niewłaściwych tematów. Chwył, w jakim naziści trzymali Niemcy, nawet w przedśmiertnych spazmach jeszcze się zaciskał. Białej Róży w jakiś sposób udało się uniknąć rozłożystych macek Gestapo, ale każdy z jej członków odczuwał presję, pod jaką funkcjonowała organizacja. Franka czuła teraz we wszystkim, co robiła, strach przed aresztowaniem. Wszyscy go czuli, ale zwiększał on tylko ich determinację, by robić swoje. Nie było mowy o ustąpieniu. To oznaczałoby poddanie się.

Redagowali i drukowali kolejne ulotki. Franka znów odegrała swoją rolę. Czytała najnowsza, siedząc w toalecie pociągu do Kolonii, skąd miała rozesłać najświeższą partię.

„Nie będziemy siedzieć cicho” – stwierdzały ulotki. – „Jesteśmy waszymi wyrzutami sumienia. Nie zostawimy was w spokoju!”.

Po całych Niemczech rozesłano ich tysiące.

Miejsce ekscytacji, jaką czuła kiedyś Franka, zajęło przerażenie na myśl o wpadce. Z pewnością była to tylko kwestia czasu. Kwestia tego, kto skapituluje pierwszy, Biała Róża czy reżim. Losy wojny odmieniały się na niekorzyść nazistów – dowiódł tego Stalingrad i późniejsze klęski – ale Gestapo pozostawało równie groźne jak zawsze. Myśli o odejściu z organizacji dojrzewały we Francie od tygodni, aż zaczęły kiełkować. W powrotnym pociągu do Monachium podjęła decyzję, by zrobić sobie przerwę, oddalić się na moment, a do tego samego przekonać Hansa i Sophie. Działali oni z pasją, która mogła się dla nich okazać śmiertelna. Żadne inne wyjście nie wydawało się logiczne. Najtrudniejszą rzeczą wydawało się powiedzieć im o tym. Hans z kilkoma innymi rozpoczął kampanię pisania po murach Uniwersytetu Monachijskiego, mażąc smołą na ścianach i drogach starej uczelni antyhitlerowskie hasła. Posuwali się za daleko.

Był luty 1943 roku. Alianckie bombowce zrobiły sobie noc przerwy od nieustannego grzmocenia. Przekradając się nocną ulicą, Franka przyszła do pracowni, gdzie drukowano zakazane ulotki. Zastukała w konspiracyjnym rytmie. Willi otworzył i powitał ją pocałunkiem w policzek. Sophie pisała coś, siedząc przy biurku w kącie. Hans obsługiwał powielacz, rękawy miał podwinięte, a twarz czerwoną i spoconą.

– Mogę z tobą pomówić, Hans?

Skinął głową i dał znak Alexowi, żeby przejął od niego robotę. Franka zaprowadziła go do tylnego pokoju, gdzie usiedli.

– Chcę, żebyś przestał – powiedziała.

– Co ty opowiadasz?

– Gestapo zaciska pętlę i ty dobrze o tym wiesz. Wypytują ludzi na całym uniwersytecie. Wiedzą, że gdzieś tu mamy siedzibę. To tylko kwestia czasu, kiedy nas znajdą. Może byłaby pora to przerwać, póki jeszcze żyjemy. Ruchowi oporu z trupa nic nie przyjdzie.

Dłoń mu drżała, gdy podnosił kubek z kawą.

– Nie możemy przerywać akurat wtedy, kiedy zwróciliśmy uwagę narodu. Może i Gestapo jest coraz bliżej, ale to tylko podnosi stawkę. Mamy trybunę, której musimy używać, póki się da. Jeszcze nikt nie miał szansy zrobić tego, co my. Nie możemy jej zmarnować. Tego właśnie pragnęliby naziści.

– Wszyscy podziwiają to, co zrobiłeś.

– Zrobiliśmy. Każdy z nas odegrał w tym rolę, ty też, Franka.

– Oczywiście, dziękuję. Jestem dumna, że na swój skromny sposób wzięłam

udział w tej pracy, ale co zdziałamy martwi albo w więzieniu?

– Myślisz, że nie znam ryzyka? Każde dziecko wie, że wszystkich występujących przeciw reżimowi czeka śmierć. Ale czy przez to nasza praca nie staje się jeszcze bardziej potrzebna? Nie zwiększa to znaczenia tego, co robimy? Jesteśmy tylko ludźmi szerzącymi idee wolności w kraju, który potrzebuje ich bardziej niż każdy inny. Dajemy chleb wygłodniałym umysłom mas. Jeśli nas zabraknie, razem z nami zniknie marzenie o lepszym narodzie.

– Naprawdę myślisz, że najpotężniejszy reżim w Europie da się obalić za pomocą paru ulotek?

– Doceniasz cokolwiek, co próbujemy tu osiągnąć?

– Oczywiście...

– Nie sądzę, abyśmy sami mogli cokolwiek zmienić. Zmiany mogą nastąpić dopiero wtedy, kiedy cały naród niemiecki stanie przeciw nazistom ramię w ramię z nami. O to w tym wszystkim chodzi. Zawsze o to chodziło: o szerzenie idei wolności i zasianie ludziom w głowach ziaren prawdy.

– Nie chcę patrzeć, jak umierasz, Hans. Kocham cię.

– Ja ciebie też, Franka, ale chodzi o coś większego niż my sami. Tworzymy sprzeciw zdolny rzucić wyzwanie największemu złu, jakie kiedykolwiek dotknęło nasz kraj, a może i świat.

– A nie możesz po prostu przerwać na jakiś czas?

– Nie teraz. Może i Gestapo zaciska pętlę, może niedługo umrę, ale historia nie osądzi mnie łagodnie, jeśli nie wykorzystam otrzymanej szansy. A poza tym jak mógłbym pozostawić siostrę z tym wszystkim samą? Znasz ją. Sophie podchodzi do tej sprawy nawet z jeszcze większym zapałem niż ja. Dla mnie i dla Białej Róży istnieje tylko jeden kierunek: naprzód.

– Chyba nic, co bym powiedziała, cię nie przekona.

Jego przekrwione oczy się nie poruszyły.

– Obiecuj mi tylko, że będziesz ostrożny.

Wstał, żeby ją objąć. Przytuliła go i pocałowała ostatni raz. Hans odprowadził ją do drzwi, gdy inni mówili „dobranoc”, a potem zamknął za nią.

Hansa i Sophie aresztowano 18 lutego 1943 roku na Uniwersytecie Monachijskim. Pewien majster do wszystkiego, obdarzony przez nazistów uprawnieniami, a w wolnym czasie maszerujący pruskim krokiem defiladowym jako szturmowiec, zobaczył ich, gdy zrzucali ulotki z balkonu niczym confetti. Gestapo kazało mu zwracać uwagę na każde podejrzanе zachowanie – jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Chyba pomyślał, że to najlepszy dzień w jego życiu, widząc, jak dwoje studentów sypie z balkonu zakazane ulotki. Osobiście ich

aresztował, bez wątpienia podniecony perspektywą awansu i nagrody pieniężnej. Hansa i Sophie zabrano z terenu uczelni do siedziby Gestapo w Pałacu Wittelsbachów, byłej rezydencji królów bawarskich w centrum miasta. Oskarżono ich o zdradę stanu, próbę obalenia rządu siłą, działanie na szkodę narodowego socjalizmu i uszkodzenie własnej armii w czasie wojny. Christoph aresztowano po kilku godzinach. W mieszkaniach członków grupy gestapowcy znaleźli wszelkie niezbędne dowody, a jakkolwiek proces musiał być farsą.

Wieści o aresztowaniu Hansa i Sophie rozeszły się po całej uczelni. Franka była w pracy, gdy Willi przyszedł jej o tym powiedzieć. Całą noc płakała. Nie można było oczekiwać łaski, jedynie surowej kary, a kwestią czasu pozostawało, kiedy Gestapo przyjdzie i po nich. Nazajutrz gazety relacjonowały aresztowanie zdradzieckich studentów. Artykuł wstępny wyrażał nadzieję, że szybko wymierzy się im sprawiedliwość, i tak też się stało. Z Berlina przyjechał Roland Freisler, niesławny przewodniczący Trybunału Ludowego, rozpatrującego wyłącznie sprawy zdrady i działalności wywrotowej. Proces rozpoczął się już po czterech dniach, 22 lutego. Franka czekała wraz z innymi członkami organizacji, modląc się o jakąś pobłażliwość. Całe postępowanie trwało kilka godzin. Hans, Sophie i Christoph zostali uznani za winnych i skazani na śmierć. Z sądu zabrano ich do więzienia i zgilotynowano. Żona Christopha, leżąca wtedy w szpitalu, dowiedziała się o jego straceniu dopiero po kilku dniach. Rodzice Hansa i Sophie, obecni na rozprawie, po ogłoszeniu winy wrócili do Ulm, mając zamiar za kilka dni ponownie przyjechać do dzieci w odwiedzin. Nikt im nie powiedział, że ich syna i córkę egzekucja czekała jeszcze tego samego dnia.

Franka była u siebie, gdy po kilku tygodniach przyszło po nią Gestapo. Proces wyznaczono na kwiecień, miała być sądzona wraz z kilkorgiem innych członków – panika, w jaką wpadli naziści po pierwszych aresztowaniach, na pozór osłabła. Gestapowskie przesłuchanie okazało się dla niej łagodniejsze, niż sądziła. Po kilku minutach zorientowała się, że według gestapowców była zbyt łagodna, zbyt ładna i zbyt dziewczęca, żeby mieć cokolwiek wspólnego z organizacją tak godną potępienia jak Biała Róża. Śledczy najwyraźniej już na początku wyrobili sobie o niej zdanie, więc jedyne, co musiała, to postępować według ich oczekiwań. Wiedzieli, że to Hans i Sophie stanowili siłę napędową ruchu, a pozostałymi głównymi uczestnikami byli Willi, Christoph i Alex. Chcieli tylko, aby Franka potwierdziła wersję zdarzeń, którą sami już sformułowali, co do samej grupy oraz roli Franki jako nieświadomej dziewczyny przywódcy, lojalnej aryjki sprowadzonej na złą drogę przez zdradzieckich dysydentów. Jej rola wydawała się kluczowa w narracji, jaką narodowi socjaliści

mieli zamiar przedstawić zafascynowanej, zaszokowanej opinii publicznej Niemiec. Adwokat wynajęty przez ojca ledwo uwierzył, ile miała szczęścia.

– Nie wydaje mi się, żeby tak łatwo pani odpuścili, gdyby nie pani uroda – stwierdził.

– Najważniejsza rzecz to ująć z tego z życiem – powiedział ojciec. – Mów im wszystko, co trzeba, żebyś wyszła żywa. Wyrzeknij się organizacji. Ratuj swoją skórę.

Franka chciała stanąć w obronie idei, oznajmić sędziom, że czuje się dumna z tego, co robiła wraz z innymi, a morderczym zdrajcą jest Hitler.

– Jak mam się wyrzec przyjaciół? To by znaczyło odwrócić się plecami do wszystkiego, w co wierzę. Jak bym potem mogła sama sobie spojrzeć w oczy?

– Nie rób tego dla siebie. Zrób to dla mnie. Potrzebuję cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Nie zostawiaj mnie. Żyj. Dla mnie.

I tak właśnie zrobiła. Przed sądem wyrzekła się Białej Róży, twierdząc, że sprowadził ją na złą drogę niebezpieczny rewolucjonista, którym okazał się jej chłopak. Serce miała w strzępach, a każde zaprzeczenie oddzierało kolejny. Ojciec uśmiechał się do niej z drugiego końca sali sądowej, pokazując gest aprobaty, gdy deklarowała lojalność wobec Rzeszy. Myślała o Hansie i jego porywającej ostatniej przemowie na cześć wolności, którą wygłosił w tej samej sali. Ale, jak powiedział ojciec, Hans już nie żył, tak samo jak Biała Róża. Franka nie musiała umierać razem z nimi. Sprzedała więc wszystko, w co wierzyła, aby żyć dla ojca, by nie został sam na tym świecie. W więzieniu spędziła sześć miesięcy. Sędzia wyraził nadzieję, że kara da jej wytchnienie, żeby mogła się zastanowić nad dobrem towarzystwa. Stwierdził, że po wyjściu na wolność powinna spełnić swój obowiązek, poślubiając lojalnego poddanego Rzeszy, najlepiej frontowego żołnierza, i rodząc mu wiele dzieci, które będą służyć Führerowi. Płakała, gdy woźny wyprowadzał ją z sali. Wstyd był dla niej nie do zniesienia. Willi, Alex i doktor Huber, profesor uniwersytetu, który stał się dla nich natchnieniem, także zostali straceni. To oni byli bohaterami.

Franka uniknęła straszliwych „kacetów” – obozów koncentracyjnych, które w Niemczech stały się niewymawialnym koszmarem, prawdą, jakiej nie przyjmowali do wiadomości nawet najzagorzalsi zwolennicy nazizmu. Wysłano ją, wraz z kilkorgiem innych członków Białej Róży, do więzienia Stadelheim, gdzie stracono Hansa i innych. Popadła w głęboką depresję. W snach nawiedzały ją duchy nieżyjących bohaterów Białej Róży. Czas mijał. Jej przygnębienie się pogłębiało. Ojciec regularnie przysyłał listy, a przy życiu trzymało Frankę już tylko oczekiwanie na kolejny. Łagodne, pełne nadziei słowa

ojca stały się jedyną oznaką miłości i piękna w świecie odartym z tych wartości. Listy przestały przychodzić w październiku. Ojca zabiła zabłąkana bomba zrzucona przez aliancki samolot. Trzy tygodnie później Franka miała wyjść na wolność. Jej rodzina padła ofiarą obu stron w tej bezsensownej, ohydnej wojnie. Zabrano jej wszystko.

Przez tydzień czy dwa po zwolnieniu przeciągała swój pobyt w Monachium. Z tego okresu nie było co pamiętać. To już przestało być jej miejsce. Nie potrafiła udawać części tego społeczeństwa. Flagi wciąż powiewały nad budynkami obróconymi w gruzy przez bomby, a swastyka nadal widniała na niezliczonych trumnach przywożonych do kraju z frontu wschodniego. Przyszedł list z Fryburga, od adwokata ojca. Testament był gotowy. Nikt inny się nie stawiał. Właśnie wtedy postanowiła, że odbierze sobie życie. Nie miała już po co żyć. Odpowiednim wydawało się wrócić, zrobić to w swoim rodzinnym mieście, w stronach, gdzie zaznała największej radości.

Wysłuchiwała, jak adwokat odczytuje testament ojca, zniosła jego przepelnione potępieniem spojrzenia, rzucając spód wiszącego nad biurkiem portretu Hitlera, a następnego dnia odwiedziła groby rodziców. Leżeli wtuleni w siebie na wzgórzu górującym nad miastem, w którym spędzili życie. Zaraz potem Franka skryła się w chacie. Nocami powracały najgorsze wspomnienia, spanie w pojedynkę było niewyobrażalną męczarnią. Ból stał się dla niej nie do zniesienia. Tamtego wieczoru wyszła z domu, nie mając na uwadze żadnego konkretnego miejsca, nie zamierzając zejść tak daleko, jak w końcu się dostała, ale zawsze pozostawało wspiąć się na jeszcze jedno wzgórze, minąć jeszcze jedną linię drzew – i tak go znalazła.

Franka zakończyła opowieść. Świeca, wypalona prawie do końca, migotała po pokoju. Na dworze panowała spokojna noc – kompletnie cicha.

– Franka, co się stało z Fredim? W jaki sposób umarł? Co mu zrobili naziści?

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Muszę już iść.

Zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając mężczyznę samego w półmroku sypialni.



## ROZDZIAŁ 8

**M**inął tydzień, od kiedy go znalazła. Przez ten czas ból w nogach osłabł do mrowienia, ale mężczyzna pozostawał przykuty do łóżka, uwięziony w tej chacie. Na dworze gasło światło dnia, słońce rzucało jasnym oranżem i czerwienią, które przebijały się przez oszronioną szybę okna sypialni. Co chwila powtarzał w myślach opowieść Franki, szukając nieścistości, których tam nie było. Nie widział jej od poprzedniej nocy, od kiedy wyszła z pokoju, opowiedziawszy mu o swej przeszłości. Z trudem mu przyszło nie zdradzać jej tego, co sam wiedział o działalności Białej Róży. Wrócił myślami do szkolenia, do technik przesłuchania, o których się uczył. Jej oczy zdradzały głęboką szczerłość. Wiedział, że nie kłamała, ale też zdawał sobie sprawę, że ukrywa coś jeszcze. Opowiedziała mu większość swojej historii, ale nie wszystko, czegoś brakowało. Tak czy inaczej, wydawało się prawie niewyobrażalne, by mogła być agentką Gestapo. Gdyby wiedziała, że on nie jest Niemcem, i na niego doniosła, to siedziałby już w pokoju bez okien, wpatrując się w światło lampy. Była zdrajczynią idei, trafiła do więzienia za działalność przeciw reżimowi i uniknęła gilotyny tylko dlatego, że sędziowie ją zlekceważyli. Czy w jakiś sposób się zorientowała, kim był? Ale jak? Mężczyzna sięgnął po szklankę wody obok łóżka i przełknął zimny łyk. Jeśli się domyśliła, że nie był Niemcem, to czego jeszcze?

Tego dnia panowała ładna pogoda. Niełatwo było to stwierdzić przez okno pomalowane mrozem, ale śnieg nie padał. Chata była teraz prawdopodobnie dostępna. Świat mógłby wtargnąć do ich kryjówki. Mężczyzna rozejrzał się. W chacie nie było miejsca na stanowisko podsłuchowe, skąd gestapowcy przypatrywaliby mu się potajemnie przez dziury w ścianie. Dobiegały go wszystkie odgłosy, gdy panna Gerber przynosiła drwa, gdy robiła sobie w kuchni kawę. Przedtem słyszał, jak się kąpała, a teraz wiedział, że kobieta czyta w fotelu bujanym przy ognisku w salonie, słuchając radia. Zachowywała się przy nim z absolutną swobodą. Słuchała nielegalnych stacji radiowych i często wspominała o swojej pogardzie dla reżimu. Gdyby był oficerem Luftwaffe, jak stwierdzały jego dokumenty, to mogłaby się spodziewać brutalnego potraktowania przez Gestapo, jeśliby doniósł o jej nielegalnym postępowaniu. Nie kłamała, mówiąc, że wie. Nie było innego wytłumaczenia.

Jakimś cudem wiedziała.

Dźwięki z salonu podpowiedziały mu, że Franka wstała z fotela i przeszła do kuchni. Jej kroki zbliżyły się do jego drzwi, potem rozległo się pukanie. Drzwi się otworzyły. Twarz miała bezbarwną i ściągniętą. Za dnia rzadko ją widywał, chyba że miała szczególny powód, by wejść. Zazwyczaj zjawiała się tylko w porach posiłków, ale teraz do obiadu pozostawała co najmniej godzina.

– Jak się pan czuje?

– Całkiem nieźle, *Fräulein*.

To była dyscyplina, wyuczone zachowanie, by stłumić instynkty, nie odsłonić się. Nocą słyszał, jak skrzypią sprężyny jej łóżka, a teraz widział jej podkrążone oczy.

– Franka? Nie musi pani czuć się winna.

– Co?

– To nie pani wina, że pani żyje, a oni umarli. Nie powinna pani się wstydzić, że nie chciała umrzeć. – Te słowa przysły mu bez zastanowienia i bez ukrytych zamiarów. Sam był sobą zaskoczony.

– Sprzedałam ostatnią rzecz, w którą wierzyłam. – Odwróciła się ku niemu, głos miała stłumiony, wzrok wbity w podłogę. – Nic innego w życiu nie miałam. Gdybym chociaż zabrała głos...

– To już by pani nie żyła, ja tak samo. Jaki byłby z tego pożytek? Komu by to wyszło na dobre? Hans nie żyje, ale to nie znaczy, że pani nie może żyć dalej.

– To niedorzeczne... Nigdy dotąd tak bardzo się przed nikim nie otworzyłam. Nawet pana nie znam.

– W dzisiejszych czasach trudno o powierników.

Czy mógł jej zaufać? Czy jej opowieść była prawdziwa? Jakie było prawdopodobieństwo natrafienia na kogoś takiego jak ona? Chciał jej uwierzyć, ale nie mógł, wiedząc, że coś jeszcze ukrywa.

– Franka? Mogę ci mówić po imieniu?

– Tak, oczywiście.

– Chciałbym podziękować, że opowiedziałaś mi swoją historię.

– A teraz na mnie doniesiesz? – zapytała.

– Za co?

– Słuchanie zakazanego radia? Wywrotowe wypowiedzi na temat Führera?

– Nie jestem nazistą.

– No to kim?

– Nie każdy Niemiec w mundurze jest nazistą. Powinnaś to wiedzieć lepiej niż większość ludzi.

- A nie każdy w nazistowskim mundurze jest Niemcem.
- W czasie wojny nie ma miejsca na krytykę rządu – powiedział, czując nieszczerłość własnych słów.
- Biała Róża uważała zupełnie inaczej.
- A ty uważasz się za prawdziwą patriotkę, bo krytykowałeś władzę?
- Kiedyś tak było. Teraz nie jestem godna tego miana. Nie po tym, co zrobiłam. Hans, Sophie, Willi i Alex: to byli prawdziwi patrioci.

W pokoju zapadła ciężka cisza. To był właściwy moment. Okazja sama mu się nadarzała.

- Czegoś mi nie mówisz – stwierdził.
- Co masz na myśli?
- Znam się na ludziach. To część mojej pracy. Nauczono mnie rozpoznawać, kiedy ktoś ma coś do ukrycia, i widzę, że ty właśnie masz.
- A co z tobą, panie Graf? – wypluła jego nazwisko jak coś gorzkiego. – Co ty ukrywasz przede mną?
- Nie chodzi o mnie.
- Czyżby?

Pamiętał o rewolwerze pod poduszką i wiedział, jak sięgnięcie po niego mogłoby wpłynąć na tę rozmowę, na całą tę sprawę.

- Ukrywasz coś, o czym mi nie powiedziałaś.
- A ty mi w ogóle nic nie powiedziałaś! – krzyknęła.
- Nie mogę zdradzać szczegółów zadania, które wykonuję...
- Wiem, dla dobra Rzeszy. Sięgasz mi do samej głębi, a kiedy ja daję, prosisz tylko o więcej. – Wstała. – Mówisz, że nie jesteś nazistą, ale niczym się od nich nie różnisz. Może to właśnie ty coś ukrywasz.

Ruszyła ku drzwiom i zatrzasnęła je za sobą, ale zapadka nie zaskoczyła i pozostały uchylone. Cała chata się trzęsła, gdy Franka ciężkim krokiem szła do kuchni. Usłyszał odsuwanie krzesła przy stole, a potem jej płacz.

Zmagał się ze słabością, którą czuł w sobie.

Ona łkała samotnie.

Cóż mógł zrobić, tkwiąc w tym łóżku, w tej chacie, w tych górach? Czy mógł jej zaufać? To pytanie niezmiennie, wciąż na nowo wracało mu do głowy. Czy mogłaby zrobić to, do czego on był teraz niezdolny? To prawda, że w dużym stopniu się otworzyła, ale widział, że kryło się w niej coś jeszcze. Czuł to. Co się stało z jej bratem Fredim? W swojej opowieści przeszła nad nim do porządku dziennego, jak gdyby rozpląnął się w nicości. Dlaczego go nie odwiedzała, skoro trzymali go w pobliskim zakładzie? To była ostatnia część zagadki, ostatni

kawałek łamigłówki. Kiedy tylko zostanie odkryty, zdradzonych tajemnic nie będzie można cofnąć, a rewolwer schowany pod poduszką może się okazać jedynym wyjściem. Musiał się upewnić. Od tego zależało jej życie.

Mijały godziny. Obiad nie nadchodził. W szklance zabrakło wody, nocnika nikt nie wynosił. Mężczyzna słyszał Frankę za ścianą, każdy jej krok, ale sam nie wydał żadnego dźwięku. Wiedział, że osiągnęli punkt krytyczny i teraz to ona musiała zrobić następny ruch. Czekał. W sieni zegar z kukułką wybił jedenastą. Nieprzenikniona czerń nocy zmieniała okno w zwierciadło odbijające żółty blask lampy naftowej.

Rozległy się kroki. Franka przez kilka sekund stała w drzwiach, w jej niebieskich oczach tańczyło światło lampy. Nie odzywała się.

– Powiem ci, co chcesz wiedzieć, ale nie dla ciebie, tylko dla siebie – odezwała się wypranym z emocji, głuchym głosem. – Za długo już dźwigam ten ciężar. Dotąd mówiłam tylko Hansowi, ale niektórymi szczegółami nie byłam w stanie się podzielić nawet z nim.

Wpatrzyła się w pustkę, z jej ust zaczęły sypać się słowa.

\*\*\*

Fredi miał prawie czternaście lat, kiedy w 1939 roku zabrali go do zakładu. Wzrost zaczął działać na jego niekorzyść. Mierzył już prawie metr osiemdziesiąt, a w miarę tego, jak ciało mu rosło, kończyny wydawały się więdnąć. Widok chodzącego Frediego od dawna już był tylko wspomnieniem, a Thomas co dzień z trudem sadzał go na wózku i z niego podnosił. Franka wybierała się do Monachium, by rozpocząć nowe życie. Ojciec zachęcał ją tak usilnie, że prawie zmusił, żeby przyjęła posadę. Upierał się, że powinna żyć własnym życiem, a Fredi dla każdego z nich dwojga okaże się nadmiernym obciążeniem. Opiekę najlepiej było oddać w ręce zawodowców. Franka przyjęła życzenie ojca bez sprzeciwu, ale w głębi duszy widziała, że od rodziny oddała ją własny egoizm, tęsknota za odrębnym, niezależnym życiem. Miała dwadzieścia dwa lata. Oprócz Daniela nie zaznała miłości. Pragnęła więcej. Fryburg wydawał się jej zatruty. Monachium, wielkie miasto, dawało nową nadzieję.

Fredi był najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu znała. Nienawiść, złośliwość, mściwość – emocje tworzące opokę nazizmu – były mu obce. Znał tylko miłość, a ci, którzy znali jego, czuli blask tej miłości. Nie dało się jej oprzeć. Wieści, że przeprowadza się do domu opieki, przyjął z typowym dla siebie optymizmem i entuzjazmem, oświadczając, że będzie miał szansę poznać

setki nowych przyjaciół. I tak się stało. Kiedy w listopadzie 1939 roku, kilka tygodni po jego przyjeździe, Franka przyjechała z wizytą, sprawiał wrażenie, jakby mieszkał tam całe życie. Każdy go znał. Wszyscy go uwielbiali i prawie godzinę spędził, przedstawiając siostrę nowym przyjaciołom: od pielęgniarek, pozdrawiających go promiennym uśmiechem, po pacjentów niezdolnych chodzić czy mówić, którzy witali go skinieniem głowy albo podniesieniem ręki. Jego humor nikogo nie pozostawiał obojętnym.

Franka odwiedzała brata, gdy tylko mogła. Wracała do Fryburga mniej więcej co trzy tygodnie, za każdym razem zaglądając do Frediego z ojcem, którego cały personel witał po imieniu. Fredi wydawał się szczęśliwy i na swoim miejscu. Ojciec powtarzał to tak często, że Franka wreszcie w to uwierzyła, a poczucie winy z powodu przeprowadzki do Monachium osłabło. Stan Frediego się ustabilizował. Lekarze nie czynili nadziei na wyzdrowienie, ale zwyrodnienie kończyn spowolniło. Fredi z łatwością jeździł na wózku po całym zakładzie, ciągle musiał gdzieś być, kogoś odwiedzić i rozchmurzyć.

Franka знаła ze studiów kilka pielęgniarek i pomiędzy wizytami kontaktowała się z nimi, żeby zapytać o przebieg leczenia brata. W miarę upływu czasu stawali się z ojcem coraz spokojniejsi. Nowe życie z Fredim było lepsze niż kiedykolwiek. Ojciec mógł się odprężyć po raz pierwszy, jak się wydawało, od wielu lat. Spokój ducha Franki co do opieki nad Fredim pozwolił jej rzucić się w wir nowego życia z zapalem i pasją. Wydawało się, że równowaga jest możliwa.

Nowiny nadeszły bez ostrzeżenia. Był kwiecień 1941 roku, Frankę wezwano w pracy do telefonu. Dzwoniła jedna z pielęgniarek z zakładu, mówiła przez łyżę.

Pewnego wtorkowego popołudnia przyjechały bez zapowiedzi czarne ciężarówki SS. Był ładny dzień i wszystkich pacjentów, nawet tych w stanie katatonii, wyprowadzono na dwór. Starszym, którzy mogli stać, nakazano ustawić się w szeregu. Siostra przełożona protestowała, ale odciągnęli ją na bok i aresztowali. Mężczyźni w białych fartuchach, którzy nie przedstawili się jako lekarze, zaglądali starszym pacjentom do ust. Pracowników zapewniali, że to wszystko rutynowa procedura i niedługo się skończy. Pacjentów podzielono na grupy, niektórym felczer postawił na piersi atramentowy stempel. Jednej grupie pozwolono wrócić do środka, a drugą, znacznie większą, spędzono w pobliżu ciężarówek. Pacjenci zostali na nie załadowani – jedni na wózkach, inni kuśtykali o kulach, a niektórych wniesiono na noszach. Jedno z dzieci zapytało dowódcę SS, dokąd jadą, a on odpowiedział, że do nieba. Dzieci wsiadły na ciężarówki z uspokojonymi uśmiechami na twarzach.

Fredi był nerwowy. Zupełnie jakby instynkt mu mówił, że ci ludzie kłamią.

Walczył, wymachując rękami na pielęgniarki, błagał, by pozwoliły mu zostać. Krzyżące siostry, które próbowały przyjść mu z pomocą, esesmani powstrzymywali bokiem karabinów i rzucali na ziemię. Jeden z uśmiechem położył Frediemu rękę na ramieniu i powiedział, że niedługo wróca, przywożąc ze sobą wspaniałe opowieści, i że tam, dokąd jada, wszyscy dostaną darmowe lody. Uspokojony kłamstwami, Fredi złagodniał. Esesman złapał za uchwyty wózka i popchnął go do czarnej ciężarówki, aby chłopak mógł zająć miejsce wśród przyjaciół. Esesmani zachęcili dzieci do śpiewu, jakby wieźli je na wycieczkę na targ. Fredi machał ręką, gdy z trzaskiem zamknęły się za nim drzwi. Za odjeżdżającymi samochodami niesły się w powietrzu głosy śpiewających dzieci.

Ojciec Franki starał się gorączkowo zasięgnąć informacji o miejscu przebywania syna, lecz natrafił na ścianę udawanej niewiedzy i zaprzeczeń. Po kilku dniach cierpienia poinformowano go listownie, że Fredi zmarł na zawał, a jego ciało poddano kremacji. Listowi towarzyszył akt zgonu, zakończony oficjalnym pozdrowieniem: „Heil Hitler”.

Sam Hitler wydał takie zarządzenie. Führer był nieudolny, leniwy i skłonny do wydawania mglistych poleceń, których realizacji domagał się jak najszybciej. Już dawniej wspominał o „darmozjadach”, marnujących krajowe zasoby, podczas gdy kwiat niemieckiej młodzieży składał ofiarę krwi na polu walki. Ludzi „niegodnych życia” miano usunąć ze szpitalnych łóżek, aby zrobić miejsce dla rannych wracających z frontu lub dla matek, których dzieci mogłyby uzupełnić bojowe straty. Jaki pożytek w tych wojennych czasach był z nieuleczalnie chorych, upośledzonych fizycznie i umysłowo czy zniedołężniałych? „Pozbawienie praw” takich osób uczyniłoby naród zdrowszym, bardziej żywotnym, stałoby się krokiem ku zapewnieniu przyszłości rasie aryjskiej. Hitler mianował komitet lekarzy, którzy mieli decydować, kto ma żyć, a kto umrzeć. Do zamordowania przeznaczono niezliczone tysiące ludzi.

Thomas Gerber był zdruzgotany. Śmierć Frediego zabiła w nim resztki życia czy miłości. Witalność i radość, z których kiedyś słynął, zniknęły. Od tej pory Franka nigdy nie słyszała, żeby się śmiał, zupełnie jakby już stracił tę umiejętność. Wkrótce potem, zwolniony z pracy, uciekł w pijackie zamroczenie. Cierpienie swą głębią przekraczało wszystko, co Franka dotąd znała. Płakała całymi dniami, nie mogła jeść ani spać, nienawiść do nazistów płonęła w niej jak roztopione szkło. Morderców Frediego wysławiano tymczasem jako bohaterów, a człowieka ponoszącego najwyższą odpowiedzialność ubóstwiano. Nie dało się uciec – mordercy Frediego byli wszędzie. Należał do nich każdy, kto nosił

nazistowską opaskę czy odznakę. Każdy esesman i każdy lojalny aryjczyk, każdy *Hitlerjunge* i każdy historyk o dzikim spojrzeniu, wyrzaskujący na niezliczonych wiecach nazistowskie pozdrowienie. Kto wiedział, ile tysięcy ludzi zamordowano w ramach wprowadzonego przez narodowych socjalistów programu eutanazji albo ilu ujarzmiono Żydów, Cyganów, komunistów, związkowców, dysydentów politycznych czy zwykłych obywateli przyłapanych na wypowiedaniu niewłaściwych słów? Franka zdała sobie sprawę, że w społeczeństwie niemieckim wytyczono linię pomiędzy sprawcami a ofiarami. Tysiące miało udział w zbiorowej winie, o której pisał Hans, ale wciąż coraz więcej było ofiar reżimu – których rodziny wysłano do obozów koncentracyjnych albo zamordowano jako „niegodnych życia”. Ich całe życie mijало w otwartym więzieniu, jakim stała się Trzecia Rzesza pod panowaniem ludzi, którzy popełnili przeciw tym ludziom potworne zbrodnie.

Nie było ciała, które można by pochować, za śmierć Frediego nikt nigdy nie miał stanąć przed sądem. Franka wróciła do zakładu, licząc na jakieś zakończenie sprawy. Na jej widok pielęgniarki wybuchnęły płaczem. Przyjaciółka, która do niej zadzwoniła, padła jej w ramiona, błagając o wybaczenie za coś, czego nie była w mocy powstrzymać. Franka nie została długo. To miejsce było już skażone, a personel utrzymywał, że to tylko kwestia czasu, zanim SS wróci po pozostałych pacjentów. Franka wróciła do Monachium. Próbowwała zatopić się w muzyce, pracy – czymkolwiek, byle się tylko oderwać od wszechobecnego bólu w głębi siebie, czymkolwiek, by przestać wspominać. Poznała Hansa. On ją zrozumiał, a wtedy połączyli się w oburzeniu, chętni, by umrzeć w służbie narodu niemieckiego.

Fredi nigdy jej nie opuścił. Codziennie widziała jego twarz. Gdziekolwiek szła, słyszała jego śmiech. Był zbyt dobry, zbyt czysty jak na ściek uprzedzeń i nienawiści, którym stał się ten kraj. To już nie był kraj dla aniołów. Teraz dobrze żyć mogli tu tylko ludzie wykoślawieni nienawiścią i strachem.

\*\*\*

Wiatr zagrzechotał oknami, po czym ucichł. Minęły dwie minuty milczenia, odkąd skończyła opowieść, powietrze wypełniał tylko jej płacz.

– Za dużo zdradziłam – oznajmiła. – Najwyższa dla mnie pora wyjść i trochę się przespać. Nic nam nie da...

– Franka?

Zmierzała do drzwi, ale zatrzymała się na dźwięk jego głosu.

– Nazywam się John Lynch – powiedział. – Pochodzę z Filadelfii w Pensylwanii i potrzebuję twojej pomocy.



## ROZDZIAŁ 9

### *Wyspa Guadalcanal, listopad 1942 r.*

Wiatr przyniósł nieco wytchnienia od nieustępliwego żaru. John zdjął hełm i dotknął nadgarstkiem czoła, żeby zetrzeć trochę potu, który zdawał się pokrywać całe ciało. Inni ścigali tornistry i karabiny, wielu używało hełmów jako siedzisk. Wysoka trawa na wzgórzu ponad nimi syczała i tańczyła na wietrze. John sięgnął po manierkę przy biodrze. Ręce miał suche, pocięte na strzępy; drżały, gdy unosił wodę do ust. Wypił tylko tyle, by zaspokoić pragnienie, od razu przykręcił nakrętkę. Od kilku dni nie dostawali zaopatrzenia, a woda się kończyła. Dla wyższych szarż nie wydawała się priorytetem. Ciało Johna dręczył tysiąc maleńkich agonii, po całym dniu marszu nawet zwykłe przykucnięcie wydawało się luksusem. Oparł karabin o skarpę, przy której siedział pluton. Niektórzy zrywali wieczka z konserw i szarpali zawartość brudnymi palcami. W powietrzu płynęła woń dymu papierosowego. Żołnierze stękali. Mało który się odzywał. Wiedzieli, co ich czeka. Wiedzieli, że to tylko krótki odpoczynek. Mieli wzgórze do zdobycia.

Albert King, farmer z Kansas, poczęstował go papierosem. John pokręcił głową.

– Za dobryś na moje fajki, co? – zapytał King. – Nie siadasz, żeby ci korona ze łba nie zleciała.

– Czekam na lokaja. W dzisiejszych czasach trudno o porządną służbę.

Usłyszeli majora, zanim jeszcze zobaczyli, jak kroczy wzdłuż szeregu wyczerpanych żołnierzy, każdego z kolei zaszczycając spojrzeniem. Zatrzymał się w miejscu, gdzie siedzieli John z Kingiem.

– Potrzebuję ochotników – stwierdził major Bennett. – Pięciu ludzi, którzy wejdą na górę i sprawdzą, co tam jest.

Przeszedł jeszcze kilka metrów, ciężar jego spojrzenia zawisał na każdym z żołnierzy.

– Siedzimy tu jak kaczki. Jeśli nieprzyjaciel ma tam kaem, a myślę, że ma, to nas skosi, ani się obejrzymy. Potrzebuję pięciu ludzi, żeby unieszkodliwili to, co na górze. Artyleria zrobiła swoje, więc mamy spore szanse, że znajdziecie tylko kilka złotych trupów. Kto chce tę robotę?

Zmęczone, niechętnie dłonie uniosły się w górę, wśród nich ręka Johna. Bennett wybrał go jako pierwszego. Pięciu ludzi otoczyło majora.

– Lynch będzie dowodził. Jeśli tam jest kaem, załatwcie go i zameldujcie mi o tym.

Pozostali poszli w ślad za Johnem, gdy ten wystawił głowę ponad krawędź skarpy. Łany trawy falowały z wiatrem na obszarze stu metrów, aż do szczytu wzgórza. Słońce zachodziło. Niebo stało się pomarańczowo-złote, jakby niebiański malarz przeciągnął po nim pędzlem. Światło zdawało się gęstnieć, wydawało się, że mogą go dotknąć, gdyby tylko wyciągnęli rękę. John wytarł spocone dłonie o wypłowiały mundur polowy i gestem nakazał innym, by poszli za nim. Przykucnął z oczyma tuż powyżej linii szeleszczącej wokoło gęstej trawy. Żołnierze rozciągnęli się, King i Carpenter po lewej, Smith i Munizza z prawej. Szli cicho, nogi poruszały się niestrudzenie w gęstej trawie. Od reszty kompanii dzieliło ich już mniej niż sto metrów. Lynch pokazał kolegom, aby się zatrzymali. Schylili się jak jeden mąż, natychmiast znikając z pola widzenia. John odpiął lornetkę od pasa. Nic nie widać. Szczyt wzgórza był tuż poza jego zasięgiem wzroku, ukryty za skarpa.

Dał znak pozostałej czwórce, żeby ruszyła za nim, i przykucnął, powoli posuwając się przed siebie. Byli z nim na równym poziomie, rozciągnięci na trzydzieści metrów w obie strony. Z tyłu nie było już widać kompanii, zasłaniała ją zbocze wzgórza. John, z wymuszonym, nierównym oddechem, czuł, jak serce mu przyspiesza. Każdy krok był bardziej bolesny od poprzedniego. Stopy miał poobcierane i z pęcherzami, skarpetki sztywne od zaskorupiałej krwi. Nic tu nie było. Mogli dać znać pozostałym, żeby ruszyli pod górę. Musiał jeszcze tylko wyjrzeć ponad krawędź, którą miał przed sobą. Szczyt był już prawie w zasięgu wzroku. Obrócił się, by spojrzeć na towarzyszy, i w tym momencie oni pierwsi dotarli na grzbiet. Powietrze rozdarł terkot karabinu maszynowego. Pierś Munizy otworzyła się, wypuszczając szkarłatną fontannę. Rozległy się trzaski karabinów, z głowy Smitha trysnęła krew, runął w tył. John padł. Pociski kasały ziemię tuż przed nim, przetoczył się w bok, gdzie dziesięć metrów dalej leżał King. Lynch podczołgał się ku niemu, uszy wypełniał mu terkot kaemu.

– Ja tu umrę – powiedział King. Leżał na plecach, mundur na piersi miał poplamiony czerwienią.

– Nie umrzesz, Al. – John wziął go za rękę. – Wydostanę cię stąd.

Znów podniósł głowę, na tyle, by o niecałe sto metrów zobaczyć schron. Podniósł lornetkę do oczu, zdołał dostrzec karabin plujący ogniem. Grunt tuż przed nim znowu wybuchł, John upadł twarzą w ziemię. Dopiero po kilku

sekundach znów się odważył podnieść głowę. Inni nie żyli. Ciało Carpentera leżało prawie trzydzieści metrów po lewej, obok Munizza. Smith stoczył się w dół stoku, z jego podziurawionego ciała lała się szkarłatna krew. Kropla potu spłynęła Johnowi po twarzy, gdy rozpiął koszulę Kinga. Rana była po prawej stronie piersi, poniżej płuca. Nie oznaczało to wyroku śmierci, jeśli udałoby się znaleźć pomoc dla kolegi. Ale jak tu go ściągnąć z powrotem na dół? Kaem znów otworzy do nich ogień, gdy tylko się poruszą. John zdołałby sam spełznąć w dół, ale co z Kingiem i z ludźmi, których ten sam karabin może ściąć później? Musieli zdobyć to wzgórze. Nie było tu okrężnej drogi.

Wziął Kinga za rękę.

– Muszę wejść pod górę i się rozejrzeć. Wrócę. Zapłacą za to, co zrobili tobie i tamtym.

King puścił jego rękę. John zsunął się poniżej linii skarpy, obok ciała Smitha. Wystawił głowę, dostrzegł schron, ale pociski nie nadleciały. Kaem wypalił na oślep kilka strzałów w stronę Kinga, trzasnęło kilka karabinów, kule rozdarły ziemię w miejscu, gdzie przedtem leżał John. Nikt się nie zbliżył do jego pozycji. Lynch wspiął się na wzgórze i zaczął się czołgać naprzód, ukryty w trawie wysokiej na ponad pół metra. Ręce mu drżały, w gardle miał tak sucho, że pragnął wrócić do zwłok Smitha, żeby sprawdzić jego manierkę. Własną zostawił razem z tornistrem i kompanią. Zignorował każdy instynkt, który krzyczał mu w głębi, każąc zbiec z powrotem na dół. Każdy ruch przed siebie wydawał się nienaturalny, szalony, lecz John brnął dalej.

Skierował się na prawo, ku czemuś, co, jak miał nadzieję, było otwartą przestrzenią. O ile się orientował, na górze siedział cały japoński batalion, a to oznaczało, że zostanie mu kilka sekund życia. Pomyślał o Penelope, przypomniał sobie, jak światło słońca padało na jej skórę w tamtym pokoju hotelowym w Honolulu, zanim wypłynął. Znów prawie czuł jej dotyk, niemal słyszał głos. Pomyślał o ojcu, matce, bracie i siostrze, odsunął od siebie gorycz, którą nadal czuł. Nie chciał się tak czuć. Nie teraz. Wspominał jesień w Pensylwanii, dywan czerwonych liści na podwórku rodziców i to, jak w dzieciństwie rozkopywali je razem z Normanem.

Grad pocisków nie nadleciał. John prześlizgnął się naprzód na łokciach, z karabinem w dłoni. Schron stał się wyraźniej widoczny, prawie sto metrów z lewej, a tuż obok znajdowało się stanowisko moździerza. Czekali. Mogli rozerwać kompanię na strzępy. Trzej japońscy żołnierze siedzieli w gotowości przy moździerzu, wpatrując się w miejsce, gdzie leżał King i reszta. Schron był wkopany w ziemię, z ciemnego otworu okiennego wystawała lufa ciężkiego

karabinu maszynowego. Japończycy przesuwali ją z lewa na prawo, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. John odwrócił się na plecy, trzymając karabin na piersi. Pomyślał o Kingu. Czy powinien do niego wrócić i spróbować się przedostać do reszty kompanii? Japończycy nie zauważyli, jak się przekradał. Zajmował teraz idealną pozycję, żeby obejść ich z flanki. Pod takim kątem cekaem nie zdoła się obrócić ku miejscu, w którym leżał. Gdyby spróbował zejść, łatwiej byłoby go zastrzelić. Japończycy zadbaliby o to, żeby nie zdołał zameldować o ich pozycjach.

Czołgał się dalej, do mózdzierza zostało czterdzieści parę metrów. Nieprzyjacielscy żołnierze nadal patrzyli w dół zbocza, nieświadomi obecności Johna. Znalazł się dość blisko, żeby słyszeć ich rozmowę. Jeden się zaśmiał. Lynch podskoczył, podrzucił karabin do ramienia i strzelił. Podbiegł bliżej, znów naciskając spust. Jeden Japończyk padł, trafiony w szyję. Dwaj pozostali sięgnęli po karabiny, gdy kaem znów zaryczał, strzelając na oślep. John zobaczył, jak jego pociski trafiają w pierś jednego z przeciwników. Ostatni podniósł karabin, ale Lynch miał go już na celu i wystrzelił dwa ostatnie naboje, oba w głowę. Biegł nadal, gorące wdechy i wydechy grzmiały mu w płucach. Sięgnął po granat przy pasie i zatrzymał się przy stanowisku mózdzierza, by wrzucić go w drzwi schronu. Granat upadł w momencie, gdy wychodzili stamtąd dwaj Japończycy. Zniknęli w fontannie błota i krwi. John podbiegł do bunkra, odczepił drugi granat i z odległości dwóch metrów wrzucił go w otwór. Runął na ziemię, gdy eksplozja wstrząsnęła gruntem wokoło, prawie zrywając dach ze schronu. Rozległ się wrzask, ze środka wyszła ludzka postać z uniesionym samurajskim mieczem, w poczerniałej twarzy lśniły szalone oczy. John sięgnął po karabin, nacisnął spust, ale rozległ się tylko szcęk kurka – pusty. Zakrwawiony, poparzony Japończyk rzucił się chwiejnie ku niemu. Zamachnął się z góry, rozcinając powietrze, lecz John się odtoczył i sięgnął po nóż. Przeciwnik nie miał połowy twarzy, skóra zwisała mu frędzlami. Znów zamachnął się na Johna mieczem, ale jego ciosy były powolne i słabe. John złapał go za ramię, pociągnął ku sobie i wbił mu nóż w brzuch. Trysnęła gorąca krew, oczy Japończyka rozszerzyły się, gdy życie odpływało mu z ciała. Zapadła kompletna cisza. John odepchnął trupa. Pokryty jego krwią, wstał na kolana. Znów wiatr zaszemrał w trawach i zapadła głęboka ciemność. Na tle wieczornego nieba ledwo dało się dostrzec sylwetki reszty kompanii, która wspinała się po stoku, by przyjść mu z pomocą.

\*\*\*

**Waszyngton, luty 1943 r.**

Przekrochmalili mu koszulę.

– Nie ciągnij za kołnierz – powiedziała Penelope, olśniewająca w sukni z czerwonych cekinów. – Zepsujesz, głupku.

Wydawała się blada.

– W porządku, Penny. Co za różnica?

– Taka, że ludzie patrzą.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sali balowej. Czuł się nie na miejscu, jakby w ogóle go tu nie było. W myślach miał cały czas kolegów z plutonu. Wspomnienia zdawały się ciągnąć go z powrotem. Ta część jego jestestwa, która naprawdę się liczyła, pozostała tam i zawsze pozostanie.

Spojrzał na żonę. Była równie piękna jak wtedy, gdy marzył o niej na jawie. Choć byli już razem, trzymając się za ręce, mimo wszystko pozostawała niedostępna. Coś się czaiło za fasadą uśmiechu i miłych słów, które od niej usłyszał, gdy się spotkali na dworcu. Jej obsesja na punkcie tego, co pomyślą i poczują inni, wydawała mu się bardziej obca niż kiedykolwiek. Czy była już taka, kiedy poznali się na studiach? Wrócił myślami do owego jesiennego wieczoru w Princeton. To było spotkanie dwóch wielkich rodzin – ostateczne połączenie. Z początku wydawało się wymuszone: bal w pobliskiej posiadłości jej rodziców, urządzony właściwie specjalnie po to, żeby się poznali. W pierwszym odruchu chciał odrzucić tę całą farsę, ale przekonało go jej piękno, jak i nalegania rodziców. Poza tym przez jakiś czas faktycznie ją kochał – dopóki sobie nie uświadomił, że mężczyzna, którego pragnęła, nie był tym, kim on chciał być. Poczuł, jak Penelope rozluźnia uścisk na jego dłoni, gdy lawirowali między stolikami, zmierzając tam, gdzie czekali ich rodzice.

Ojciec przyjaźnił się z senatorami i kongresmenami, raz spotkał nawet prezydenta, jeszcze w roku 1938, gdy ten zwiedzał filadelfijskie fabryki. Zdjęcie wciąż wisiało nad biurkiem w jego gabinecie. Dzięki swoim znajomościom pan Lynch sprowadził syna do domu na miesięczny urlop, o który John nigdy nie prosił.

John wciąż miał na sobie ślady pobytu w dżungli, ale strupy już się goiły. Minęło kilka dni, zanim doprowadził się do czystości, wyszorował brud spod paznokci, osiągnął stan, w którym mógłby się pokazać w towarzystwie. Przecież ludzie patrzyli. Ojciec powitał go uściskiem dłoni. John przytulił swoją siostrę Pearl i uściśnął dłoń brata Normana, choć nie bardzo mógł spojrzeć mu w oczy. Tego wieczoru po raz pierwszy od powrotu pokazał się z nimi publicznie. Była

to dla nich szansa, żeby pochwalić się Johnem przed rówieśnikami. Penelope ucałowała szwagra i szwagierkę, po czym zaczekała, aż John odsunie jej krzesło, zanim usiadła. Pearl zajęła miejsce z jednej strony Johna, Penelope z drugiej. Mąż Pearl służył w lotnictwie, stacjonował w Anglii. Zaczęły się naloty na Europę. Oczy siostry zdradzały obawę, którą starała się ukryć.

Przyszła pora na przemówienia. Każdy z mówców podkreślał pilną konieczność zakupu obligacji wojennych. Przyszła kolej na ojca, który gestem wskazał Johna z mównicy i poprosił go o powstanie. John spełnił prośbę, pokazując Srebrną Gwiazdę, którą dostał na Guadalcanalu za likwidację gniazda karabinu maszynowego i ocalenie życia Kinga. Cała sala, czyli ponad dwieście osób, wstała, by wznieść aplauz. John poczuł na ramieniu dotyk Pearl, zobaczył, jak Penelope się odsuwa, klaszcząc wraz z resztą. Usiadł, gdy tylko aplauz opadł, kamień spadł mu z serca.

Po zakończeniu kolacji przyjaciele rodziny i życzliwcy, z których kilku John nawet znał, podchodzili istnym strumieniem, by uścisnąć mu dłoń i powiedzieć, jak bardzo podziwiają jego służbę poza granicami kraju, oraz że stanęliby z nim ramię w ramię, gdyby nie byli tak cholernie starzy. Od uścisków dłoni bolał go nadgarstek, a od uśmiechów twarz. Penelope czarowała wszystkich, starsi mężczyźni otwierali książeczki czekowe.

Zaczęła grać muzyka, gdy ojciec zawołał Johna. Razem z nim stał siwy, dość korpulentny mężczyzna po sześćdziesiątce, ubrany w smoking.

– John, chciałbym, abyś kogoś poznał. Oto William Donovan. Bill, to mój syn John.

– Miło cię poznać – stwierdził Donovan, ściskając mu dłoń z miażdżącą siłą.

– John pragnie więcej, niż mogę mu dać.

– O czym ty mówisz, tato? – John miał pewne przeczucie, dokąd zmierza ta rozmowa: często rozmawiali z ojcem w taki sposób i zawsze pozostawał potem z poczuciem winy.

– Chciałem, aby przejął po mnie firmę – wyjaśnił ojciec – ale nie miał ochoty, prawie mi złamał serce. Za to mój drugi syn, Norman, świetnie sobie radzi.

– Dlaczego nie chcesz kontynuować dzieła ojca, młody człowieku? – zapytał Donovan.

– Nie nadawało się dla mnie.

– Wielka szkoda, ale John nigdy nie chciał zostać magnatem przemysłowym, na jakiego go wychowywałem. On chce wszystko robić po swojemu.

– Możemy o tym porozmawiać później? – wtrącił John.

– Oczywiście, kiedy przyjdzie lepsza pora. Teraz was zostawię, żebyście

pomówili.

Donovan poczekał, aż ojciec Johna się oddali, zanim się odezwał.

– Po pierwsze, chciałbym wyrazić wdzięczność za twoją służbę.

– Dziękuję.

– Czy wiesz, kim jestem, John? – Ton Donovan nie pozostawił Johnowi żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z wojskowym, choć mężczyzna był ubrany po cywilnemu.

– Nie całkiem, proszę pana. Nie chciałbym niczego pochopnie zakładać. Ojcu chyba zależało, żebyśmy się spotkali.

– Nie bez powodu, młody człowieku. Jestem starym przyjacielem twojego ojca. Na poprzedniej wojnie służyliśmy razem, kiedy jeszcze byłeś mały.

– Dlaczego nigdy się dotąd nie spotkaliśmy?

– Na jakiś czas straciłem kontakt z twoim ojcem. Nie widzieliśmy się od lat, aż spotkaliśmy się na takiej kolacji jak ta, tuż przed ostatnim Bożym Narodzeniem. – Donovan sięgnął do kieszeni po papierośnicę i wyciągnął do Johna. Gdy ten odmówił, starszy mężczyzna schował papierosy do kieszeni, sam też nie zapalił. – Ojciec opowiadał mi o tobie i twoich niesamowitych wyczynach w służbie naszego kraju. Powiedział, że jesteś prawdziwym patriotą.

– Owszem, proszę pana.

– Mówisz po niemiecku, prawda? Od czasu, kiedy tam byłeś?

– Kilka lat mieszkaliśmy w Berlinie, jeszcze w latach dwudziestych, zanim zaczęło się to całe szaleństwo. Ojciec zbudował tam kilka fabryk.

– A jak teraz z twoim niemieckim?

– Może trochę wyszedłem z wprawy, ale jestem biegły. Przez pierwsze parę lat byłem tłumaczem rodziny. Pearl i Norman są starsi ode mnie. Zostawali tam w szkole z internatem i wracali na lato.

– Więc dlaczego poszedłeś na Pacyfik, skoro tyle cię łączy z Europą?

– Chciałem po prostu służyć, proszę pana. Wiedziałem, że po człowieku o moim pochodzeniu najłatwiej się spodziewać, że dołączy do oficerskiej elity. Wiedziałem, ale chciałem...

– Udowodnić, że nie boisz się pobrudzić, że możesz służyć razem z innymi piechociarzami.

– Tak chyba można to ująć, proszę pana.

– Słyszałeś kiedyś o Biurze Służb Strategicznych, OSS?

– Coś tam słyszałem – stwierdził John, uświadamiając sobie prawdziwą przyczynę, dla której wezwano go do domu. – Jakieś pogłoski o agencji utworzonej dla szpiegów.

– To nie całkiem ściśle, ale szpiegowanie jest jednym z naszych zajęć. Założyłem OSS w zeszłym roku, żeby powiązać różne służby wywiadu armii, marynarki i lotnictwa. Naszym zadaniem jest koordynacja działań wywiadowczych na tyłach nieprzyjaciela dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Obecnie pracuje dla nas ponad dziesięć tysięcy mężczyzn i kobiet.

– A co było przed OSS?

– Kilka starszych pań, które doglądały kartotek w Departamencie Wojny.

John wiedział więcej, niż zdradził. Słyszał coś o „Dzikim Billu” i jego ulubionym przedsięwzięciu, tyle że nie od razu zdał sobie sprawę, z kim rozmawia. OSS to było miejsce, gdzie ludzie z koneksjami mogli się bawić w wojnę. Donovan wykorzystywał znajomości z sieci absolwentów, żeby obsadzić agencję personelem rekrutowanym na uczelniach Ligi Bluszczonej, w prestiżowych kancelariach prawnych czy w wielkich bankach. Organizacja wydawała się klubem dla uprzywilejowanej kasty, z której właśnie John usiłował się wyrwać.

– Siedzimy dziś po uszy w konfliktach. Mamy agentów na Pacyfiku i na tyłach wroga w Europie. Ci ludzie zgłosili się na ochotnika, by kroczyć wśród drapieżców, bez komitetów powitalnych, a często nawet bez kryjówek czy przyjaciół, na najbardziej wrogim terytorium, jakie można sobie wyobrazić. To najdzielniejsi, najlepsi ludzie w całych siłach zbrojnych, którzy zapewniają nam codziennie niezbędne dane wywiadowcze.

Siwa kobieta w czarnej sukni klepnęła Donovana w ramię. Przywitał ją pocałunkiem w policzek i powiedział, że przyjdzie za kilka minut. Dopiero gdy odeszła, znów się odezwał.

– To jest wojna nowego typu. Czasy bitew na ubitym polu dawno przeminęły. Tę wojnę wygra strona, która więcej wie o tym, co przeciwnik myśli, i wie, co przeciwnik zamierza, zanim on jeszcze to zrobi.

– Czemu mi pan o tym mówi?

– Przez ostatnie parę miesięcy wiele rozmawiałem z twoim ojcem. Oczywiście mu się z dumy, kiedy wymawiał twoje imię. Powiedział, że chciał ci pozostawić stery rodzinnego przedsiębiorstwa, ale pragnął czego innego. Opowiadał też, jak poważnie spieraliście się z bratem, od kiedy przejął kierownictwo.

John zastanawiał się, ile ten człowiek o nim wie. Mógł istnieć tylko jeden powód tak wielkiej ciekawości Donovana.

– Ojciec panu powiedział, że nie podobało mi się to, co brat robił z jego firmą?



– Między innymi. Dużo o tobie rozmawialiśmy. Powiedział, że nie czujesz się w tym świecie tak dobrze jak twój brat. – Donovan zatoczył gestem dookoła sali.

– Wiem, że wstąpiłeś do piechoty morskiej, bo w głębi duszy chciałeś udowodnić, że potrafisz sam sobie poradzić. Wiem o tym, bo widzę w tobie własne odbicie. Przed tamtą wojną byłem prawnikiem, ale pragnąłem więcej. Chciałem służyć, ale nie tylko swojemu krajowi. Chciałem sam sobie coś udowodnić.

Człowiek ten emanował niezaprzeczalnym magnetyzmem. Miał łagodny głos, ale otaczała go aura niewątpliwej charyzmy.

– Czy byłąś zainteresowany wstąpieniem do OSS?

– Jakiego rodzaju ludzie są tam potrzebni, proszę pana?

– Szukam włamywacza z sumieniem. Potrzebny mi człowiek kierujący się bardziej inteligencją niż emocjami. Uczciwy, ale przebiegły, dyskretny, ale śmiały. Gorąckrwisty, a przy tym opanowany. Biorąc pod uwagę twoje umiejętności i to, jak dotychczas wykazałeś się w polu, wiem, że będziesz idealny do naszej organizacji.

– Jak przypuszczam, przeglądał już pan moje akta?

– Jesteśmy skrupulatni, John. Musimy tacy być. Nasza rola w tej wojnie jest zbyt ważna, żeby pozostawiać ją przypadkowi.

John się odwrócił. Ojciec z drinkiem w dłoni stał przy barze, kilkanaście metrów dalej. Donovan się nie mylił – ojciec wyglądał na dumnego.

List od Penelope nadszedł po trzech miesiącach, gdy John był pochłonięty szkoleniem OSS w udającym Rzeszę parku na wirginijskiej prowincji. Instruktorzy uczyli jego i innych rekrutów, jak przeżyć na tyłach wroga. Pozbawiona instalacji szkoleniowych, nowa organizacja przejęła część terenu Prince William Forest Park, zmieniając dawne obozy letnie w tajne ośrodki szkoleniowe. John wracał właśnie po kilku nocach spędzonych w polu bez dłuższego snu. Gorący prysznic i łóżko zdawały się luksusem ponad miarę. Nadeszła poczta i podano mu przesyłkę. Stempel na kopercie pochodził sprzed dwóch tygodni. Siedząc na pryczy, John otworzył list. Nie widział się z nią prawie od sześciu tygodni, ledwo odczuł jej nieobecność. Wiedział, czego oczekiwać, zanim jeszcze otworzył. Na jej miejscu zrobiłby to samo. Przeczytał dwa pierwsze słowa listu i prawie wybuchnął śmiechem. Właśnie przeżywał największy wojenny stereotyp.

*Drogi Johnie,*

*Poznałam pewnego mężczyznę, kapitana lotnictwa. Chcę za niego wyjść. Proszę Cię o rozwód jako ostatni akt naszej miłości. Już Cię nie Kocham. Nie jesteś tym samym człowiekiem, którego poślubiłam. Teraz Kocham kogo innego. Proszę, pomóż mi odejść. Zrób to w imię miłości, która nas kiedyś łączyła. Wiem, że zawsze będzie nam zależeć na sobie nawzajem. Miłość tak silna jak ta, która dawniej była między nami, nigdy do końca nie umiera. Ale nasz czas przeminął. Masz teraz swoje życie, odrębne od mojego. Nasze dusze już nie są splecione ani wzajemnie nierozłączne, jak kiedyś.*

*Przepraszam. Wybacz mi i proszę, daj mi rozwód, którego potrzebuję, żeby odejść z nietkniętą duszą.*

*Z uszanowaniem,  
Penelope*

Nie płakał od lat. Nie wiedział nawet, że jeszcze umie. W takim miejscu jak to jego emocje zdawały się obce, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Cały czas mocno ścisnął list. Nie był w stanie go wypuścić. Nie zdawał sobie sprawy, że ciągle jeszcze ją kochał. Wiedział, że swoje uczucia do niej ukrył do momentu, gdy wygodnie będzie do nich wrócić. Może już po wojnie – może wtedy przyszedłby czas znów ją pokochać. Ale teraz było za późno. John sięgnął po ołówek, który trzymał przy łóżku, i nakreślił na kartce kilka słów. Nie mógł jej nienawidzić, szczególnie, że sam był tu winien. Kilka razy przeczytał list, a potem odpisał: „Daję ci rozwód” i następnego dnia wysłał odpowiedź.

### ***Grudzień 1943, nad południowo-zachodnimi Niemcami***

Przez huk silników nie przebijał się prawie żaden inny odgłos. John czuł w ciele każdą wibrację. Był napięty jak drut, serce mu galopowało. Pomyślał o słowach przełożonego, który mówił z niekłamaną szczerością, że nie mają pewności co do tego, jak pewne są fałszywe dokumenty, które zabrał, ani legenda, jaką mu przygotowali. Niewiele było precedensów pozwalających ocenić obecną sytuację. Nigdy jeszcze OSS nie zrzuciło agenta na terytorium Rzeszy, w dodatku samotnego i bez wsparcia. Znał ryzyko. Był ochotnikiem i pokonał wielu innych agentów w rywalizacji o zaszczyt wykonania tego zadania.

Członek załogi samolotu przyłożył dłonie do ust.

– Zbliżamy się do celu. Będziemy tam za pół godziny! – zawołał, przekrzykując silniki.

John skinął głową, a lotnik zniknął w kabinie pilotów. Lynch zbliżył się do okna, o parę metrów od miejsca, gdzie siedział. W mroku nocy kłębiły się

chmury, w dole lśniły nieliczne światła, rozsiane po spowijającej ziemię bezkresnej kołdrze czerni. John przesunął dłońmi po swoim mundurze Luftwaffe i chyba już milionowy raz powtórzył w głowie legendę. Zdawało mu się, że Werner Graf zapanował nad jego duszą, że wprost stał się nim. Odnosił wrażenie, że to John Lynch był legendą, a w najlepszym razie wspomnieniem dawnego życia. Nie było już sensu pozostawać Johnem Lynchem. Rozpamiętywanie mogłoby narazić misję i kosztować go życie. Pewnego dnia znów stanie się sobą, gdy Werner Graf spełni już swoje zadanie.

Samolot zadygotał, wpadając w turbulencję. Johna rzuciło w przód, ale pas bezpieczeństwa zatrzymał go na miejscu. Jeden z instruktorów ostrzegał, że gestapowcy będą szukać sińców po pasach na piersi i udach. Oddalił od siebie te myśli, gdy tylko nadeszły. Nie było po co się martwić. Absolutnie nic to nie dawało.

Przez ryk silników przebił się łomot. John uniósł głowę. Dudnienie się powtórzyło, po chwili znowu. John wiedział, że lecą już nad Rzeszą. Nigdy nie przewidywał, że artyleria przeciwlotnicza może zestrzelić samolot, zanim dotrze do strefy zrzutu. Przemyślał prawie każdy inny scenariusz. Rozwazał każde możliwe pytanie, jakie ktoś mógł mu zadać, ćwiczył swój akcent i legendę niezliczoną ilość razy, ale zestrzelenia nie wziął pod uwagę. Szef załogi znów wystawił głowę z kabiny, by powiedzieć, że strzelają do nich z obu stron. John pokazał mu gest aprobaty, a szef znów się schował. Akurat zamykał za sobą drzwi kabiny, gdy powietrze rozerwał głośny wybuch. Siła eksplozji wyrwała dziurę w burcie samolotu o kilka metrów od miejsca, gdzie siedział John, do środka wpadło lodowate powietrze. John ścisnął plecak, kostki dłoni mu pobielały. Skrzydło było rozdarte, jakby z papieru. Silnik buchał dymem, krztusząc się jak kaszlący starzec. John poszukał dotykiem spadochronu, wiedział, że do strefy zrzutu zostało jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów. Samolot zadrżał i opadł, po obu stronach wybuchało coraz więcej pocisków przeciwlotniczych. Eksplozje stawały się coraz głośniejsze, maszyna dygotała z każdym szarpnięciem, rzucając Johnem w tę i z powrotem po siedzeniu. Zakołysał nią kolejny wstrząs, tym razem z drugiej strony, ale maszyna z trudem leciała dalej. Ostrzał nie ustawał.

Szef załogi otworzył drzwi, oceniając szkody, a samolot wciąż opadał. Ostrzał zaczynał ustawać, wybuchy były już sporadyczne. John znów wyjrzał przez okno. Gęsty czarny dym buchał z silnika, który nagle zacharczał i stanął. Lotnik wsunął głowę do kabiny, John ledwo rozróżnił, co on krzyczy. Szef podszedł do niego.

– Nie dolecimy do punktu zrzutu! – krzyknął, ale John sam już to wiedział. – Okaleczyli nas. Koniec z prawym silnikiem. Nie damy rady wrócić. Będziemy musieli zakręcić i spróbować się przedrzeć do Szwajcarii. Jeśli chcesz skakać, to teraz!

John skinął głową i odpiął pas bezpieczeństwa. Czy byli dość wysoko? Samolot zdawał się z każdą sekundą tracić wysokość. Od celu dzieliły ich całe mile, ale miałyby szanse, gdyby wylądował w jednym kawałku. Jeśli zostanie na pokładzie, to w najlepszym razie zamelduje o niewykonaniu zadania – o ile w ogóle zdołają wrócić. Na razie ostrzał ustał. Ominęli jakieś miasto, którego broniła artyleria przeciwlotnicza, a teraz widział pod sobą tkaninę mroku.

Szef uściskał Johnowi dłoń. Życzenia powodzenia utonęły w ryku wiatru, kiedy otworzył się luk w podłodze. John podszedł do niego, poczuł nagły pęd powietrza. Lotnik sprawdził linę wyciągową spadochronu i wystawił kciuk. Zabłyśło zielone światło, kiedy samolot drgał i podskakiwał. Lynch zmusił się, by myśleć o najbliższym zadaniu do wykonania, pamiętając, żeby skakać prosto, ze złączonymi nogami i podbródkiem przyciśniętym do piersi. Poczuł, jak samolot zwalnia, szef załogi uderzył go w ramię. Skoczył. Wokół huczało lodowate powietrze, jakby woda z wodospadu. Poczuł szarpnięcie w udach i pod pachami, towarzyszące otwarciu spadochronu. Samolot rozpląnął się w czerni. Noc była cicha, a John został sam. Ryk silników rozpląnął się w nocy, pozostawiając tylko jego własny oddech i świst pędzącego powietrza. Spadochron załopotał, gdy Jon spadał w głęboką czerń gruntu. W żaden sposób nie mógł się zorientować, gdzie ląduje, ale mrok mówił mu, że to jakieś oddalone, niezaludnione miejsce, a to mogło dać mu szansę. Zdał sobie sprawę, że jest za nisko, ale nic nie dało się na to poradzić. Pomyślał o modlitwie, lecz z jego odrętwiałych warg wydobywały się tylko niewyraźne słowa, gdy ziemia pędziła ku niemu jak niewidzialny, niesłyszalny pociąg ekspresowy. Poczuł straszliwy ból w nogach, kiedy jego ciało zderzyło się ze zaśniewanym gruntem. Otworzył oczy. Śnieg ciągnął się wszędzie, jak okiem sięgnąć. Poczuł, jak jego ciało wiotczeje, gdy wszystko rozmyło się w nicości.

## ROZDZIAŁ 10

Franka siedziała jak przykuta do krzesła. Ogień w salonie wygasł, więc temperatura w chacie wyraźnie spadła. Lynch leżał przed nią bez ruchu, bezbronny. Teraz знаła prawdę. Poczwała, że miała rację. Nie popadała w obłąd. Jej podejrzenia były słuszne. Ten mężczyzna w chacie ojca, uratowany spośród śniegów, był Amerykaninem. Szpiegiem. Od dawna wiedziała, że to Amerykanin albo Anglik, miała pewność już od wielu dni, ale usłyszeć, jak sam to przyznaje, i tak było objawieniem. Pomyślała o Danielu i Gestapo. Tym razem nie będzie pobłażliwości. Udzielanie schronienia szpiegowi oznaczało gilotynę, i to dopiero po torturach, przy których śmierć wydawała się miłosierdziem. Mimo to Franka czwała się wolna. Po raz pierwszy, od kiedy rozsyłała ulotki, od kiedy widziała entuzjazm i dumę w oczach Hansa, ponownie czwała, że żyje. Naprawdę żyła. Nie tylko jadła, spała i oddychała. Nie tylko zabijała czas – wiodła sensowne życie.

– Muszę dołożyć do ognia – stwierdziła, zostawiając Lyncha w pokoju.

W jej głowie myśli odbijały się i zderzały. Wiedziała już wszystko, z wyjątkiem odpowiedzi na jedno pytanie: „dlaczego”. Skąd on się tu wziął? Na czym polegało jego zadanie? Co to za pomoc, o którą prosił? Polana trzaskała, gdy rzucała je na żarzące się węgle w kominku. Stała przez kilka sekund, rozgrzewając dłonie, zanim poszła do kuchni. Była głodna. Żywności zostało niewiele. Podzielenie tych zapasów na dwójkę ludzi było trudne, a jeszcze trudniejsze miało się stać teraz, gdy konserwy się skończyły. Rozmyślała, czy nie udać się następnego dnia do miasteczka. Nie trzeba było jechać aż do Fryburga. Zatrzymała się i oparła o kuchenny stół, skrzyżowała ramiona na piersi. Zamknęła oczy, wróciła do sypialni.

– A więc wiesz już wszystko – powiedział.

Akcent mu się nie zmienił, ale teraz dostrzegwała w nim potknięcia. Zastanawiała się, jak by się trzymał na przesłuchaniu – ciekawe, czy ludzie, których wyszkolono do wychwytywania takich szczegółów, dostrzegliby je szybciej niż ona.

– Twój niemiecki jest świetny, wcale nie wyszedłeś z wprawy.

– Przed szkoleniem trochę wyszedłem, ale szybko go sobie odświeżyłem. To była łatwiejsza część.

- A trudniejsza?
- Nauka znoszenia technik przesłuchiwania. Symulowane tortury.
- Mnie przesłuchiwało Gestapo.
- Oczywiście.
- Nie musieli torturować. Sami już wszystko wiedzieli. – Zamilkła na kilka sekund i podeszła do okna. – Myślisz jeszcze czasem o swojej rodzinie, o domu w Ameryce?
- Starąłem się nie myśleć. Próbowąłem być Wernerem Grafem, ale John Lynch wciąż dawał o sobie znać.
- Byłeś bardzo przekonujący.
- Więc skąd podejrzenia?
- Mówiłeś przez sen, kiedy cię znalazłam. Krzycałeś w malignie coś po angielsku.
- Nie miałem pojęcia, że mógłbym kiedykolwiek spotkać kogoś takiego jak ty. Nie wiedziałem nawet, że ktoś taki istnieje.
- Franka słyszała już, jak szczerzy potrafią być Amerykanie. To było zupełnie nowe doświadczenie.
- Mam pytanie: dlaczego wstrzymywałś przejęcie firmy ojca przez brata, skoro sam jej nie chciałeś?
- Nie podobało mi się to, co robił. On ją zmarnuje. Dzieło życia mojego ojca stoi nad przepaścią.
- Jeśli to było dla ciebie tak ważne, czemu nie wzięłeś spraw w swoje ręce? Z chwilą, gdy odmówiłeś ojcu, zrzekłeś się prawa do krytykowania decyzji Normana.
- Nic cię nie zbije z tropu, co?
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Nie chciałem kroczyć drogą prowadzącą tylko do zarabiania pieniędzy. Chciałem czegoś więcej. Kto wie, co by się stało, gdyby nie ta wojna? Pewnie byłbym teraz w domu, pracując z Normanem.
- Zamiast się z nim kłócić.
- Próbowąłem pomóc.
- Franka poczuła, że już wystarczająco go nacisnęła.
- Pewnie jesteś głodny. Cały dzień nic nie jadłeś.
- Umieram z głodu.
- Jedzenie się kończy. Jutro będę musiała jechać do miasteczka.
- Poszła do kuchni, odgrzała resztkę potrawy i na przygryzkę oderwała pajdę chleba własnej roboty. Zjedzenie tego wszystkiego nie zajęło Johnowi nawet

dwóch minut. Poczekała, aż skończy, aż zadała pytanie.

– Dlaczego tu jesteś?

John wziął serwetkę, którą położyła na brzegu tacy, i otarł kąciki ust.

– Zaslugujesz, by wiedzieć – oznajmił, odkładając serwetkę. – Nie miałem trafić akurat tutaj. Strefę zrzutu miałem parę kilometrów pod Stuttgartem. Wytyczyliśmy najbezpieczniejszą trasę w tamtym kierunku, z ominięciem większych miast, gdzie spodziewaliśmy się skupisk artylerii przeciwlotniczej. Ale chyba nie przewidzieli stanowisk pod Fryburgiem. Pewnie są nowe.

– Rozmieszczono je po bombardowaniu, w którym zginął mój ojciec. Wcześniej miasto nie ucierpiało zbyt. Było tylko kwestią czasu, żeby Fryburg dołączył do innych niemieckich miast zrównanych z ziemią przez aliantów.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. Wojna ma to do siebie, że cierpią na niej niewinni.

– Leżał w łóżku, gdy nadleciały bombowce. Pewnie nawet nie wiedział, co na niego spadło. Nigdy się nie dowiedział, kto go zamordował.

– Śmierć twojego ojca była niefortunna – powiedział John i od razu pożałował doboru słów.

– Niefortunna? Ostatni człowiek, który mi został na tym świecie, a wyście mi go zabrali! A teraz prosisz mnie o pomoc?

– To naziści są wrogiem, nie alianci. Załogi bombowców, które tamtej nocy przyleciały do Fryburga, nie wiedziały...

– Chcesz powiedzieć, że nie mieli pojęcia, że bombardują cywilów? A co z nalotami na Hamburg, Kolonię czy Moguncję? Tysiące niewinnych zginęły od bomb zapalających.

– Tak samo jak tysiące w Londynie, Birmingham i na terytoriach okupowanych.

– Ale twierdzisz, że sprawa aliantów jest słuszna. Czym usprawiedliwisz mord na setkach tysięcy niemieckich cywilów?

– Wojna to ohyda. Prawdę mówiąc, nie sądzę, aby życie niemieckich cywilów obchodziło generałów, którzy wysłali bombowce, tak samo jak życie obywateli brytyjskich czy radzieckich nie obchodzi Niemców.

– A ciebie?

– To znaczy?

– Ciebie obchodzi, John? Kiedyś tu mieszkałeś.

– Franka, widziałem w kronikach filmowych, jak Niemcy wykrzykują swoje oddanie Hitlerowi. Wszyscy w domu to widzieli. Alianckie bombardowania mają złamać wolę walki narodu niemieckiego.

– Nie rozumiesz, że wola Niemców nie ma tu nic do rzeczy? Naziści już przed laty podporządkowali sobie wolę narodu niemieckiego. To wyrażenie już nic nie znaczy.

– Może i tak, ale to naziści zaczęli. Oni zaczęli na ślepo bombardować Warszawę i Londyn, zanim Stany w ogóle przystąpiły do wojny. Skoro używają swojego narodu jako tarczy, to przykre, ale w ten sposób nie powstrzymają alianckich starań, by zwyciężyć.

– Czy ty byś mi pomógł, gdyby niemieckie bombowce zabiły ci ojca?

– To by było raczej niemożliwe.

– Ale gdyby tak się stało? Gdyby twoja lojalność była rozdarta pomiędzy władzą a narodem? Postąpiłbyś wbrew woli rządu dla dobra ludzi, którym powinien on służyć?

– Do czegoś takiego by nie doszło.

– Nikt nie sądził, że mogłoby dojść w Niemczech – nowoczesnym, uprzemysłowionym kraju, bastionie nauki i sztuki.

– Jeśli pytasz, czy działałbym potajemnie przeciw własnemu rządowi, tak jak ty, pod karą śmierci, to muszę odpowiedzieć, że nie wiem.

– Pomógłbyś cudzoziemskiemu agentowi wbrew wyraźnej woli własnego narodu?

– Gdyby przez naszą władzę zginął każdy, kogo kochałem, gdyby wypaczyli to, dzięki czemu Ameryka była wspaniała, szlachetna i sprawiedliwa, to owszem, pomógłbym.

– Jak powiedział Robespierre, „nikt nie kocha uzbrojonych misjonarzy”.

– Nie jestem twoim wrogiem, Franka. Nie uratowałabyś mi życia i nie trzymała mnie tu tyle czasu, gdybyś sądziła, że jestem. Z jakiegoś powodu mnie przygarnęłaś. Może pewnego dnia naród niemiecki zacznie doceniać starania aliantów.

– Jeśli w ogóle będzie istniał jakiś naród niemiecki, zdolny rozmyślać nad przeszłością.

– Może to brzmieć dość ironicznie, ale alianci są dziś jedyną nadzieją dla Niemiec. Użyj mnie, Franka. Daj mi szansę, abym w twoim imieniu zrobił coś na rzecz pozbycia się nazistów z tego kraju.

Franka porwała mu tacę z kolan. Widelec zabrzączał na podłodze i musiała się schylić, żeby go podnieść.

– Nienawidzę nazistów. Nie chcę tego uczucia, ale towarzyszy mi na co dzień. Myślę o tym, co zrobili...

– Porzuć nienawiść – przerwał jej John dobitnym tonem. – Zrób coś dla



przyszłości narodu niemieckiego, dla ojca i Frediego.

– Nie wiem. Co takiego miałabym zrobić?

– Coś prostego. Coś, co umiałby prawie każdy dorosły.

– Potrzebuję czasu.

Poszła do kuchni i postawiła tacę na stole. Serce miała jak z kamienia. Zanurzyła ręce w wodzie, która zebrała się w zlewie, i podniosła je, by opłukać twarz. Pomyślała o wszystkich znajomych, porwanych i uwiedzionych przez narodowych socjalistów i ich kłamstwa. Nie była taka jak oni. Była przestępczynią, skazanym wrogiem państwa, a teraz udzielała schronienia drugiemu wrogowi. Nie mogła już być dalej od nazizmu. Nie dało się. Wydanie mężczyzny nie wchodziło w grę – wołałaby umrzeć. A więc? Mogła pozwolić, aby poszedł w swoją stronę i zachowywać milczenie, gdy on zapuści się potajemnie we wnętrzości Rzeszy, ale sama dokąd wtedy pójdzie? Co zrobi? Wróci do lasu, żeby skończyć to, co zaczęła tamtego wieczoru, gdy go znalazła? Czy po prostu dołoży wszelkich starań, by przeżyć wojnę? Ten człowiek oferował jej coś więcej.

– Opowiadaj dalej – powiedziała, wróciwszy do sypialni. – Powiedz mi, dlaczego tu jesteś. Jeśli chcesz mojej pomocy, muszę wiedzieć wszystko.

– Mój samolot został trafiony i wyskoczyłem nad górami. Wtedy mnie znalazłaś.

Zamilkł na dwie długie sekundy, zanim znów się odezwał.

– Moim celem jest człowiek – powiedział. Napięcie zdawało się ulatniać z każdym słowem. – Niejaki Rudolf Hahn. To uczony, jeden z najwybitniejszych umysłów świata. Pionier nowej dziedziny fizyki, która mogłaby zmienić losy wojny na korzyść Niemiec. Jeden z naszych agentów w Rzeszy przeniknął do jego laboratorium i nawiązał z nim kontakt. Hahn zgodził się uciec do Ameryki. Jestem tu, by go wydostać.

– Dlaczego nie mógł tego zrobić agent, który się z nim skontaktował?

– To dyplomata, nie nadaje się do bardziej ryzykownej części zadania. Najwyraźniej śledziło go Gestapo, więc musiał przestać się rzucać w oczy. Hahn ciągle jest tam, gdzie był. Jeszcze go nie aresztowali.

– A więc jak zamierzasz przerzucić go za granicę?

– Zwolnijmy na moment.

– Potrzebujesz mojej pomocy, prawda?

– Tak, ale...

– Sam nic nie zrobisz, bo on jest dwieście kilometrów stąd, a ty utknąłeś w łóżku z połamanymi nogami.

John sięgnął po szklanę obok łóżka i pociągnął łyk wody.

– A więc chcesz, żebym ci pomogła, ale nadal nie ufasz mi na tyle, żeby wszystko ujawnić – stwierdziła.

– Czy możesz nauczyć się mi ufać i poprzeć to, o co walczę?

Odpowiedzią było milczenie.

– Zamierzamy przejść przez Alpy na południe od Monachium i przedostać się do Szwajcarii, bo górskie przełęcze to najbardziej dyskretny sposób przekroczenia granicy. Co prawda dotarcie tam nie będzie łatwą sprawą. Mieliśmy przewodnika, a OSS przeszkoliło mnie we wspinaczce wysokogórskiej, ale teraz za bardzo mi się to nie przyda. – Spojrzał na swoje nogi i pogładził dłońmi gips, który je okrywał.

– W jaki sposób ten naukowiec ma przechylić szalę na korzyść Niemiec? Nad czym on pracuje?

– Sam nie mogę się z nim spotkać – powiedział John, ignorując jej pytanie.

– Nad czym pracuje?

– Zmusisz mnie, żebym powiedział, racja?

– Jeśli mam ryzykować życiem dla ciebie i twojej idei, to chcę wiedzieć, dlaczego. Chcę wiedzieć, o co toczy się gra.

– Profesor Hahn i jego koledzy pracują nad nową technologią znaną jako rozszczepienie atomu. W 1939 opublikowali artykuł o tym nowym procesie i od tej pory alianci starali się na bieżąco śledzić ich postępy.

– A co takiego nadzwyczajnego jest w tym... rozszczepieniu atomu? – z niepewnością powtórzyła nieznaną słowa.

– Nie zdradziłbym ci, gdyby nawet mi wyjaśnili, ale sądzę, że to coś ogromnego, co może odmienić losy wojny. Bez Hahna projekt upadnie. On jest jego mózgiem. Naziści nie zdają sobie sprawy, co mają w zasięgu ręki. Ich projekt jest niedoinwestowany i prawie kompletnie zignorowany przez hierarchię. Hitler ma obsesję na punkcie silników odrzutowych i naukowcy skupiają się bardziej na tej dziedzinie.

– A więc dlaczego ten cały Hahn postanowił się nawrócić?

– Nie podoba mu się, jak reżim traktuje Żydów. Było wśród nich wielu jego przedwojennych kolegów i współpracowników. Z powodów rasowych naziści wykluczyli wszystkich Żydów z prac. Wielu już nie żyje albo przebywa na wygnaniu. Niektórych sami przyjęliśmy. Poza tym Hahn jest sfrustrowany brakiem funduszy. Stany Zjednoczone wiedzą, jak ważny jest jego projekt. Kiedy tylko ściągniemy go do Stanów, otrzyma wszelkie fundusze i wsparcie, których będzie potrzebował.

- Czyli Amerykanie umieją sami opracować tę nową technologię?
- Musimy ją opracować, zanim naziści, a nawet Sowieci dostaną ją w ręce. To wyścig, który może wpłynąć na wynik wojny. Jeśli naziści uświadomią sobie, czym potencjalnie mogą dysponować, wszystko się zmieni. Ale nie dojdzie do tego, kiedy Hahn zniknie. Potrzebujemy jego wiedzy i doświadczenia. Jeśli dokonali przełomu, musimy o tym wiedzieć.
- A moja rola w tym wszystkim?
- Ustalono było, że skontaktuję się z Hahnem, zdobędę jego zaufanie, a potem przerzucę go przez granicę do Szwajcarii.
- Mam go przemycić za granicę? – zapytała Franka, wytrzeszczając oczy.
- Nie, chciałbym tylko, żebyś się z nim spotkała, powiedziała, co się ze mną stało, a potem... – Trudno było pojąć, że do tego doszło.
- Potem co?
- Potem sprowadź go tu, żebym mógł sam go przerzucić przez granicę, kiedy tylko wyzdrowieję.
- Minie z miesiąc, zanim zaczniesz chodzić, a i wtedy na pewno nie będziesz się wspinać po górach.
- Szczegóły zostaw mnie.
- Moim zdaniem to więcej niż szczegół. Chcesz, żebym pojechała do Stuttgartu się z nim spotkać, czyż nie?
- Nie widzę innego sposobu.
- Nie mam szpiegowskiego przeszkolenia. Nigdy czegoś takiego nie robiłam.
- Trzeba po prostu z kimś się spotkać, wysłuchać go i przekazać wiadomość.
- A co, jeżeli nie będzie chciał ze mną rozmawiać albo dam się złapać?
- Nie wiem, jak by miało do tego dość, chyba żebyś sama się oddała w ręce władz. Podam ci hasło, po którego wypowiedzeniu Hahn będzie musiał cię wysłuchać. Zrobisz to? Pomożesz mi?
- Nie wiem. Wydaje mi się, że to sporo...
- To znacznie prostsze, niż się wydaje. Poradzisz sobie. Możesz coś zmienić.
- W porządku – oznajmiła z zamkniętymi oczyma.
- Dziękuję – powiedział, biorąc ją za łokieć. To był pierwszy raz, kiedy dotknęli się nawzajem bez powodu, Franka poczuła zimny dreszcz. To było idiotyczne.
- Umówiliśmy się na spotkanie w miejskim parku. Miał siedzieć na ławce i czytać gazetę.
- W taką pogodę?
- Miał tam siedzieć krótko, od siedemnastej pięćdziesiąt do osiemnastej, i to

tylko jeden dzień w tygodniu – w poniedziałki. Dziś był tam wcześniej, czekając na mnie.

– A w przyszłym tygodniu też będzie? Mam wtedy jechać?

– Kiedy w sobotę wypadają święta? Nie wydaje mi się. Najpewniej pojedzie na tydzień do domu, do Berlina. Moim zdaniem najlepiej będzie wyruszyć w następnym tygodniu, trzeciego stycznia. W ten sposób będę mieć trochę więcej czasu na wyzdrowienie, a ty się lepiej przygotujesz. Nie będziesz musiała robić nic szczególnie spektakularnego, tylko spotkasz się z Hahnem i powiesz mu, co się ze mną stało.

– Skąd będzie wiedział, że nie jestem z Gestapo?

– Hasło. Gdy tylko je usłyszysz, zrozumie, że przychodzisz ode mnie. Będziesz tylko musiała nawiązać z nim kontakt i ewentualnie zaproponować, żeby tu przyjechał, kiedy poczuje się lepiej, ale o tym zdecydujemy później. Mamy mnóstwo czasu.

– Dwa tygodnie – powiedziała Franka. – Muszę ci załatwić jakieś kule. Nie ma sensu, żebyś był przykuty do tego łóżka. Jeszcze się nabawisz odleżyn. Najlepiej byłoby ci wstać i zacząć się ruszać. Jutro muszę się wybrać do miasteczka po żywność. Znajdę tam i kule.

– Będą mieli w sklepie kule przy całej tej reglamentacji?

– Nie sądzę, ale mam znajomości w ośrodku zdrowia. Znajdę je dla ciebie.

Nadszedł ranek, jak zwykle niosąc ze sobą kosę mrozu, ale tym razem wydawał się inny. Poprzedniej nocy sen długo nie nadchodził. Na wiele pytań wciąż brakowało odpowiedzi. Nie było sensu teraz bombardować Johna. Mieli inne wody do przepłynięcia. Przede wszystkim potrzebowali jedzenia. Franka wzięła kartki na żywność, które dał jej John. Wiedziała, że są sfałszowane, ale czy sprzedawca zauważy? Bez nich musieliby się zdać tylko na jej własne kartki, a to by nie wystarczyło. Umarliby z głodu. Podniosła bloczek pod światło, uważnie przypatrując się każdej z nadrukowanych liter. Kartki wydawały się dość przekonujące, choć przy dokładniejszym oglądzie litery wyglądały miejscami na chwiejne i niepewne. Spróbuje. Jediną alternatywą pozostawał zakup jedzenia na czarnym rynku. Najlepsza żywność pozostawała dostępna dla tych, którzy chcieli za nią zapłacić, ale mogło to ściągnąć uwagę policji. Zbyt wiele ryzyka.

John już nie spał, gdy przyniosła mu śniadanie.

– Dzień dobry, *Fräulein*.

– Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

– Owszem. Najlepiej od dawna. Co sądzisz o sprawie, o której rozmawialiśmy?

– Jestem nerwowa. Oszołomiona. Czuję, że powierzono mi wielką odpowiedzialność.

– Nie mówiłbym ci o tym, gdybyś nie była do tego zdolna. Wiem, że podjąłem słuszną decyzję.

Usiadła z nim, gdy jadł śniadanie złożone z sera i resztek potrawy sprzed dwóch dni. Nie powiedziała, że jedzenia nie starczyło dla obojga. Rozmawiali o pogodzie, podróży, którą miała tego dnia odbyć, i jego zdrowiu. Chyba nie zostało już nic do powiedzenia na temat jego tożsamości czy zadania. Poprzedniej nocy Franka obiecała sobie, że nie będzie na niego naciskać.

Podeszła do frontowych drzwi, pchnęła je i wyszła na zewnątrz. Śnieg nie padał od dwóch dni, ale poprzednie tygodnie przyniosły go tyle, że samochód wciąż był zakopany, a droga nieprzejezdna. Oddech buchał jej z ust obłokiem. Zimne słońce świeciło, nie dając niczego poza blaskiem odbitym od bieli śniegu, więc założyła okulary słoneczne.

Na Fryburg padał cień Daniela Berkela. Rodzinne miasto Franki było zbyt niebezpieczne. Nawet gdyby na niego nie wpadła, i tak zbyt wielu ludzi mogłoby ją rozpoznać, zbyt wielu znalazłoby się chętnych pomóc Gestapo. Teraz nie musiała, jak poprzednio, iść do apteki w mieście. Sankt Peter natomiast leżał zaledwie o kilka kilometrów. Miasteczko było małe, ale mieścił się tam sklep spożywczy i ośrodek zdrowia. Tym razem wystarczy dla zaspokojenia potrzeb obojga. Franka zapięła narty i wyruszyła w drogę. Myślała o Johnie Lynchu, zastanawiając się, jak wygląda Filadelfia. Myślała też o Rudolfie Hahnie i o tym, co ma mu powiedzieć.

Nie spotkała żadnych ludzi, póki nie dotarła do kolejki przed sklepem. Stała na końcu, opierając narty o ścianę. Nie gapiły się na nią żadne znane twarze. Większość tutejszych znajomych była na wojnie albo już w grobie. Anonimowość przynosiła ulgę. Franka przemieszała własne kartki z tymi, które dostała od Johna, żeby podróbki się nie wyróżniały. Zadziałało. Sprzedawca nic nie zauważył. Tłumiąc euforię, opuściła sklep z plecakiem tak wypełnionym, jak jej na to pozwalała kolekcja kartek na żywność.

Na wąskich uliczkach małego miasteczka Sankt Peter panowała martwa cisza. Franka z pochyloną głową brnęła po chodniku do przychodni. Gdy otworzyła drzwi, nastolatek z ręką na temblaku uniósł na nią spojrzenie. Obok siedzieli dwaj młodzi ludzie, którym brakowało oczu i rąk, jeden na wózku, drugi o kulach. Wojna przeniknęła każdy cal niemieckiego społeczeństwa. Nikt nie był

na nią odporny. Starsza kobieta o poszarzałej twarzy siedziała przy burym, drewnianym biurku zasłanym papierami. Franka podeszła i poczekała na swoją kolej za matką trzymającą niemowlę w ramionach. Gdy przyszła kolej Franki, kobieta za biurkiem uniosła na nią zmęczone oczy.

– Chciałam się zobaczyć z Martiną Kruger, jest tu pielęgniarką.

– Czego pani chce od siostry Kruger?

– Jestem dawną przyjaciółką, to sprawa osobista.

– Siostra Kruger jest zajęta, proszę...

– Tylko na parę minut – powiedziała Franka.

Kobieta burknęła coś pod nosem.

– Może należy jej się przerwa.

– Minutę. – Kobieta zniknęła za drzwiami, które miała za sobą.

Po dwóch minutach znów się otworzyły. Uśmiechnięta Martina zarzuciła France ramiona na szyję. Znały się od dzieciństwa, poznały się w przedszkolu i razem skończyły szkołę. W Związku Dziewcząt Niemieckich Martina należała do tej samej drużyny. Franka nie widziała jej, od kiedy w 1939 roku wyjechała do Monachium. Prawie się nie zmieniła: ładna, o długich, brązowych włosach i lśniących zielonych oczach. Kobieta zza biurka rzuciła Martinie gniewne spojrzenie. Ta odwzajemniła jej się skrzywieniem, po czym wyszła z Franką na zewnątrz. Zapaliła papierosa i poczęstowała przyjaciółkę, lecz Franka pokręciła głową. Przez kilka minut rozmawiały o rodzinie Martiny. Miała dwie córki i męża stacjonującego we Francji. Franka jej ufała, nie na tyle, żeby poprosić o morfinę czy cokolwiek, przez co mogłaby wpaść w kłopoty – ale pary starych kul raczej nikt by nie żałował?

– Co znowu robisz w tych stronach? – spytała Martina.

Franka zastanawiała się, ile ona wie – zapewne wszystko.

– Przyjechałam na odczytanie testamentu ojca.

– Tak mi było przykro na wieść, że zginął. Przeczytałam jego nazwisko w gazecie, nie mogłam uwierzyć.

– Dziękuję. To się wydawało tak przypadkowe, kiedy miasto ledwo zostało tknięte.

– Bomby jeszcze nadejdą. To tylko kwestia czasu, aż alianci spróbują wymordować nas wszystkich.

Franka nie zareagowała, choć poczuła, jak przeszywa ją ostry grot gniewu.

– Przepraszam, że tak długo się nie widziałyśmy, a zaczynam od prośby o przysługę, ale czegoś potrzebuję.

Martina zapaliła kolejnego papierosa.

– W porządku, a czego?

– Zatrzymałam się w starym domku rodziców w górach. Pamiętasz go?

– Oczywiście.

– Siedzę tam z chłopakiem.

Oczy Martiny zaśniły.

– Nie mówiłaś, że się z kimś spotykasz. Czy to coś poważnego?

– Są na to widoki. To sanitariusz, wrócił z frontu. Spędzamy razem czas, póki możemy. Tylko mamy problem. Złamał nogę na nartach, a śniegi odcięły nas od świata.

– O nie...

– Nie było łatwo. Udało mi się własnoręcznie zapakować mu nogi w gips.

– Mówiłaś, że to jedna noga.

– Nie, dwie. Chodziło mi o dwie.

Franka czuła, jak serce jej wali w piersi. Na twarzy Martiny pojawiła się ponura powaga.

– Nic mu nie grozi, jest zagipsowany, ale nie może się ruszać. Potrzebne mi kule. Zastanawiałam się, czy nie poniewierają się u was jakieś stare, które mogłabym pożyczyć, póki nie nadejdzie odwilż.

– Potrzebuje lekarza? Może zapytam...

– Nie trzeba, potrzebuję tylko kul. Zdołałam mu nastawić nogi i chyba dobrze się zrastają.

Franka zamilkła. Martina dokończyła papierosa i zgmiotła go butem. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Na kiedy potrzebujesz?

– Od razu, jeśli można.

– Daj mi kilka minut i zobaczę, co da się zrobić.

Przez kwadrans Franka czekała na zewnątrz w chłodzie i właśnie zaczynała się zastanawiać, czy nie powinna już wracać, gdy Martina wróciła z parą starych kul pod pachą.

– Mają już za sobą parę zim, ale powinny załatwić sprawę. Chyba nikomu tu ich nie będzie brakowało.

– Bardzo ci dziękuję – odpowiedziała Franka, kiedy Martina podała jej kule. – Dla Tommy’ego będą na wagę złota.

Martina spędziła z Franką jeszcze kilka minut, zanim wezwały ją obowiązki i musiała się pożegnać. Franka przytroczyła kule do plecaka i opuściła miasto, wyjaśniając wartownikowi, który ją zatrzymał, że to dla chłopaka, weterana wojennego. Nie zadawał więcej pytań i oddał jej dokumenty.

Wracając do chaty, wymachiwała kulami jak trofeum. John wsunął je pod pachy i podciągnął się. Wciąż trudno mu było się poruszać, musiał też włożyć nogi za sobą, ale ta sytuacja i tak była o niebo lepsza od ciągłego leżenia w łóżku. Pierwszą wyprawę odbył do kuchni. Usiedli razem przy stole, gdy Franka przygotowała posiłek złożony z zupy, chleba i sera. Jedli, jakby to miał być ich ostatni.

Kilka godzin później Martina Kruger rozmyślała długo i poważnie o spotkaniu ze starą przyjaciółką. Dlaczego Franka nie chciała, żeby jej chłopaka zbadał lekarz? Nawet jeśli kości szybko się goiły, to chyba lepiej byłoby się upewnić? Ta myśl towarzyszyła jej przez całe święta, a nawet już w nowym roku 1944. Martina nie mogła przestać myśleć o tym, w jaki sposób patrzyła na nią Franka i jak nietypowa była jej prośba. Z pewnymi wyrzutami sumienia poszła na Gestapo, żeby donieść na przyjaciółkę. To pewnie nic takiego, rozmyślała, a Franka na pewno nie miała nic do ukrycia, ale najlepiej było pozwolić, żeby sprawą zajęli się zawodowcy. Stłumiła wszelkie uczucia lojalności wobec przyjaciół, bo w takich wojennych czasach bardziej się liczyło dawać pierwszeństwo Führerowi. Franka Gerber była przecież przestępczynią, a Martina nie mogła ryzykować uwikłania w takie sprawy. Musiała myśleć o swojej rodzinie. Agent Gestapo zgodził się z nią – postąpiła właściwie.

\*\*\*

Nadeszły święta. Spędzili je razem. Godzinami rozmawiali bez końca. Ona rozwodziła się nad każdą ideą, którą głosiła Biała Róża, a on opowiedział, że słyszał o potężnych zrzutach manifestu monachijskich studentów na całe terytorium Niemiec. Był to dla Franki bożonarodzeniowy prezent – cicha satysfakcja na wieść, że to, co zrobili, nie poszło na marne. Opowiedziała Johnowi o swoim górskim dzieciństwie. Mieli dość czasu, by przywołała ze szczegółami każde spędzone tu lato, każde wspomnienie. On nauczył ją kilku wyrażen po angielsku – głównie z żargonu wojskowego. Opowiadał o Filadelfii, domu rodziców i słonecznych letnich dniach na wybrzeżu. Mówił o przedsiębiorstwie ojca i o tym, jak mu ciążyło uprzywilejowanie, w którym został wychowany. Ale wypowiadał się o tym inaczej niż przedtem. To już nie było coś, za co mógłby chować urazę. Istniały znacznie ważniejsze rzeczy, dla których można by żyć i umrzeć.

Opowiedział, jak poznał w Princeton żonę, jak szczęśliwe było kilka pierwszych wspólnych lat. Wyszła za swojego lotnika tydzień po rozwodzie, na



miesiąc przed wyjazdem Johna. Nikomu jeszcze nie opowiadał tak szczegółowo historii swego życia – o byłej żonie, dzieciństwie, rodzicach, miejscu, gdzie dorastał. Nigdy przedtem nie miał czasu. Omówił każdy zapamiętany szczegół związany z Rudolfem Hahnem i przekazał France wszystko, co wiedział o jego pracach, czyli niewiele. Pewne elementy tego zadania skryte były nawet przed nim. Nie musiał wiedzieć wszystkiego.

Rozmawiali o tym, w jaki sposób sprowadzić Hahna do chaty. Najlepiej byłoby poczekać, aż Johnowi zrosną się nogi. Powinno to nastąpić pod koniec stycznia. Dopiero wtedy będą mogli ruszyć ku granicy. O tylu rzeczach mówili przez wszystkie spędzone razem godziny, ale nigdy nie wspominali o przyszłości. Nie zastanawiali się, co zrobi Franka, kiedy wreszcie John wyruszy z Hahnem do Szwajcarii. Liczyło się tylko zadanie. Lynch w kółko powtarzał te słowa w głowie, aż stały się mantrą, słowami wytyczającymi drogę życiową.

Franka ustawiła jego łóżko ponad wyrwanymi deskami sypialnianej podłogi. Opracowali procedurę – co robić, jeżeli Gestapo przyjdzie go szukać. Ćwiczyli dziesiątki razy. Jedynym ostrzeżeniem byłby w takiej sytuacji odgłos zatrzymującego się samochodu. John miał wówczas natychmiast iść do sypialni i zasunąć za sobą deski, kładąc się w kryjówce, którą Franka postarała się uczynić jak najwygodniejszą. Łóżko będzie zasłaniać deski, a one z kolei ukryją Lyncha. Jeśli gestapowcy przeprowadzą staranną rewizję, to nie będzie gdzie się ukryć, ale po co mieliby to robić? W lokalnej prasie nie pojawiły się żadne wzmianki o zaginionych alianckich lotnikach ani szpiegach. Chyba nie wiedzieli, że na tym terenie przebywał Amerykanin, a co dopiero w chacie jej ojca.

Nadszedł nowy rok. Od ostatniej podróży do miasteczka przed dwoma tygodniami Franka nie widziała nikogo poza Johnem, a i wtedy rozmawiała jedynie z Martiną, funkcjonariuszem, który ją legitymował, oraz pracownikami odwiedzonych sklepów. John spędzał już więcej czasu poza sypialnią. Wróciwszy z codziennego spaceru, często spotykała go na bujanym fotelu przy kominku, gdzie czytał zakazaną literaturę. Chciał czytać wyłącznie książki, za które naziści wsadziliby ją do więzienia. Im surowszy wyrok za posiadanie, tym większą miał ochotę. *Czarodziejska góra* Tomasza Manna leżała na stoliku, gdzie ją odłożył, z wystającą zakładką. Oboje słuchali tylko nielegalnych, zagranicznych stacji radiowych, upajając się wolnością swojego odosobnienia. Franka z fascynacją słuchała, jak John opowiadał, co się działo na innych frontach wojny: o bitwach w Rosji i we Włoszech, o walkach na Pacyfiku.

Wieczorami najczęściej gotowała potrawkę, a Lynch pomagał, krojąc i

siekając warzywa tak drobno, że rozplływały się jej w ustach. Zaczęli jadać razem w Boże Narodzenie i od tej pory stało się to ich zwyczajem.

Tamtej styczniowej nocy jedli w milczeniu. Przy stole John zachowywał się wytwornie. Franka próbowała sobie wyobrazić, jak przysiada z kolegami z oddziału, pochłaniając racje żywnościowe typu C, które tak szczegółowo opisał. Był to widok trudny do wyobrażenia.

John podniósł serwetkę i wytarł okrychy z kącików ust, zanim wrócił do posiłku.

– Widzę, że patrzysz na mnie z tym swoim uśmiechem – zauważył. – O czym myślisz?

– Próbuję cię sobie wyobrazić z innymi „piechociarzami”, jak mawiałeś. – Była z siebie dumna, że używa anglojęzycznego slangu, którego John ją nauczył.

– Upłynęło trochę czasu, zanim niektórzy na szkoleniu podstawowym mnie zaakceptowali. Kiedy zrozumieli, że wszyscy stoimy po tej samej stronie, a uprzedzenia wobec swoich mogą człowieka kosztować życie... Sprawia mi przyjemność myśl, że zasłużyłem na ich szacunek.

Odłożył widelec, nie dokończywszy posiłku.

– Wiem, że denerwujesz się jutrem – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Musisz tylko porozmawiać z nim przez parę minut. Nikt się niczego nie domyśli. O ile nam wiadomo, o nic go nie podejrzewają.

– O ile tobie wiadomo.

– Oczywiście są rzeczy, o których nie wiemy, ale nie powierzyłbym tego zadania byle komu.

– Nie bardzo masz inne wyjście.

– Oczywiście, że mam. Mogę poczekać. Przez ten czas Hahn może się rozmyślić, skończyć prace albo trafić do aresztu, albo może się zdarzyć coś jeszcze innego. Ale nie mogę czekać i nie mogę też jechać sam. – Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. – Kiedy sobie uświadomisz, jak wiele znaczysz dla tego zadania? Nie mogę uwierzyć, że na ciebie trafiłem. Gdyby nie ty, już bym nie żył.

Franka zabrała dłoń i podniosła stojącą przed sobą filiżankę kawy.

– Skąd masz taką pewność, że sobie poradzę?

– Widzę w tobie siłę. Kto inny zdołałby zrobić to wszystko co ty i nadal jeszcze się nie poddawać?

– Trzeba dołożyć do ognia.

– Mniejsza o to. Parę minut może poczekać. – Znów sięgnął po jej dłoń. Ręce miał ciepłe, silne. – Poradzisz sobie. Masz do tego wszelkie niezbędne zalety.

Jesteś dzielna i...

– Nie jestem dzielna. Jestem tchórzem. – Poczula nadchodzące łzy i wstyd jej było się rozplakać przed Johnem. – Sprzedałam się, żeby ratować własną skórę. Udawałam, że nie wiedziałam, co się dzieje, co robił Hans i inni.

Odwróciła się, podniosła ustawione w kącie drwa. Ogień pod kuchenką zatrzaskał, gdy dorzuciła kilka polan.

– To byli prawdziwi bohaterowie, gotowi oddać życie za to, w co wierzyli.

– Nie byli bardziej bohaterscy od ciebie tylko dlatego, że nie żyją. Myślisz, że nie wybraliby życia, gdyby mogli? Jaki byłby pożytek, gdybyś umarła? Co by dała jeszcze jedna śmierć?

– Powinnam była wyznać prawdę o tym, co zrobiłam i powiedziałam. Grałam „głupią blondynkę”. Weszłam w rolę idiotki.

– Zrobiłaś to, co było trzeba, żeby przeżyć. Na twoim miejscu zrobiłbym zupełnie to samo. Byłaś dzielna, bystra, a teraz jesteś żywa. A przez to i ja żyję. Jesteś blondynką, jesteś kobietą, ale nikt, kogo kiedykolwiek znałem, nie był takim przeciwieństwem głupoty i tchórzostwa jak ty.

Jego życzliwe słowa w żaden sposób nie powstrzymały łez, które nadeszły jeszcze szybciej i bardziej bezlitośnie, skapywały jej z podbródka. John wy dobył się o kulach z siedzenia i zbliżył się do niej.

– Być może jesteś najodważniejszą osobą, jaką w życiu poznałem, Franko Gerber.

– Zostawiłam go – powiedziała.

– Co takiego? – zapytał John.

Jej głos był nikły jak popiół na wietrze

– To moja wina, że umarł. Zostawiłam go. Ojciec nie mógł sam się nim opiekować.

– O nie. To nieprawda. – John czuł na swojej skórze jej ciepło.

– Nie powinnam była wyjeżdżać. To moja wina, że Fredi nie żyje. Gdybym została we Fryburgu, razem dalibyśmy sobie z nim radę. Nigdy by nie trafił do tamtego domu, a oni nigdy by go nie dostali w swoje szpony. Do tej pory by jeszcze żył.

– To nie twoja wina, że Fredi nie żyje. Zamordowali go naziści.

– Dlaczego musiałam jechać do Monachium? Czemu go zostawiłam?

– Pragnęłaś nowego początku. Miałaś dwadzieścia dwa lata.

– Mówisz tak, ale...

– Śmierć Frediego to nie twoja wina. Skąd wiadomo, że nie przysliby po niego do domu? W tej sprawie nic nie mogłaś zrobić. Nie znałaś żadnego

wyjścia.

– On by nie umarł...

– Nadarza ci się okazja uderzyć w samo serce reżimu, który zamordował ci brata i ukochanego. Oni nie zdają sobie sprawy, jak ważny jest ten program jądrowy. Musimy go zatrzymać, zanim się zorientują. Według Hahna wyprzedzili nas. Jeśli dopuścimy, by naziści pierwsi opracowali swój program, to może nigdy nie zapłacą za śmierć Frediego i wielu innych.

– Za późno. Nieszczęście już się stało.

– Nigdy nie jest za późno, dopóki masz oddech w płucach i życie w sobie. Naziści pozostawili za sobą szlak milionów ofiar w całej Europie. Podarowano ci szansę walki o sprawiedliwość w imieniu tych ofiar.

– A może zemsty?

– Jednego i drugiego – odparł. – Powody tego, co robimy, mają wiele możliwych kombinacji. Zemsta to jeden z nich. Muszę wiedzieć, czy wchodzisz w to na sto procent, Franka. Jeśli tylko odrobinę mniej, to śmiertelnie narażasz nas oboje. Czy jesteś ze mną?

– Jestem. Na sto procent.

## ROZDZIAŁ 11

Franka zbudziła się przed świtem i patrzyła, jak mrok nocy ustępuje ponurej szarości pochmurnego poranka. Poczekała godzinę, zanim wygramoliła się z łóżka, krzywiąc się, gdy zimno chaty uszczypnęło ją w twarz. Z Fryburga do Stuttgartu jechało się pociągiem dwie godziny. Drogi pozostawały nieprzejezdne, samochód mógł jej co najwyżej przypominać, w jaki sposób tu dotarła i jak może odjechać. Gorąca kawa ją rozgrzała. Franka sprawdziła zapasy żywności dla Johna, choć już wiedziała, ile dokładnie jedzenia im zostało. Sprawdziła jeszcze raz. Zza drzwi dobiegł głos mężczyzny i Franka udała się do niego z parującym kubkiem kawy. Lynch siedział w łóżku.

– Dasz sobie radę. Po prostu jedziesz do Stuttgartu na spotkanie.

Przez kilka minut rozmawiali o podróży, po czym Franka poszła pozmywać do łazienki. Gdy wyszła, z włosami jeżącymi się boleśnie w zimnym powietrzu, John był już w kuchni. Usiedli i razem zjedli śniadanie. John znów wszystko powtórzył, choć ona знаła już to na pamięć. Po kwadransie była spakowana i gotowa do drogi. Lynch przemieścił się ku drzwiom, by uścisnąć jej dłoń na pożegnanie.

– Do jutra – powiedziała.

Próbowała się pokazać z najlepszej strony, skryć niepokój, który wydawał się zżerać ją od środka, ale w jego spojrzeniu dostrzegła niepewność.

Franka nie poruszyła się, gdy pociąg wjechał na dworzec główny w Stuttgarcie. Umysł miała pusty, równie bezbarwny jak śnieg leżący w górach. Żołnierz z miejsca naprzeciwko zaproponował, że pomoże jej z bagażem. Ścisnęła kurczowo torbę i uprzejmie odmówiła. Uchylił czapki i wstał, by wysiąść. Franka wygramoliła się niechętnie z ławki, uświadamiając sobie, jak bardzo musiała być blada. Nie jadła i nie ruszała się, od kiedy wsiadła do pociągu. Ręce jej drżały. Wepchnęła je do kieszeni palta i wstała. Powłócząc nogami, wysiadła z innymi pasażerami na peron. Pociąg przyjechał punktualnie. Zegar na murze pokazywał kwadrans po trzeciej. Pozostawało aż nadto czasu, żeby znaleźć hotel, zanim pójdzie się spotkać z Hahnem. Kilku umundurowanych gestapowców zatrzymywało pojedynczych podróżnych z tłumu, sprawdzając ich dokumenty. Frankę zostawili w spokoju, najwyraźniej skupieni bardziej na

mężczyznach w wieku poborowym. Szukali dezertarów.

Gdy opuściła dworzec, powietrze było zimne. Dzień był pochmurny, mglisty. Na piętnastometrowych masztach powiewał szereg ogromnych nazistowskich flag, ledwo widoczny w szarudze. U wejścia na dworzec stał wielki, trzymetrowy portret Hitlera. Franka wyciągnęła rękę, by wezwać taksówkę.

Po zameldowaniu w hotelu zmusiła się, żeby coś zjeść, po czym zeszła na Schlossplatz, wielki plac w centrum, gdzie przez te dziesięć cennych minut miał przebywać Hahn. Spacerem minęła barokowe ogrody, zmierzając ku sterzącemu pośrodku, prawie na trzydzieści metrów, posągowi rzymskiej bogini Concordii. Budynki wokół placu nosiły blizny po bombardowaniach, przy słabej widoczności zlewały się jeden z drugim. Niektóre znów były w budowie, inne nie. Na wietrze powiewała wielka nazistowska flaga, obok przechadzało się kilku żołnierzy po służbie. Pod ich spojrzeniami Franka cała zeszywniała. Wydawało się, jakby wrogowie byli wszędzie wokoło, czuła, jak wzrok każdego przechodnia przyczepia się do niej jak pijawka do skóry. Usiadła na parkowej ławce, z której widać było cały plac, żałowała, że nie pali – przynajmniej po to, by ukoić nerwy. Oparła się pragnieniu spoglądania na zegarek na nadgarstku. Mężczyzna idący przez plac zatrzymał się, chyba na nią spojrzął, po czym ruszył dalej. Sekundy ciągnęły się jak dni.

Wtedy go zobaczyła. Pięćdziesięciokilkuletni jegomość w beżowym prochowcu przeszedł na ukos przez plac i usiadł na ławce jakieś trzydzieści metrów od niej. Nosił kapelusz, ale miał siwe wąsy, zgodnie z opisem Johna. Podniósł gazetę, zasłaniając twarz – tak, jak John zapowiedział. Czy powinna podejść prosto do niego? Obejrzała się przez jedno i drugie ramię, starając się sprawiać wrażenie, jakby na kogoś czekała. Usiadł przy niej trzydziestoletni mężczyzna, rozglądał się.

– Piękne miejsce, nieprawdaż? – zapytał, a France zamarło serce.

– Prawda – odpowiedziała, ledwo wydobywając z siebie głos.

Nie podniosła oczu na nieznanomego, choć wiedziała, że on na nią patrzy. Spojrzała na zegarek, potem na mężczyznę w beżowym prochowcu. Za osiem minut Hahn odejdzie. Kim był ten człowiek obok niej? Nozdrza wypełnił jej słodki aromat dymu tytoniowego.

– Poczęstuje się pani? – zapytał nieznanomy.

Wyciągnął do niej paczkę papierosów. Pokręciła głową. Uśmiechnął się, odsłaniając skrzywione przednie zęby, na policzku miał głęboką bliznę. Z szarych oczu nic nie dało się wyczytać.

– Nie palę – oznajmiła.

– Paskudny nałóg. Sam Führer go krytykował. – Zaciągnął się głęboko.

– Nigdy w niego nie wpadłam. Pan wybaczy.

Wstała i bez słowa odeszła. Człowiek w beżowym płaszczu nadal czytał gazetę i nie zareagował, kiedy się do niego dosiadła. Mężczyzna, który częstował ją papierosem, spojrzał w ich stronę.

– Ładna pogoda jak na tę porę roku – odezwała się. – Gratka dla dzieci.

Na dźwięk jej słów Hahn odwrócił głowę. Dopiero po kilku sekundach odzyskał zimną krew. Miał przy sobie parasol, tak jak zapowiadał John.

– Ładna pogoda, żeby jeździć na łyżwach, ale nie dla rolników, którzy próbują wyżywić naszych dzielnych frontowców.

Jego słowa były wyćwiczone, rozważne. To był odzew na hasło. Przewrócił stronę, zasłaniając twarz gazetą.

Franka wiedziała, że teraz to ona powinna coś powiedzieć, ale spojrzała na mężczyznę z papierosem. Przyglądał się, lecz uciekł wzrokiem, napotkawszy jej spojrzenie. Minął ich żołnierz w mundurze SS.

– Bezpiecznie jest tu rozmawiać?

– Pewnie nie – odparł Hahn, ale się nie poruszył. – To niezupełnie pani się spodziewałem.

– Wystąpił pewien problem z pierwotnym agentem. Nie był w stanie się tu dostać.

Hahn odwrócił się do niej, gdy mówiła dalej.

– Jest cały i zdrowy. Miał tylko pewne kłopoty i przez parę tygodni nie będzie mógł podróżować.

Mówiąc, patrzyła przed siebie, wiedząc, że choć mężczyzna zasłaniał się gazetą, to spoza arkusza spoglądał na nią.

– Zaraz wstanę – oznajmił. – Poczekam na panią na rogu tamtej ulicy. Proszę przyjść za pięć minut, to będziemy mogli pójść na spacer.

Złożył gazetę i, wstając, wetknął ją sobie pod pachę. Franka starała się zbyt często nie spoglądać na zegarek. Mężczyzna, który częstował ją papierosem, rozmawiał teraz na tamtej ławce z kim innym, o niej już pewnie zapomniał. Odliczywszy pięć minut, zaraz poszła do Hahna, który przywitał ją uściskiem dłoni.

– Wie pani, kim jestem, ale ja nie znam pani. Jak mam panią nazywać?

– Franka. Jestem Niemką.

– Czy mówi pani w imieniu naszych alianckich przyjaciół? Może pani składać obietnice w ich imieniu?

– Owszem, mogę. – O tym John ją zapewnił.

– Powiada pani, że tamten człowiek nie może podróżować. W czym dokładnie problem?

– Ma złamane obie nogi. Dochodzi do zdrowia w chacie pod Fryburgiem.

Hahn odczekał, aż minęli żołnierza idącego z dziewczyną pod rękę.

– To może być utrudnienie. Nastąpiła zmiana planów.

– To znaczy?

– Chcę też wydostać swoją żonę.

– Myślałam, że jest pan rozwiedziony, z córką na wygnaniu w Szwajcarii.

– Zgadza się, Heidi mieszka w Zurychu, ale nie mogę z czystym sumieniem zostawić żony. W ostatnich tygodniach bombardowania się nasiliły. Alianci mają teraz chyba bezwzględna przewagę na niebie nad Rzeszą. Giną tysiące ludzi, a jeśli przyjdą Sowieci, to Boże, miej litość nad nami wszystkimi. Nie mogę jej zostawić samej na taki los.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Hahn się zatrzymał.

– Jeśli ona nie pojedzie, to ja też nie.

Franka próbowała sobie wyobrazić Johna, jak kulejąc na ledwo zrosniętych nogach, usiłuje przeprowadzić dwoje ludzi po pięćdziesiątce do Szwajcarii przez zamrznięty las. Nie wydawało się to prawdopodobne.

– Porozmawiam z naszym przyjacielem. Mam też do pana kilka pytań.

Franka rozejrzała się. W zasięgu słuchu nikt nie stał. Ruszyli dalej.

– Mam nadzieję, że załatwiliście mi dom, którego żądałem. Chcę mieć dom na plaży i dwa auta: jedno niemieckie, a drugie amerykańskie. – Hahn uśmiechnął się sam do siebie. – Chcę być kierownikiem zespołu, z którym będę pracował, i sprawować pełną kontrolę nad badaniami.

– Wszystko zostało załatwione – zapewniła Franka. – Jak posuwają się prace?

– Jesteśmy coraz bliżej przełomu.

– A co z nazistowskim kierownictwem? Zaczynają się interesować?

– W zeszłym tygodniu dostałem list od Himmlera, który chwalił nasze postępy. Chodzą słuchy, że chce z nas zrobić swój ulubiony projekt. Wykorzysta nasze odkrycia, żeby się przypodobać Hitlerowi. Właśnie organizuje wizytę. Jeśli Himmler uzyska zgodę Hitlera, to dostaniemy całe potrzebne dofinansowanie i będziemy mogli opracować naszą broń.

Słowo „broń” nieprzyjemnie tknęło Frankę, pojawiały się coraz to nowe pytania, ale pozostała w roli, wspominając słowa Johna.

– Czy nie ma sposobu, żeby zatrzymać postępy?

– Jestem częścią zespołu. Gdybym celowo popełnił jakiś błąd, reszta by się



zorientowała. Mógłbym zostać wykluczony z projektu, a wtedy nie zostałyby już dla was żaden człowiek wewnątrz. Ale tego nie zrobię – to by zaszkodziło mojej reputacji, a poza tym pani mocodawcy pragną, żebym ciągnął swoje prace, ile się da, zanim będą mogli je sobie przywłaszczyć. Nie wierzą, że nazistowskie kierownictwo zamierza dać nam wystarczające wsparcie, żebyśmy mogli skończyć tę robotę. Wydaje im się, że wojna się skończy, zanim zdołamy uzyskać coś, z czego faktycznie dałoby się zrobić pożytek.

– Mają rację?

– Może. A może nie. Trudno powiedzieć. Oni grają w niebezpieczną grę.

– Czy prace mogą trwać dalej bez pana?

– Owszem, ale jestem kierownikiem i siłą napędową projektu. A także jego twarzą dla opinii publicznej. Jeśli mnie zabraknie, tacy jak Himmler stracą zainteresowanie i projekt zostanie zlekceważony na rzecz rozwoju silników odrzutowych, które według Hitlera mogą odmienić losy wojny. Nasz projekt to jeden z wielu, które uważa się za zbawienie Niemiec. Z tym, że tylko ja znam pełny potencjał tego, co robimy. Trudno sprawić, żeby inni też go pojęli. Od spotkania z Himmlerem zależą losy projektu.

Trudno było stwierdzić, czy Hahn był antynazistą, czy nie. Franka zaczynała odnosić wrażenie, że gdyby go nie wykradli, to mógłby dokończyć swój projekt w Rzeszy, a wtedy naziści wykorzystaliby potencjał broni, o której wspomniał. Może chodziło mu tylko o lepszy sprzęt i fundusze, którymi dysponowali Amerykanie. Może to sam projekt się liczył, a znaczenie dla Hahna miało wyłącznie odkrycie naukowe, nie zaś cel, jakiemu ta nauka miała służyć. Człowiek lojalny wyłącznie wobec własnej pracy był niebezpieczny.

Przez kilka minut spacerowali w milczeniu, przechodząc ze Schlossplatzu na dalsze ulice. Otaczały ich imponujące kamienne budynki, zaczął zapadać wieczór. Zapalały się uliczne latarnie – jedne zepsute, drugie sprawne.

– No więc jakie macie dalej plany?

– Chcielibyśmy, aby poczekał pan cierpliwie dwa tygodnie, a potem przyjechał do Fryburga.

– A stamtąd zabierzecie mnie z żoną do Ameryki, żebym mógł kontynuować prace?

– Ile lat ma pańska żona, doktorze Hahn?

– Pięćdziesiąt trzy.

– Zabranie kolejnej osoby, zwłaszcza kobiety po pięćdziesiątce, jeszcze bardziej utrudni przekroczenie szwajcarskiej granicy. Tak wybitny człowiek jak pan na pewno to rozumie.

– Inaczej nie pójdę.

Franka próbowała sobie wyobrazić, co powiedziała by John. Być może on zdołałby ich przerzucić pojedynczo: najpierw żonę, a potem wrócić po Hahna. Było to mało prawdopodobne, ale może wykonalne.

– Istnieje jakiś sposób, żeby zabrał pan swoją pracę?

– Sporządziłem mikrofilm rysunków technicznych i planów. Zabranie go nie powinno sprawiać problemu.

– A gdzie jest ten mikrofilm?

– Bezpiecznie schowany.

Miała zamiar poprosić, aby uściślił, gdy wtem powietrze przeszyły przenikliwe głosy syren alarmowych.

Franka dostrzegła strach w oczach Hahna.

– Nalot – powiedział. – Musimy się dostać do schronu.

– Ile mamy czasu, żeby zdążyć przed bombami?

– Trudno powiedzieć w tej dolinie, w której stoi miasto, i przy tej mgle. Samoloty mogą być tuż nad nami. Idzie pani ze mną?

– A gdzie indziej mogłabym iść?

Ludzie zaczęli biegać, matki za ręce ciągnęły za sobą dzieci.

– Schron jest o parę minut piechotą – stwierdził Hahn.

Przerwał mu przeraźliwy gwizd, ulicą za nimi wstrząsnęła głośnie eksplozja. O kilkaset metrów wybuchła witryna sklepu, zasypując ulicę gruzem i odłamkami. Rozległ się alarm przeciwwłamaniowy. Syreny wciąż wyły. Ludzie się rozproszyli. Franka obejrzała się, dostrzegła ciała na asfalcie. Hahn złapał ją za nadgarstek, gdy znów zaświszczały bomby. Ulicą biegła już setka czy więcej ludzi. Nie wiadomo było, ile im zostało do schronu przeciwlotniczego. Franka go nie widziała, dostrzegała tylko rozproszone sylwetki biegnących ludzi. Hahn był powolny. Prawie go ciągnęła, gdy uderzyła kolejna bomba, lądując trzydzieści metrów za nimi. Jakimś mężczyzną rzuciło o ścianę budynku, jakby olbrzymia dłoń cisnęła go na bok, trup runął na ziemię, padając w niechlujną stertę. Następna bomba, i jeszcze jedna, uderzyła w domy z obu stron ulicy. Rozprysnęło się szkło i gruz. Franka obróciła się, ujrzała za sobą biegnącego mężczyznę, którego całe ciało pochłaniały żółte płomienie. Upadł. Ludzie mijali ją biegiem, pozostawiając za sobą krzyk. Ślepa panika. Runęła kolejna bomba, budynek tuż przed nimi wybuchł, wałąc się na ulicę, obsypał pyłem i gruzem drogę, którą mieli do przebycia. Zabici leżeli porozrzucani po całej drodze, z przodu i z tyłu, a uszy Franki wciąż wypełniał świst bomb. Hahn zwolnił.

– Jak daleko do schronu?! – krzyknęła.

– Pół kilometra z hakiem. Zazwyczaj ostrzegają wcześniej. To przez te chmury.

Powietrzem wokół nich wstrząsnął kolejny wybuch. Franka spostrzegła, że ulica, którą dopiero co biegli, zmieniła się w rzekę ognia. W ciemniejszym świetle leżało kilka ciał, płonących jak pochodnie. W górze niebo czerniało. Samolotów nie było widać. Zobaczyła bombę, dostrzegła czarną smugę, nim uderzyła, równając z ziemią sklep spożywczy, rozrzucając szkło i drewniane skrzynki z warzywami, jakby to było confetti. Spadła kolejna, zmasakrowane zwłoki starszej kobiety prześlizgnęły się po asfalcie o parę metrów przed nimi. Ubranie ofiary spłonęło, odsłaniając skórę szerniałą na węgiel, szczękę miała odciętą. Franka ominęła zwłoki, gdy z tyłu eksplodowała następna bomba. Na kilka minut straciła Hahna z oczu w dymnym tumanie, wreszcie dostrzegła go o kilkanaście metrów z lewej. Podbiegła w chwili, gdy runęła kolejna bomba, rozrzucając wokoło gruz. Wszędzie leżały dziesiątki połamanych ludzi, krzyczeli. Tuziny innych nadal biegły. Franka zatrzymała się, przecierając oczy. Znowu zgubiła Hahna, rozglądała się za nim po ziemi.

Kolejna eksplozja prawie rozerwała France bębenki, zwalając ją z nóg. Wszystkie budynki wokoło stały się morzem płomieni, z którego buchał ku niebu czarny dym. Otarła ziemię z oczu, próbowała się skupić, pomimo dzwonienia w uszach. Zbadała swoje ciało. Krwi nie było. Mogła się ruszać. Bolało tylko trochę. Wstała, pozostała teraz w tyle za większością tłumu.

Znowu wybuchła bomba, ale tym razem kilkaset metrów dalej. Z bagniska mózgu Franki wydobyła się myśl, że została sama, ale i tak musiała się dostać do schronu. Ten tłum, który przed sobą widziała, nadal gnał do schronu przeciwniczego, który mogła już teraz zobaczyć o kilka przecznic dalej. Gdzie Hahn? Dotknęła ciepła spływającego z boku twarzy i na dłoni zostały jej plamy własnej krwi. Kakofonia syren już się zmieniła, przemieszana z rozdzierającymi jękami rannych. Franka kroczyła chwiejnie przez gruzy i rozbite szkło, szukając Hahna. W promieniu kilkunastu metrów od miejsca, gdzie stała, naliczyła siedmioro zabitych, niektórych bez rąk i nóg, innych zmiażdżonych przez cegły i tynk. Ponownie rozległ się gwizd bomb, ale już dalej. Bombowce przeszły, co jednak nie znaczyło, że nie wrócą. Tak czy owak, musiała dotrzeć do schronu. Pozostawanie na otwartej przestrzeni oznaczało śmierć.

Krzyknęła na widok Hahna. Był po przeciwnej stronie ulicy, leżał na boku w kałuży gęstego szkarłatu. Franka podeszła chwiejnym krokiem, mijając wyciągnięte dłonie kilkorga rannych, którzy błagali ją o pomoc. Ignorowanie ich sprzeciwiało się każdemu instynktowi, jaki w sobie miała, ale jednak to zrobiła.

Nikły głos w jej głowie kazał jej się skupić na zadaniu.

– Hahn – powiedziała. Głos zdawał się rezonować w jej wnętrzu jak w głębokiej, czarnej pieczarze.

Ziemią wstrząsnęły następne eksplozje, gdy Franka schylała się ku rannemu. Ludzie wciąż przebiegali obok. Jakiś młody mężczyzna krzyknął, żeby podeszła, próbował ją złapać, ale go zignorowała. Hahn otworzył oczy, uniósł głowę. Krew ciekła mu z kącików ust. Zakaszłał, podniósł wzrok ku France. Ubranie miał mokre od krwi, kałuża przed nim gęstniała z każdą sekundą. Jego spojrzenie błagało, by mu pomogła, choć Franka wiedziała, że nic się nie da zrobić. Na nogach Hahna spoczywał oderwany kawałek muru, przygważdżając go do ziemi. Przeszło jej przez myśl, żeby go zostawić, biec dalej do schronu. Przypomniała sobie o Johnie czekającym na nią w chacie.

– Gdzie mikrofilm, doktorze?

Zamrugał, zdołał z siebie wydobyć zaledwie chrząknięcie.

– Niech pańskie badania nie umrą na tej ulicy. Powiedział pan, że naziści nie szanują pańskiej pracy. Niech więc Amerykanie skończą to, co pan zaczął.

Gdy mówiła, otworzył oczy i patrzył na nią.

– Gdzie jest mikrofilm? Proszę pozwolić, abym uchroniła pracę pańskiego życia.

Hahn próbował się obrócić, zdjąć z nóg betonową bryłę. Franka chwyciła ją od spodu i wyteżyła siły, usiłując ją podnieść. Bezskutecznie. Hahn, pogodzony z losem, położył się, wracając do pierwotnej pozycji. Jego oddech stawał się coraz płytszy, z twarzy ulatniał się kolor. Franka wiedziała, że zostały mu zaledwie sekundy życia.

– Doktorze Hahn? Niech pańska praca nie wpadnie w ręce nazistów. Niech Amerykanie zrobią z niej dobry użytek.

Hahn wykrzywił wargi w krwawym, makabrycznym uśmiechu.

– Taki jak dziś? Wie pani w ogóle, nad czym pracuję?

– Rozszczepienie atomu? Nie wiem, co to takiego. Wiem tylko, że może to odmienić losy...

– To bomba, najpotężniejsza w dziejach. Zdolna zrównać z ziemią całe miasto.

– Jedna bomba może zniszczyć całe miasto?

– Tysiące ludzi spali w kilka sekund.

– Więc nie może wpaść w ręce nazistów. Proszę sobie przypomnieć, co zrobili pana żydowskim przyjaciółom i kolegom. Proszę pomyśleć, jak oni by wykorzystali taką potęgę.

Hahn na sekundę zamknął oczy, a potem otworzył je znowu. Franka wiedziała, że być może po raz ostatni.

– Moje mieszkanie, Kronenstrasse 433. To blisko. – Znów zakaszła. – Proszę zadbać, żeby to skończyli. Wszystko tam jest. Proszę iść, póki trwa nalot i policja siedzi w schronie.

– Gdzie jest schowany? – Wybuchwały kolejne bomby, zaledwie kilkaset metrów dalej. Franka wiedziała, że musi już iść. Bombowce wróca.

– Portret matki – powiedział Hahn słabnącym głosem. – Wpatrz się w niego...

Głowa odchyliła mu się w tył, wąsy miał zakrwawione, otwarte oczy wpatrzone w nicość.

Wokół przemykali ludzie. Franka jako jedyna nie biegła, choć mogła. Mieszkanie Hahna było pod obserwacją. Inaczej dlaczego by jej powiedział, żeby poszła tam od razu, dopóki z góry alianckie bombowce zasypują miasto zniszczeniem? To mogła być dla niej jedyna szansa, by wskrzesić misję, by wnieść własny wkład w pokonanie zła, które zabiło Hansa, Frediego i ojca.

Przez kilka makabrycznych sekund grzebała w kieszeniach Hahna w poszukiwaniu kluczy. Nikt nie patrzył. Zostawiła go leżącego i pobiegła za innymi, dostrzegłszy na końcu ulicy azyl żelbetowego schronu przeciwlotniczego. W powietrzu unosił się tuman dymu i pyłu. Syreny wciąż wyły, wokół płonęło kilka budynków. Trupy leżały porozrzucane na jezdni. Franka wreszcie spostrzegła nazwę – Kronenstrasse. Ulica była pusta. Żadnej policji, żadnych żołnierzy, żadnego Gestapo, a z pewnością żadnej pani Hahn, która by czekała, aż były mąż wróci do domu. Drugi raz taka okazja się nie nadarzy. Franka zatrzymała się na sekundę, wdechy i wydechy grzmiąły jej w płucach, włosy miała mokre od krwi. Od bezpieczeństwa schronu dzieliło ją niecałe dwieście metrów. Mogło jeszcze poczekać.

Przebiegła Kronenstrasse, patrząc po drodze na numery domów. Znów spadły bomby, za plecami ziemią wstrząsnęło kilka wybuchów. Dymiące szkielety, które zaledwie kilka chwil wcześniej były budynkami, zataczały się nad nią, gotowe runąć na ulicę. Zadanie. Zadanie. Minęła numery 411, 413. Bomba upadła po prawej, rozsypując szkło i beton na drodze przed Franką. Dziewczyna przykucnęła na kilka sekund, póki się nie upewniła, że nie leci następna. Dostrzegła kamienicę, podbiegła do szklanych drzwi, wciąż nietkniętych, i zaczęła szukać kluczy. Spróbowała jednym – to nie ten. Potem drugim – ten już się obrócił w zamku. Drzwi otworzyły się na marmurową klatkę schodową. Parę metrów dalej znajdowała się winda, ale skorzystanie z niej byłoby o wiele zbyt niebezpieczne. Na skrzynce pocztowej z prawej strony Franka przeczytała, że

Hahn mieszkał pod numerem 2b. Gdy weszła na opustoszałą klatkę, całym budynkiem szarpnął wstrząs spadającej w pobliżu bomby. Przeżycie było kwestią czystego przypadku. Przykucnęła na schodach, czekając, aż dźwięk ucichnie, i ruszyła dalej. Czerwona na twarzy, zdyszana, dotarła pod mieszkanie 2b. Klucz wsunął się do zamka, otworzyła drzwi. Przyszło jej do głowy, że pani Hahn może tu jeszcze być, ale nie było czasu na wahanie. Wbiegła do salonu, powtarzając w kółko słowa profesora.

– Portret matki – powiedziała, mierząc wzrokiem pokój. Stare czarno-białe fotografie w ramach stały na każdym blacie, a kilka wisiało na ścianie. Która to jego matka? I gdzie w takich malutkich ramach miałyby ukryć mikrofilm? Zamknięte drzwi kusiły, Franka pobiegła do nich. Wpadła do sypialni i nad łóżkiem zobaczyła oprawiony portret staromodnie ubranej kobiety o poważnym obliczu. Ściągnęła portret ze ściany i położyła twarzą do dołu na materacu. Powietrze rozdarły kolejne eksplozje, teraz słyszała już dźwięk artylerii przeciwlotniczej odgryzającej się przelatującym samolotom. Tył portretu pokrywał brązowy papier, równo z ramą, ale wybrzuszony na dwa centymetry w stosunku do samego zdjęcia. Franka wbiła palce w papier i zdarła go. W dolnym lewym rogu do wewnętrznej strony ramki przyklejony był taśmą mały, czarny przedmiot. Nie mogło to być nic innego niż mikrofilm. Franka oderwała go i wepchnęła do kieszeni.

Gdy zmierzała do schodów, znów spadły bomby. Przeczekała, aż hałas minie, i ruszyła dalej. Wypadła z drzwi kamienicy na zrujnowaną ulicę. Mężczyzna, który przed kilkoma minutami błagał ją o pomoc, już nie żył. Trudno było na niego nie spojrzeć, przebiegając obok. Franka trzymała dłoń w kieszeni, palce zacisnęła na mikrofilmie. Frontowe drzwi schronu przeciwlotniczego były zamknięte. Zaczęła walić w nie pięścią i krzyczeć, żeby ją wpuścili. Drzwi się otworzyły, a ona – zdyszana, pokryta pyłem i krwią – wpadła do środka. Setki ludzi się odwróciły, by na nią spojrzeć, dłoń uwięzła jej w kieszeni, jakby odlana z żeliwa.

Mijały godziny. Bombardowania wreszcie ustały. Franka czuła swędzenie od bandaża, którym sanitariusz owinął jej głowę. Zapewnił ją, że skaleczenie jest powierzchowne, a rany głowy prawie zawsze wyglądają na poważniejsze niż w rzeczywistości. Udawała idiotkę, kiwając głową i uśmiechając się, gdy kończył zabieg. Mężczyzna obok zaproponował jej swój płaszcz. Odmówiła i zapytała, jak dojść do hotelu, w którym się zameldowała. Miała nadzieję, że przetrwał. Myślała o alianckich lotnikach zrzucających bomby, zastanawiała się, czy

wiedzieli, co robią, kogo zabijają ich bomby. Czy byli zbrodniarzami wojennymi, jak mogłaby zaświadczyć większość ludzi w tym schronie? Czy o sprawach takich jak odpowiedzialność za zbrodnie wojenne decydowali zwycięzcy? Powątpiewała, czy większość zbrodniarzy tej wojny kiedykolwiek spotka sprawiedliwość. Ci służący po stronie, która wyjdzie zwycięska, będą pewnie wychwalani jako bohaterowie, ich zbrodnie zapamięta się jako wzór do naśladowania. Na całym świecie ulice i dworce kolejowe nosiły imiona ludzi uważanych przez niektórych za zbrodniarzy wojennych.

Była już noc, kiedy tłum opuścił schron. Powłócząc nogami, Franka wyszła w odmieniony pejzaż miasta, płomienie po nalocie wciąż lizały ciemność. Ludzie mówili, że był to jak dotąd najgorszy nalot na Stuttgart. Minie wiele dni, zanim uda się zebrać i policzyć wszystkich zabitych. Franki wtedy dawno już nie będzie. Mieszkańcy Stuttgartu wędrowali jak duchy ciemnymi ulicami, błędząc wśród gruzów i ciał tych, którzy mieli mniej szczęścia. Wycie syren na razie ucichło, ustępując miejsca szlochom i milczącemu poczuciu winy ocalałych.

## ROZDZIAŁ 12

Pod nieobecność Franki John przez większość czasu siedział przy oknie. Myślał o Penelope. Teraz usychała z tęsknoty za kim innym. Inny mężczyzna czekał na jej listy. Wyobraził sobie lotnika podstawiającego koperty pod nos, aby wdychać słodycz jej perfum, tak jak kiedyś robił sam John. Nie myślał o niej za wiele, odkąd przysłała mu tamten ostatni list, z pewnością nieperfumowany. Przypomniawszy sobie, jak śmiali się razem, jak dumny z niej był i jak się kochali. Gorycz już z niego wywietrzała. Pragnął ją zobaczyć, przeprosić i powiedzieć, że słusznie postąpiła. Jej szczęście było dla niego kiedyś najważniejsze na świecie i miał nadzieję, że z nowym mężem odkryje je na nowo. Nie był w stanie się na nią gniewać. Wina leżała wyłącznie po jego stronie. Nigdy jej nie zdradził, nawet nie pożył nikogo innego, ale nie było go przy niej. Wiedział, że idealnego pożegnania nie będzie. Spotkają się jeszcze, może na jakimś oficjalnym przyjęciu, gdzie będą zerkać na siebie z przeciwnych końców zatłoczonej sali. Może uda im się porozmawiać i życzyć sobie nawzajem wszystkiego najlepszego. Na coś takiego można było liczyć.

Myśli o France wydawały się nawiedzać wszystko inne, co przebiegało mu przez głowę. Jego próby wymazania dziewczyny ze świadomości okazały się daremne – zawsze wracała. Zdawało się, jakby miał w głowie wytatuowaną jej twarz. Usilnie starał się o nią nie martwić. Wygodniej było traktować ją jak każde inne narzędzie – miała swoje zastosowania – ale obudziwszy się tego ranka, wyraźnie odczuł jej nieobecność w zimnej chacie. Dom wydawał się pusty. John wyszedł z łóżka, przedostał się niezdarnie z sypialni do kuchni. Kawa stała na piecu, tam, gdzie ją zostawił. Niczego tu nie tknęła żadna dłoń prócz jego własnej. Zdawało się to nienaturalne. Kłębiące się w Johnie uczucia były niedorzeczne – na pewno wynikały wprost z tak długiego zamknięcia w jednym miejscu. To prawda, że od dawna już nie widział takiej kobiety jak Franka. To naturalne, że czuł do niej jakiegoś rodzaju pociąg. W końcu uratowała mu życie. Była dzielna, uczciwa i piękna. Nie mógł się winić za kłopotliwe myśli, nad którymi nie potrafił zapanować. Nic nie był w stanie poradzić na to, że zapamiętał każdą krzywiznę jej twarzy. Pewne rzeczy pozostawały poza jego kontrolą.

Dokończył śniadanie, złożone z suszonych owoców i czerstwego chleba z



dżemem, po czym udał się do salonu. Jego książka leżała na stole, obok drew, których potrzebował, żeby napalić. Szacował, że polana pozwoli im przeżyć jeszcze trzy dni, potem Franka będzie musiała iść po nowe. Nie w porządku wydawało się wysłać ją w śniegi, chociaż nie skarżyła się ani razu. W ogóle nigdy na nic się nie skarżyła. Kilka minut zajęło Johnowi doprowadzenie ognia do takiego stanu, żeby móc wreszcie usiąść i odetchnąć. Chciałby wykonywać więcej prac domowych, ale był okalawiony, bardziej przeszkadzał niż pomagał.

Nie wykorzystywał jej – zgłosiła się na ochotnika. Była wdzięczna, że dano jej szansę wpłynięcia na przebieg wojny, wbrew reżimowi, który zniszczył jej rodzinę i ukochany kraj. Skąd w takim razie u niego to poczucie winy? Dlaczego miał przeczucie, że wysłał ją samą w paszczę lwa? John powiedział jej, że Hahn słynie z trudnego charakteru. Był pewien, że Franka sama sobie poradzi. W końcu miała tylko nawiązać kontakt.

Nadeszła pora obiadu, a John wciąż siedział przy kominku, nietknięta książka nadal leżała na stoliku obok. Na dworze świeciło słońce, słyszał też kapanie topniejącego śniegu, gdy zaczęła się długa odwilż. Poprawił koc naciągnięty na pierś, sięgnął po radio i włączył. W eterze zatrzepotał wytworny akcent spikera wiadomości BBC. John poznał wielu Anglików, mało który brzmiał jak ten. Spiker odczytał listę nalotów z poprzedniej nocy. John zmartwiał, słysząc o bombardowaniu Stuttgartu.

„Dowództwo Bombowe RAF przeprowadziło wczoraj oszałamiające bombardowanie ośrodka przemysłowego – Stuttgartu. Według źródeł jest to największy nalot na to miasto od początku wojny”.

Nalot był mały w porównaniu z potężnymi wyprawami, które zniszczyły dużą część Hamburga i Kolonii, lecz okrzyknięto go znacznym sukcesem. Ilu ludzi zginęło? Wysłał ją w samą paszczę alianckiej bestii. Johna pochłaniały przerażające myśli. Spiker zmienił temat, niewiele uwagi poświęcając słowom, które wciąż dźwięczały w głowie Johna.

– Jest wojna, do cholery – powiedział Lynch w pustkę. – Znała ryzyko.

Zwrócił wzrok ku zegarowi z kukułką w przedpokoju. Wybiła pierwsza. Minuty dłużyły się jak miesiące, aż nastąpiła prawie piąta. Mrok zapadał, kiedy wreszcie drzwi się otworzyły. John nie widział Franki zostawiającej w holu narty. Nie zawołał do niej. Dziewczyna pojawiła się na końcu korytarza. Na czole miała wielki biały bandaż. Rzuciła torbę na podłogę i weszła, powłócząc nogami.

John stłumił instynkt, każący mu dać upust uldze na jej widok.

– Widziałaś go? – zapytał.

– Widziałam – odparła. Poszła do kuchni, po kilku sekundach wróciła z filiżanką wody. – Kiedy z nim rozmawiałam, nadleciały bombowce. Chyba całe miasto stanęło w płomieniach.

– Jesteś ranna?

Podniosła rękę i dotknęła opatrunku na głowie.

– To tylko draśnięcie. Miałam szczęście. Zginęły setki ludzi, może tysiące. Hahn umarł na ulicy.

– Co takiego? Jesteś pewna?

– Widziałam. Skonał na moich oczach.

Ledwo zdolna utrzymać podniesioną głowę, klapnęła na krzesło naprzeciwko Lyncha.

John próbował pozbierać myśli. Hahn nie żył. Czyli jego praca dla nazistów też umarła. Ale co, jeżeli mimo wszystko nazistowskie prace nad rozszczepieniem atomu będą mogły dalej trwać bez zakłóceń? Bez wiedzy Hahna uczeni w Ameryce mogą nie zdołać dogonić Niemców, póki nie będzie za późno. Przełożeni Johna nie będą zadowoleni, jeśli w ich ręku nie znajdzie się wiedza Hahna. Dopiero po kilku sekundach Lynch odzyskał opanowanie na tyle, by przemówić.

– Nie jesteś ranna?

Pokręciła głową.

– Co się stało? Jak długo się z nim widziałaś?

– Wszystkiego parę minut. Okazuje się, że był raczej najemnikiem niż dysydem. Bardziej zależało mu chyba na zakończeniu prac niż na ich wykorzystaniu przeciw nazistom. Nie sprawiał wrażenia, jakby go specjalnie obchodziło, kto je ukończy. Był przekonany, że Amerykanie dadzą mu niezbędne fundusze i wyposażenie.

– Dalibyśmy – stwierdził John. – Słyszałem o nalocie. Czuję ulgę, widząc, że żyjesz. Co się stało?

Franka opowiedziała wszystko od momentu spotkania z Hahnem do chwili jego śmierci.

– Co się stało z mikrofilmem? – zapytał Lynch.

– Daj mi minutkę.

Poszła do łazienki i po niecałej minucie wróciła z plastikowym pojemnikiem. Twarz miała ponurą, sztywną.

Próbował wstać, niezdarnie sięgając po kule. Podeszła do niego i znów opadł na fotel.

– Zdobyłaś go.

– Kiedy umarł, poszłam do jego mieszkania.

Sięgnął po pojemniczek w jej dłoni. Zacisnęła na nim palce.

– Opowiedział mi, co to za projekt – oznajmiła.

John odchylił się w fotelu. Migocące światło z paleniska tańczyło na łagodnych rysach twarzy Franki.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Zadawanie pytań to nie moja sprawa.

– Hahn pracował nad bombą, która może zrównać z ziemią całe miasto. Próbował wynaleźć najbardziej śmiertelnoścą broń w dziejach świata. – Jej pięść zacisnęła się na mikrofilmie.

– Nie wiedziałem, że to bomba. Wiedziałem tylko, że ta technologia może zmienić przebieg wojny. Teraz od nas zależy, żebyśmy dostarczyli kliszę aliantom, zanim naziści się zorientują, co mają w ręku. Jeśli opracują tę bombę przed nami... Wyobrażasz sobie, co by z nią zrobili? Nie będą mieć oporów przed jej użyciem. Zginą miliony niewinnych.

– Już i tak giną. Widziałam na własne oczy. Doświadczylałam tego, co alianckie bombardowania robią z Niemcami.

– Ta wojna jest dziełem nazistów. – Zobaczył, jak kobieta podchodzi do kominka. – Nie rób tego, Franka.

– Brzmisz jak dziecko wyklócające się, kto zaczął. To nie jest bójka na szkolnym podwórzu. Co dzień dochodzi do rzezi tysięcy ludzi.

– To, co trzymasz, może ogromnie przyspieszyć zakończenie tej rzezi. Ta technologia zostanie opracowana. Codziennie pracują nad nią setki najlepszych umysłów Ameryki. To, co masz w ręku, pozwoli im szybciej opracować bombę. Ona może zakończyć tę bezsensowną wojnę.

– Albo zamordować kolejne miliony.

– Nie do nas należy decyzja.

– Ale to my musimy ją podjąć. Ja mam to w garści, więc decyzja należy do mnie.

– Zastanów się, zanim zrobisz coś pochopnie. Zniszczenie mikrofilmu nie zatrzyma badań. Nic ich nie zatrzyma.

– Przynajmniej nie przyczynię się do potencjalnej śmierci milionów niewinnych ludzi.

– To jest wyścig pomiędzy aliantami a nazistami. Co by było, gdyby naziści jako pierwsi zbudowali bombę? Myślisz, że zawahaliby się ją zrzucić? Na Londyn, Moskwę czy Paryż?

– A kto powiedział, że alianci jej nie użyją? Widziałam, jakie zniszczenia spowodowali w Niemczech.

– Nie od nas zależy, czy bomba powstanie, a jedynie, komu pomożemy szybciej ją zbudować. Kto według ciebie powinien wygrać ten wyścig: alianci czy naziści?

Rozprostowała palce, wypuszczając mikrofilm, który podała Johnowi.

– Wiem, co teraz czujesz.

– Niby jak? W jaki sposób możesz mi sięgnąć do wnętrza?

– Wiem, że to niełatwe, ale to nie nasza rzecz podejmować takie decyzje. Musimy zaufać temu, czemu jesteśmy wierni. Postępujesz właściwie.

– Pomagając stworzyć najbardziej niszczycielską bombę w historii ludzkości? Wybacz, ale nie widzę w tym sensu.

– Jest w tym pewna ironia, nie będę zaprzeczał, ale dysponując taką groźbą, można zmusić nazistów, żeby pojęli, że nie wygrają wojny.

– Wydaje ci się, że groźba zabijania niemieckich cywilów rzuci nazistów na kolana? Tyle ich obchodzi ludność tego kraju, co ciebie brud wydłubany z ucha. Od samego początku wykorzystywali naród do własnych celów. Żadna groźba wobec narodu tego nie zakończy, tylko i wyłącznie zniszczenie samych nazistów.

John położył pudełko z mikrofilmem na stoliku obok. Sięgnął po kawę, od dawna już wystygłą, ale i tak pociągnął łyk.

– Dziękuję za to, co zrobiłaś – powiedział wreszcie. – Nie tylko dla wysiłku wojennego, ale i dla mnie.

– Co zamierzasz?

– Będę musiał przerzucić mikrofilm przez granicę do Szwajcarii.

Spojrzał w dół na swoje sterczące do przodu, zagipsowane nogi.

– Twoje złamania dobrze się zrastają – oceniła. – Za jakieś dwa tygodnie może będziemy mogli ściągnąć gips.

– Nie da się tego przyspieszyć?

– Jeśli chcesz mieć sprawne nogi, to nie. Jestem pielęgniarką, nie cudotwórczynią.

– Nie zgadzam się, Franka. Moim zdaniem jesteś cudotwórczynią.

– Pochlebstwo? Tylko tyle masz mi teraz do powiedzenia? – zachnęła się i wyszła.

Franka nie doczekała się wprawdzie ciepłej kąpieli, jakiej pragnęła, ale osiem centymetrów letniej wody, które udało jej się zebrać, i tak wydawało się luksusem. Obraz trupów płonących na ulicach Stuttgartu wisiał w jej świadomości, kiedy siadała w wodzie. Miną jeszcze dwa czy trzy tygodnie,

zanim John wyzdrowieje, a potem odejdzie. Co wtedy z nią? Myśli o odebraniu sobie życia uległy stłumieniu. Lynch udowodnił jej, że wciąż jest użyteczna i może coś zmienić w życiu ludzi. Ale jaki szpital ją teraz zatrudni? Była zdrajczynią Rzeszy, odsiedziała w więzieniu wyrok za działalność wywrotową. W Niemczech raczej nie było dla niej miejsca. Pieniądzy wystarczyłoby jej co najmniej na kolejny rok czy coś koło tego, a później? Co, jeśli nie będzie mogła pracować? Miała ciotki i wujów w Monachium, kuzynów rozsianych po miastach w całej Rzeszy, ale czy oni by ją przyjęli? A może potraktują jak zdrajczynię, tak, jak odmalowali ją naziści? Większości nie widziała od lat. Kuzyni ze strony matki byli już dla niej obcy. To chyba nie wystarczyło.

Wojna niedługo się skończy. Wszystko się zmieni. Samo przetrwanie dłużej niż Hitler i jego reżim stanie się jej zwycięstwem. W ten sposób Franka zdoła osiągnąć więcej niż miliony innych ludzi. Tęskniła za dniem, gdy ideały wyznawane przez Hansa i Sophie znów staną się normą, kiedy będzie się ich czcić jako bohaterów, którymi byli, a ona może przynajmniej doczeka się przebaczenia. Wystarczy jej przeżyć dość długo, by doczekać takich czasów, kiedykolwiek by miały nadejść.

Jej myśli znów powróciły do Johna. To niedorzeczne, ale w tym życiu był dla niej kimś najbardziej przypominającym wiernego towarzysza. Nie miała nikogo bliższego. Przed nikim na całym świecie nie otworzyła się aż do tego stopnia. Wkrótce i jego zabraknie. Pomyślała o Ameryce. Pokrzepiająca była świadomość, że ktoś mógł wierzyć w swój kraj tak jak John i nadal pozostawać sobą. Był lojalny wobec ludzi tworzących naród, a nie wobec jakiegoś reżimu utrzymującego, że działa w jego imieniu. „Patrioci”, jakich znała, byli wypaczeni i zniszczeni przez wykoślawione ideały. Patriotyzm wobec państwa nazistowskiego był wynaturzeniem, absolutnym przeciwieństwem tego wszystkiego, co patriotyzm powinien naprawdę oznaczać. Prawdziwymi patriotami byli ci, którzy wykazywali zdrową podejrzliwość wobec rządu i wszelkich pobudek jego działania. Ci, którzy nie dali się uwieść nazistowskiej retoryce, którzy pamiętali, kim są – jak Hans i Sophie. Jak jej ojciec. A być może prawdziwymi patriotami byli ci, którzy z otwartymi ramionami przywitają uzbrojonych misjonarzy niewątpliwie zmierzających do ojczyzny Franki.

\*\*\*

Kalendarz na ścianie pokazywał 20 stycznia 1944 roku. Daniel Berkel siedział zgarbiony nad biurkiem. Ostatnio zdawał się spędzać tam większość czasu. Jego

praca polegała przeważnie na przekładaniu papierów, sprawdzaniu źródeł i rozpatrywaniu sporów pomiędzy sąsiadami i byłymi przyjaciółmi. Ponieważ doniesienie na sąsiada mogło się dla niego skończyć aresztowaniem, a potencjalnie i karą pozbawienia wolności, niezadowoleni obywatele nagle odkryli nową przewagę nad ludźmi, do których żywili urazy. Aż za często ludzie denuncjowani jako wrogowie państwa winni byli co najwyżej tego, że o jeden raz za dużo weszli sąsiadom na posesję albo ukradli im gazetę. Ledwo przed tygodniem Daniel zajmował się sprawą zazdrosnego męża, który doniósł na przystojnego sąsiada. Agenci poddali podejrzanego wystarczającym torturom, by dojść do sedna sprawy, przyznał się do romansu z żoną tamtego. Gestapowcy go wypuścili. Tortury miały w sobie coś ze sztuki. Jeśli agent posunął się za daleko, podejrzany mógł się w końcu przyznać nawet do próby zamachu na Führera. Sztuka polegała na znalezieniu właściwej równowagi. Każdy człowiek miał swoją granicę wytrzymałości. Doświadczony śledczy wiedział, kiedy kontynuować, a kiedy przestać, jakich sposobów używać, a których unikać. Przystojnego sąsiada pobili prętami, ale obyło się bez podwieszania, a już na pewno bez rażenia genitaliów prądem. Tego rodzaju metody pozostawiano dla przypadków bardziej skrajnych, jednak ostatnio normą zdawały się sprawy takie jak ta.

Rozkazy z góry stawały się coraz bardziej drakońskie. Berkel wracał myślami do czasów sprzed wojny. Życie było wtedy prostsze. Liberalne, kosmopolityczne postawy niektórych obywateli, choć nigdy ich nie popierano ani nie akceptowano, przed wojną bywały tolerowane. Obecnie w Rzeszy nie było na nie miejsca. Obsesją góry stało się ściganie liberałów i tak zwanych wolnomyślicieli. Trudno było uwierzyć, że niezależnie od tego, ilu wrogów państwa już się pozbyli, wśród ludności ciągle było ich więcej – ale jednak skądś się brali. Nigdy wcześniej gestapowcy nie mieli rąk tak pełnych roboty. Takie archaiczne pojęcia jak dowody czy sprawiedliwy proces dawno już trafiły do lamusa. Gestapo dysponowało władzą absolutną nad obywatelami, a Berkel nigdy nie miał dość strachu wzbudzanego w ludziach, których inaczej w ogóle by nie obchodził.

Był dumny ze swojej pracy. Żałował tylko tego, że tak przelotnie widywał się z rodziną. Po prostu nie miał dość czasu, żeby skutecznie wykonywać tę robotę i spotykać przy tym synów tak często, jak by chciał. Na biurku stało kilka ich zdjęć w ramach. Było to ciężkie wyrzeczenie, ale uczynił je dla kraju. Poświęcił życie większej sprawie, za którą pewnego dnia podziękują. Należał do pokolenia skłonnego poświęcić się dla dobra potomnych, a czyż mógłby

podarować dzieciom wspanialszy prezent niż spokojną i zamożną Rzeszę? Był to podstawowy obowiązek każdego ojca i codzienna motywacja dla niego samego.

Berkel sięgnął po filiżankę wystygłej kawy, ale odstawił z powrotem, przypomniawszy sobie, że kilka godzin wcześniej upuścił do niej papierosa. Poszukał papierosów w kieszeni i zapalił jednego zapalkami, które trzymał na biurku. Popielniczkę miał pełną, więc zamiast niej znowu użył filiżanki. Lampa na biurku rozcięła ciemności, rzucając światło na sterty papierów, nad którymi Berkel miał ślęczeć, kiedy czas mu na to pozwoli. Na dworze było ciemno, ale już cieplej niż przedtem. Śnieg w końcu topniał i większość dróg znów była przejezdna. Rozległo się pukanie do drzwi, Berkel kazał wejść.

– Jak się masz, Danielu? – W drzwiach pojawił się Armin Vogel, agent Gestapo rodem z gospodarstwa pod Eschbach.

– Jestem zapracowany, Armin. Próbuję ustalić, kogo zgarnąć w następnej kolejności. Czy kelner, który powiedział, że przegraliśmy wojnę, jest pilniejszy niż ksiądz odprawiający potajemne msze?

– Brzmi znajomo.

Vogel usiadł naprzeciwko Berkela i zapalił własnego papierosa. Daniel odłożył papiery, zadowolony, że pojawił się pretekst do zrobienia sobie przerwy.

– Jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć.

– Co takiego?

– Na moje biurko trafił raport, który może cię zainteresować. Pamiętam, jak wspominałeś o starej znajomej, na którą się natknąłeś pod koniec roku. Franka Gerber?

– Tak, dawna dziewczyna z czasów, gdy miałem kilkanaście lat. Co z nią?

– Przed kilkoma dniami przyszedł do mnie raport z Sankt Peter. Tuż przed świętami Franka Gerber zachowywała się tam podejrzanie. Potrzebowała kul dla swojego chłopaka, który najwyraźniej połamał się na nartach.

– To prawda? – zapytał Berkel, zaciągając się głęboko papierosem. – Mówiła, że wraca do Monachium.

– Ach. Cóż, jest tutaj. Parę dni temu jeden z moich ludzi legitymował ją w miasteczku. Wszystko wydawało się w porządku, ale pomyślałem, że ci powiem. To pewnie nic takiego...

– Ale na podejrzliwości polega nasza praca.

– Właśnie. Wcześniej bym ci powiedział, ale jestem równie zapracowany jak ty.

– Rozumiem, dzięki. Wiem, gdzie ona może być. Powinienem złożyć jej i

temu jej kawalerowi wizytę, skoro drogi są już prawie przejezdne. Nie ma nic zdrożnego w odwiedzeniu starej przyjaciółki, nieprawdaż?

– Absolutnie.

Vogel wstał i zasalutował, Berkel odwzajemnił salut.

Kiedy tamten wyszedł, Daniel wrócił na miejsce i odczekał kilka minut, po czym udał się do piwnicy. Dobrze wiedział, gdzie leżała jej teczka, poszedł prosto po nią. W jego dłoni zdawała się lekka – dzieło całego życia streszczone w kilku liniijkach, które przeczytał już tyle razy, że właściwie nie musiał już na nie patrzeć. Powiedziała, że wyjeżdża. A jednak ciągle tu była. Po co jej kule? Inne sprawy, nad którymi pracował, musiały poczekać.

\*\*\*

Styczeń był cieplejszy, niż się spodziewano, a auto Franki prawie już zrzuciło okowy. John gimnastykował się, na ile potrafił, gdy przyszła z opałem do domu. Tupiąc, strząsnęła z butów śnieżną breję i zawołała do niego, dając znać, że przyszła. Pojawił się po kilku sekundach.

– Jeszcze kilka dni i będziemy mogli zobaczyć, jak tam twoje nogi – powiedziała. – Najgorsze masz już za sobą.

– Dzięki tobie – odparł, zanim wyszła wnieść opał. Wciągnęła do domu wyładowane drwami sanie. John robił, co mógł, żeby jej pomóc, ale Franka, jak zwykle, kazała mu usiąść. Posortowała opał, najbardziej wyschnięte kawałki wrzucając do koszyka przy kominku. Był dwudziesty pierwszy stycznia. Do sześciu tygodni, przez które, jak nalegała, John miał nosić gips, pozostały cztery dni. Wtedy on odejdzie i nigdy więcej już się nie spotkają. Franka stanie się dla niego kolejną z wielu twarzy, które zawędrowały w jego życie, a potem z niego uleciały. Lynch zbliżył się do niej i zaczął przebierać drugą stertę drewna, do której ona jeszcze nie doszła. Trzaskał pomarańczowy ogień, szło ku wieczorowi.

– Franka, co zamierzasz zrobić, kiedy odejdę?

– Nie jestem pewna, najpewniej poszukam pracy. – Cały czas sortowała drewno. – Na pielęgniarce zawsze będzie popyt, zwłaszcza w czasie wojny.

– Nawet pielęgniarce z taką historią jak twoja?

– Nie powiedziałam, że łatwo będzie zdobyć posadę, ale możliwe, że ogarnie ich taka desperacja...

– Zastanawiałaś się kiedyś nad ucieczką?

– Skąd, ze Schwarzwaldy? Już raz uciekłam – do Monachium.



– Nie, nie ze Schwarzwald. Z Niemiec. Myślałaś o wyjeździe z Niemiec?

Odłożyła grubą na pięć centymetrów gałąź, trzymaną w urękawiczonych dłoniach.

– Jasne, ale dokąd? Przez całe życie nie znałam nic prócz Niemiec. A nawet gdybym miała dokąd jechać, to jak bym się tam dostała?

– Za kilka dni muszę ruszać w drogę. Mogłabyś odejść ze mną.

– Dokąd, do Filadelfii?

– Chciałbym. Jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do domu, ale mogę cię przerzucić przez szwajcarską granicę. Mogłabyś zacząć od nowa. Ktoś o twoich umiejętnościach zawsze będzie potrzebny. Znajdziesz pracę i będziesz bezpieczna.

– Przekroczenie szwajcarskiej granicy nie polega po prostu na tym, że okażesz dokumenty, a chłopcy z Gestapo będą ci życzyć miłego urlopu. Granica jest zamknięta. Nie ma gwarancji, że w ogóle nam się uda.

– Wiem o granicy. Będzie ciężko, co do tego nie ma wątpliwości, ale po co masz tu jeszcze zostawać?

– John, mieszkałam tu całe życie. Co to za pytanie? Tu jest mój dom.

Z trudem wstał na nogi i klnąc półgłosem, ruszył za nią do kuchni. Franka podeszła do kuchenki, by posortować kolejną z przyniesionych stert opału. John usiadł na kuchennym krześle pół metra od miejsca, gdzie klęczała.

– Może się nad tym przynajmniej zastanowisz?

– A co mam robić w kraju, gdzie nikogo nie znam i nic nie mam?

– Mogłabyś być wolna. Zająć od nowa.

– W Szwajcarii?

– Jeśli chcesz, a nawet w Ameryce. Mógłbym wystąpić dla ciebie o wizę.

– Jak zamierzasz w środku wojny załatwić wizę obywatelce Niemiec?

– Mam wpływowych znajomych. Jeśli ojciec tego nie załatwi, to mój szef już na pewno.

Światło na zewnątrz prawie już ściemniało, Franka wstała, by zapalić lampę naftową.

– Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem. Czego się tak boisz?

– Nigdy nie byłam w Ameryce. Nie znam żadnych Amerykanów oprócz ciebie.

– Muszę cię ostrzec, że nie wszyscy są tak wspaniali jak ja.

– A czy wszyscy są tak pewni siebie? Z taką pewnością mówisz o przejściu przez granicę, a nawet nie możesz chodzić.

– Nogi mnie nie bolą. Sama mówiłaś, że dobrze się goją. Nie mogę tu po

prostu siedzieć i czekać, kiedy już mam mikrofilm. Muszę go dostarczyć do konsulatu w Szwajcarii. Muszę spróbować.

– Czy ty słyszysz, jak to idiotycznie brzmi? Nigdzie jeszcze nie pójdziesz. Ty nie możesz chodzić.

Wstał.

– Pokażę ci. Mogę nie tylko chodzić. Podejdz. – Wyciągnął do niej dłoń, wspierał się na kulach pod pachami.

– Co robisz?

– No chodź.

Zdjęła rękawice i rzuciła na podłogę, ale nie podała mu dłoni. John wzruszył ramionami i pokazał, żeby szła za nim do salonu. Zbliżył się do radia, włączył. Rozległy się wiadomości po angielsku.

– Co robisz?

– Poczekaj kilka sekund – powiedział John, regulując pokrętelem częstotliwość. – Zawsze tak ci się śpieszy...

Nastawił stację z muzyką.

– Mogę nie tylko chodzić – zaśmiał się. Uniósł ręce, a kule z klekotem upadły na podłogę. – Czy mogę prosić panią do tańca, *Fräulein*?

– Jesteś niepoważny. To niebezpieczne.

Wzięła go za rękę, świadoma, że wciąż ma na sobie stare wełniane palto. John zbliżył do niej swoje ciało, ich twarze dzieliły ledwie centymetry, jedna dłoń Lyncha spoczywała na talii Franki, druga była złączona z jej dłonią.

– Byłem kiedyś niezłym tancerzem – powiedział.

Kołysał się na stopach w przód i w tył, ledwie zdolny utrzymać równowagę. Ciało miał sztywne, Franka powątpiewała, czy umiałby tak balansować, gdyby się jej nie trzymał.

– To widać – zaśmiała się. – Bardzo wdzięcznie się ruszasz.

– Jak bizon ze złamaną kostką.

Był od niej wyższy o jakieś piętnaście centymetrów. Przez kilka sekund oboje milczeli, twarze mieli rozświetlone. Piosenka dobiegła końca, Franka oderwała się od niego.

– Koniec tańców na dziś?

Z zewnątrz usłyszała odgłos wjeżdżającego pod górę samochodu. Wnętrznosci się w niej przewróciły.

– Auto – wyszeptała. – Do kryjówki.

Kule leżały na podłodze. Franka podała je Johnowi, a on bez słowa poszedł do sypialni. Zamknął za sobą drzwi i położył kule na podłodze, podnosząc

poluzowane deski. Silnik samochodu zgasł, reflektory ściemniały, a Franka usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. John wsunął się do dziury pod podłogą, u stóp miał plecak z mundurem Luftwaffe w środku. Pochłonęła go ciemność otworu.

Na pukanie do drzwi Franka zareagowała po kilku sekundach. Kubek z kawą Johna stał przy kominku. Jego książka. Żadnych innych śladów jego obecności. Byli ostrożni. Cały jego dobytek leżał razem z nim pod podłogą. Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi. Gdy tylko otworzyła, do środka wpadło wycie wiatru. Berkel był sam.

– Heil Hitler – powiedział poprzez szalik osłaniający dolną połowę twarzy.

– Heil Hitler – odparła. Zauważyła, że ręka jej drży, i opuściła ją, żeby ukryć w kieszeni.

– Nie zaprosisz mnie do środka, Franka? – zapytał, ściągając szalik.

– Oczywiście, panie Berkel, proszę wejść.

Przecisnął się obok niej i wytarł buty o wycieraczkę, po czym zdjął swój czarny płaszcz. Podał go France, nawet na nią nie patrząc, choć z pewnością zauważył haczyki na płaszczu o kilka cali od swojej twarzy. Miał na sobie pełny mundur Gestapo, łącznie z medalami za wybitną służbę w obronie Rzeszy. Franka odwiesiła jego płaszcz. Berkel tymczasem poszedł do salonu i w chwili, kiedy go dogoniła, rozglądał się po znajomym wnętrzu.

– Niesamowite – powiedział, kręcąc głową. – Ile to już minęło, osiem lat? Zupełnie się tu nie zmieniło, poza tym, że na ścianie nie ma zdjęć.

– Mogło być osiem.

– Mnóstwo wspomnień. – Ściągnął czarną czapkę.

– W rzeczy samej – tylko tyle zdołała wykrztusić.

– Cóż, nie poczęstujesz mnie filiżanką kawy?

– Oczywiście, ależ jestem niewychowana...

Poszedł za nią do kuchni i stanął oparty o futrynę.

– Sporą niespodzianką było dla mnie słyszeć, że wciąż tu jesteś. Wydawało mi się, że przed świętami miałaś wrócić do Monachium.

Franka postawiła czajnik na piecu i odwróciła się, by wyjąć filiżankę z kredensu.

– Tak, ale zmieniłam plany. Śnieg był za gruby, nie mogłam odkopać auta. Postanowiłam zostać jeszcze kilka tygodni.

– Widzę, że wóz już masz swobodny. A drogi od paru dni są już otwarte.

Odwróciła się do niego, prawie czuła w sobie przeszywające spojrzenie jego oczu.

– Tak, najwyższa pora, żebym wyjechała. Chyba się rozleniwiłam.

John uspokoił oddech, trzymając dłoń na piersi, by jakoś stłumić bicie serca. Niewyraźne głosy z kuchni można było rozpoznać jako rozmowę, ale nie zdołał rozróżnić więcej niż kilku słów. Położył dłoń na plecaku, sięgając po pistolet. Dotyk chłodnego metalu zdradził mu, że znalazł.

– Pewnie czułaś się tu samotna przez cały ten czas – ciągnął Berkel. – Zawsze byłaś taką towarzyską dziewczyną.

– Po tym, co stało się z ojcem, potrzebowałam trochę czasu dla siebie. Ten dom to idealne miejsce, żeby się oderwać.

– Zaiste. – Pokiwał głową. Przyglądał się jej przez kilka sekund, gdy nalewała wrzątek do kubków. W zimnym powietrzu kłębiła się para. – Dziękuję, Franka – powiedział, gdy podała mu kawę. – Moglibyśmy wrócić do salonu? Mamy mnóstwo do nadrobienia.

– Oczywiście – odparła. Uśmiech prawie ją zabolął.

Daniel zaprowadził ją znów do salonu i usiadł przy kominku, w miejscu, które przed kilkoma minutami zajmował John. Jego książka, *Na zachodzie bez zmian*, leżała otwarta, okładką do góry, na stoliku obok Berkela. Wystarczyłoby, żeby posłać Frankę na kilka nocy do aresztu. Daniel pociągnął łyk kawy i odstawił filiżankę przy starym, wytartym tomie. Franka siedziała naprzeciwko, starając się odwrócić jego uwagę od książki. Berkel rozsiadł się w fotelu bujanym, splótł palce na brzuchu. Czapkę miał na kolanach.

– Tak, tyle wspomnień... A jednak dobrze się bawiliśmy, prawda?

Franka skinęła głową, która wydawała się jej przymocowana stalowymi drutami.

– Byliśmy tacy młodzi – ciągnął. – To prawie nierealne. Mówi się, że młodzi marnują młodość, ale chyba nie do końca się z tym zgadzam. A ty?

– Żałuję wielu decyzji, które podjęłam jako młoda i głupia. Chyba rozumiem, skąd się wzięło to powiedzenie.

– Raczej już się nie zgadzam z takim podejściem. To znaczy, zawsze się zdarza, że młodzi robią głupstwa, ale w mojej pracy człowiek uświadamia sobie, że nie trzeba być młodym, żeby się zachowywać jak idiota. Widzę to co dzień. W zeszłym tygodniu przesłuchiwałem człowieka po czterdziestce, ojca piątki dzieci, który zaczął po pijanemu wykrzykiwać do wszystkich naokoło, że Führer nie spocznie, dopóki wszyscy co do jednego nie pójdą do piachu. Nazwał Führera kłamcą, łajdakiem, nawet mordercą. Uwierzyłybyś, że ktoś mógłby zrobić coś takiego?

– Trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby w ogóle pomyśleć o czymś takim.  
– Na szczęście znalazło się mnóstwo ludzi chętnych postąpić właściwie. Zeznania miałem chyba od dziesięciu różnych świadków. Pocieszające jest wiedzieć, ilu tam było lojalnych Niemców i jak bardzo liczba dobrych ludzi przewyższa czarne owce wśród nas. – Znów upił łyk kawy i położył czapkę na stole, gdzie przedtem stał kubek. – Jeden z nowo przyjętych zmiądzzył chłopu palce w dwóch metalowych sztabach i wyrwał mu paznokcie. Facet szybko się przyznał. Myślę, że mój człowiek zrobił to, żeby jakoś się zemścić za mówienie takich rzeczy o Führerze. Do takich spraw podchodzimy osobiście.

– To ważna rola. – Franka przycisnęła dłonie do ud, żeby stłumić ich drżenie.

– Bardzo ważna. Jesteśmy jedyną siłą, jaka stoi pomiędzy Rzeszą a jej wewnętrznymi wrogami. Wojna w naszej ojczyźnie rozpoczęła się na długo wcześniej niż ta przeciw aliantom i dzień po dniu ją wygrywamy.

Franka chciała coś powiedzieć, ale jej wargi pozostawały nieruchome. Słowa nie chciały się wydobyć.

– Cóż, staliśmy się oboje całkiem różnymi ludźmi, nieprawdaż? – zapytał.

– Doprawdy?

– Och, jestem co do tego przekonany. Byliśmy kiedyś do siebie tak bardzo podobni.

„Ja rozpoznałam zło. Ty je przyjąłeś, stałeś się z nim jednością”.

– Ale teraz – ciągnął – wielu ludzi mogłoby powiedzieć, że uosabiasz te właśnie bolączki, które staram się wykorzenić z Rzeszy. Niektórzy by nawet powiedzieli, że uosabiasz najgorsze, co w naszym społeczeństwie.

Franka pokonała strach, czający się, by nią zawładnąć. Ten człowiek miał nad nią władzę absolutną. Mógłby ją stąd wyciągnąć i wtrącić do celi, a nikt by się nawet nie dowiedział. Mógłby ją zabić od niechcienia i nikt by nie zakwestionował jego motywów. Tu nie było mowy o postępowaniu sądowym ani o wyższej instancji. Narodowi socjaliści uczynili Daniela Berkela bogiem, a on wykorzystywał swą moc, jak uważał za stosowne.

– Chciałabym mieć świadomość, że w Rzeszy ciągle jest miejsce dla ludzi takich jak ja, którzy popełniają błędy. Odsiedziałam wyrok...

– Nie powiedziałem, że to ja tak uważam, Franka – odparł Berkel, śmiejąc się pod nosem. – Och, zawsze byłaś takim głuptasem. Nic dziwnego, że łatwo cię było zwieść na manowce.

– Byłam zdezorientowana. Po śmierci brata trudno mi było rozeznąć, co jest dobre, a co złe.

– Tak, słyszałem o tym – odparł, wpatrując się w palenisko. Płomienie

rozświetlały mu oczy, gdy z powrotem skierował je na Frankę. – Niefortunna, ale konieczna sprawa.

– Konieczna? – Poczuła, jak wzbierają jej prawdziwe uczucia. Wzmianka o Fredim była oliwą dolaną do migoczącego w niej ognia urazy. Walczyła z gniewem, by nie dać mu wybuchnąć.

– Oczywiście – stwierdził Berkel – Sam Führer jako pierwszy stwierdził, że bardziej miłosiernym wyjściem będzie przerwać cierpienia nieuleczalnie chorych, kalek i idiotów. Darmozjadów, którzy odbierali żywność dzielnym żołnierzom walczącym o naszą wspólną przyszłość, należało wyeliminować. Był to tylko i wyłącznie zdrowy rozsądek oraz ważna część polityki higieny rasowej, która pozwala naszej ojczyźnie powrócić na należne jej miejsce wśród największych mocarstw świata.

– Wybacz pan, panie Berkel – powiedziała.

Wstała i wyszła do łazienki. Oparła się plecami o zamknięte drzwi, pozwoliła, by popłynęły łzy, całe ciało jej drżało. Musiała to znieść. Nie chodziło już tylko o nią. Głowę zalewały jej paranoiczne myśli o człowieku, który w Stuttgarcie częstował ją papierosem. Czy Berkel w jakiś sposób dowiedział się o mikrofilmie? Czy przyjedzie więcej gestapowców? Może igrał z nią przed aresztowaniem?

„Nie, to niemożliwe. On nic nie wie. To twoja sprawa się z tym uporać”.

Franka sięgnęła po ręcznik i otarła łzy. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wzbierająca nienawiść może zaćmić jej osąd sytuacji. Próbowwała odepchnąć ją na bok. Kiedy znalazła się w salonie, Daniel wciąż siedział przy kominku. Jego spojrzenie wydawało się do niej przyklepione, gdy wracała na swoje miejsce naprzeciwko niego.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, panie Berkel, szczególnie o tej nocnej porze?

– My, obrońcy Rzeszy, pracujemy całą dobę. Bunt nigdy nie śpi. I proszę, mów mi po imieniu. Łączy nas tak wiele wspólnej przeszłości... Każde z nas na zawsze zostanie częścią życia drugiego.

Poczuła się, jakby pod skórą łążyły jej karaluchy.

– W porządku, Danielu. Czym ci mogę służyć tej zimowej nocy?

– To nie jest wizyta towarzyska, choć chciałbym mieć czas na takie rzeczy.

Czy jesteś tu sama, Franka?

– Naturalnie. No, oprócz ciebie, ale tak, jestem sama.

– I byłaś sama przez cały ten czas, który tu spędziłaś?

– Oczywiście.

Berkel sięgnął po filiżankę i znów napił się kawy.

– A więc dla kogo miały być kule?

Ciało jej zeszywniało.

– Och – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Dla mojego chłopaka. Spędził tu kilka dni, ale wyjechał. Powinnam była ci o nim powiedzieć. Czasami bywam taka roztrzępana...

– To dziwne, że ciągle powtarzasz, że jesteś roztrzępana. Przyznam, że sądzę zupełnie inaczej. Znam cię i od zawsze uważam za ogromnie inteligentną i wytrwałą. Na pewno nie za idiotkę czy kogoś, kto da się łatwo sprowadzić na manowce. – Odstawił filiżankę. – A co to za chłopak?

– Nazywa się Werner Graf. Pochodzi z Berlina i jest pilotem w Luftwaffe.

A co, jeżeli znajdzie Johna – czy zdołają utrzymać jego legendę? Nie, skoro chował się pod podłogą. Nie mogła się z niczym zdradzić. Kłamstwo było dla niej jedyną szansą, ale tego człowieka wyszkolono, aby demaskował kłamców, i Franka miała pewność, że sama też zostanie zdemaskowana.

– Luftwaffe, co? – zapytał. – Dziwi mnie, że któryś z naszych dzielnych pilotów zniżyłby się do obcowania z taką dziwką jak ty.

– On... wyjechał przed kilkoma dniami – powtórzyła.

– Pokazałaś mu ten swój śliczny tyłeczek, co? Oszukałaś go, że jesteś lojalną Niemką, a nie zdradziecką dziwką?

Sięgnął po książkę leżącą na stoliku.

– Patrzcie no. Dziwka czyta zakazaną książkę. Wiesz, że to mi wystarczy z nawiązką, żeby cię zgarnąć?

– To stara książka, Danielu. Tylko ją przeglądałam. Tak bardzo przepraszam...

Szarpnęła się w tył na krześle i spojrzała ku drzwiom. Wiedziała, że nie uda jej się dobiec.

– Okłamałaś mnie. Jak teraz mogę wierzyć choćby jednemu twojemu słowu?

– Nie chciałam o nim mówić, przez wzgląd na naszą wspólną przeszłość. Nie chciałam, żeby nasza rozmowa wypadła niezręcznie.

– Jestem agentem Gestapo. Wydaje ci się, że stawiam osobiste uczucia ponad dobrem śledztwa?

– Oczywiście, że nie, ale ...

– Muszę przyznać, Franka, że zawiodłem się na tobie, ale to już od dawien dawna. Odkąd odwróciłaś się plecami od słów Führera i przesiąknęłaś liberalnym myśleniem.

– Zawsze tyle o tobie myślałam, Danielu. Po prostu nie nadawaliśmy się dla

siebie nawzajem.

– Bo byłaś lepsza ode mnie? I co, kto jest teraz lepszy? Wiesz, co robiłem z ludźmi, którzy mnie okłamywali? Wiesz, co mogę zrobić tobie, tu i teraz?

– Oczywiście, Danielu, ale odbyłam wyrok, wyciągnęłam naukę. Masz przy sobie zdjęcie żony i dzieci? Chętnie bym je obejrzała.

Wstał, nachylając się ku niej.

– Jak śmiesz o nich wspominać, ty podła dziwko?! Jakim prawem wycierasz nimi swoją paskudną gębę?!

Franka wstała i zaczęła się cofać, czując, jak ogarnia ją strach.

– Danielu, proszę...

– Jesteśmy tu tylko we dwoje. Nikogo więcej w promieniu kilometrów. – Powoli sunął ku niej, a ona oddalała się, ale nieco ponad pół metra za plecami miała ścianę, która odcinała jej drogę ucieczki.

– Posłuchaj głosu serca. Jesteś dobrym człowiekiem. Świetnym ojcem, oddanym ojczyźnie i dzieciom. A ja jestem Niemką. Nie rób tego.

– Jesteś bezużyteczną kurewką, która nadaje się tylko do jednego: rozkładania nóg. Byłaś najcudowniejszą dupą, jakiej w życiu próbowałem.

Ściany chaty wydawały się zaciskać wokół Franki, wzrok jej pociemniał. Stary rewolwer ojca leżał w szafce przy frontowych drzwiach, ta jednak wydawała się odległa o wiele mil. Franka wrzasnęła, gdy Berkel rzucił się na nią, złapał za ramiona i wbił palce w jej mięśnie, jakby zaciskał szpony na zdobyczy.

– Będzie z ciebie niezła kochanka. Może nawet pozwolę ci tu zostać i co kilka dni przychodzić z wizytą. W przeciwnym razie zabiorę cię ze sobą, zamknę w celi i pozwolę cię brać każdemu, kto zechce. Wybór należy do ciebie.

Zbliżył się. Franka odwróciła twarz, prawie wymiotując, gdy przejechał językiem po jej policzku. Próbowwała go kopnąć kolanem i trafiła w udo, udało jej się go odepchnąć.

– Lepiej mnie zabij!

– Da się zrobić.

Odsadziła się od niego przez całą szerokość pokoju, ale Berkel znów chwycił ją za ramiona i zaciągnął do sypialni – tej samej, w której spali jej rodzice owego ciepłego lata 1934 roku. Wyrывała się, kopiać i drapiać, zadrasnęła go w policzek do krwi. Siłą otworzył pokój i cisnął Frankę na łóżko, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

– Patrzcie no, stawiasz opór. Zawsze to ciekawiej.

Franka znów wrzasnęła, a on przygniótł ją do łóżka i zdarł z niej sukienkę,



odsłaniając bieliznę. Usiłowała jeszcze raz go podrapać, ale spoliczkował ją brutalnie otwartą dłonią. Oszołomiona leżała na łóżku przed Berkelem, który zaczął rozpinąć pasek. Drzwi sypialni otworzyły się z trzaskiem. Wpadł John z kulą w jednej ręce, a lśnieniem pistoletu w drugiej. Berkel obrócił się i sięgnął po broń, lecz właśnie wtedy Lynch uderzył drugą ręką, trafiając go nad lewym okiem. Kula padła na ziemię. Berkel rzucił się ku przeciwnikowi, zaryczał pistolet, pocisk przebił tylną ścianę. John oparł się o futrynę, Daniel siłował się z nim. Kopnął gips pokrywający jego nogę i wykręcił mu dłoń. Amerykanin runął przez otwarte drzwi do salonu. Pistolet padł na deski, a Berkel sięgnął do kabury po własny. Franka rzuciła mu się na plecy, pod jej ciężarem runął na podłogę. John rzucił się gestapowcowi do gardła, zatapiając mu kciuki w tchawicy, lecz Berkel odtoczył się w bok. Lynch ponownie skoczył ku niemu, ale agent był szybszy. Wstał, znów sięgając po pistolet.

– A więc to jest ten twój kawaler, Franka, czyż nie? – zaśmiał się, rozpinając kaburę.

John wyciągnął rękę po własną broń, leżącą o metr od niego, lecz Berkel miał go już na muszce. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy palec zaciskał mu się na spuście.

Pierś Berkela wybuchła. Pistolet wypadł z ręki, gdy gestapowiec odwrócił się z żalną, pełną zdumienia miną. Franka stała za nim, trzymając dymiący rewolwer ojca.

– To nie mój kawaler, Danielu. To aliancki szpieg. I miałeś rację, zawsze dobrze wiedziałam, co robię.

– Ty nędzna...

Franka nacisnęła spust, nim Berkel zdołał dokończyć swoje ostatnie zdanie w życiu. Pocisk trafił go w pierś tuż poniżej odznaczeń. Upadł na kolana, a potem zwałił się plecami na podłogę.

– Ty świnię – zaszlochała Franka. – Ty niemożliwy łajdaku.

Krew Berkela rozlewała się po podłodze w prawie idealnym kręgu szkarłatu. Oczy miał wciąż otwarte, spojrzenie wbite w sufit.

– Franka? W porządku? Nic ci nie jest?

John wstał, opierając się o ścianę, by dotrzeć do dziewczyny. Nie poruszyła się, wciąż celowała w miejsce, gdzie chwilę wcześniej stał Berkel. John zabrał jej rewolwer, odłożył go i wziął Frankę w ramiona.

– Gestapo po nas przyjdzie – powiedziała, także go obejmując. – Już wiedzą, że tu jesteś. Nie wydostaniemy się żywi z Niemiec. Nigdy nie przekażesz mikrofilmu aliancom.

– Najpierw muszą nas złapać.

Oparła o niego głowę, łzy znów popłynęły.

– Ryzykowałeś dla mnie całe swoje zadanie. Dlaczego?

– Żadne zadanie nie jest warte tego, żeby stać z boku, pozwalając, żeby to się stało – odparł. – Zrobiłbym to jeszcze i tysiąc razy. Nikomu nie pozwoliłbym cię skrzywdzić.

## ROZDZIAŁ 13

Franka spoglądała na zbryzganego krwią trupa pośrodku salonu. Nazistowska opaska na ramieniu była przesiąknięta czerwienią, mundur zakrwawiony i rozdarty, pasek ciągle rozpięty. Miała ochotę znów do niego strzelić.

John sięgnął po kulę leżącą na podłodze. Objął Frankę ramieniem i zaprowadził do kuchni. Drżała, kiedy sadzał ją na krześle. Dotknął jej twarzy. Wtuliła się w jego dłoń, kładąc na niej swoją.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie, to ty mnie uratowałaś. Znowu. Przykro mi tylko, że tyle czasu się stamtąd gramoliłem. – John głęboko odetchnął. – Ale masz rację, przyjdą go szukać. Musimy uciekać jeszcze dziś w nocy.

– Musimy?

– Nie zostawię cię samej. Bez ciebie nie dam sobie rady. Jesteś mi potrzebna. Dla zadania też jesteś potrzebna.

– A twoje nogi?

– Będziesz musiała rozkuć gips. Mocno trzyma. Walcząc z tą kanalią, w ogóle nie czułem bólu.

– Teraz będą mnie poszukiwać. Lepiej ci będzie iść samotnie. O tobie nic nie wiedzą.

– Zawdzięczam ci życie. Idziesz ze mną. Nie odejdę bez ciebie. Wolalbym spróbować i zginąć, niż cię zostawić.

Franka zdjęła sobie jego dłoń z twarzy.

– Powinieneś wziąć mój samochód. Papiery masz w porządku. Możesz spróbować się prześliznąć przez granicę, kiedy już uda ci się tam dojechać.

– Przestań. Zrozum, że nie wyjadę bez ciebie. Jeśli będzie trzeba, zarzucę cię sobie na ramię, a ty będziesz kopać i krzyczeć – ale idziemy razem.

– W porządku. – Pokiwała głową. – Razem.

– To dobrze, potrzebuję cię.

– A ja ciebie.

– Zatem postanowione. Najpierw trzeba zdjąć ten gips. Potem spakujemy wszystko, co będzie nam w podróży niezbędne. Na drogach będą nas szukać, więc musimy jechać przez lasy. To nasza jedyna szansa.

– Zimą?

– Nie mamy wyjścia. Za to mamy przewagę na starcie. Jest prawie dziewiąta. Zdaje się, że dla naszego przyjaciela na podłodze nie było niczym niezwykłym zostawać całą noc w pracy, nie mówiąc o tym żonie, więc najpewniej nie zateśknią za nim jeszcze przez jakieś dwanaście godzin. Ale jestem pewien, że komuś powiedział, że tu się wybiera. Musimy wyszorować dom i ukryć ciało, żebyśmy byli już daleko, zanim się zorientują, co zaszło. Do szwajcarskiej granicy mamy około osiemdziesiąt kilometrów. Ile zdołamy przebyć bocznymi drogami, jadąc całą noc?

– Może połowę drogi. Po ciemku będzie trudno.

– Nie bardzo mamy wybór. Za daleko, żeby iść piechotą. Musimy spróbować przejechać, ile się da. Teren będzie trudny. Na piechotę pokonamy nie więcej niż piętnaście kilometrów dziennie. – John wyciągnął dłonie i wziął ją za ręce. – Franka, to będzie niesamowicie trudne, ale razem mamy szansę.

– Znam miejsce, na które możemy się orientować, można tam urządzić postój.

– Franka, nikomu nie możemy ufać...

– Mój stryjeczny dziadek Hermann mieszka we wsi Bürchau. To około czterdzieści kilometrów na południe stąd, pomiędzy nami a Szwajcarią.

John pokręcił głową.

– Wysłuchaj mnie – nalegała Franka. – Ma ponad osiemdziesiąt lat i prawie nigdy nie wychodzi z domu. Nie widziałam go od kilku lat, ale nie darzy nazistów sympatią. Obaj jego synowie polegli w poprzedniej wojnie. Potrzebujemy miejsca, żeby się zdrzemnąć na parę godzin. Nie możemy jechać całą noc, a potem ruszyć z rana na piechotę, nie przy twoich nogach.

– Zastanowię się.

– Wykorzystamy każdą polną drogę i ścieżkę, na której zmieści się auto. Możemy dojechać nad ranem i tam się przespać.

– Co mu powiesz?

– Że zgubiłam się na wycieczce i muszę odpocząć kilka godzin. Nie będzie zadawał pytań.

– A jeżeli będzie?

– Najpierw z nim porozmawiam. Jeśli zacznie cokolwiek podejrzewać, ruszymy dalej.

Poszła do drugiej sypialni. Deski przykrywały dziurę w podłodze, z której wyskoczył John. Zniosła mu drugą kulę, a w drodze powrotnej do pokoju Lynch ominął zwłoki Berkela. Franka pracowała w milczeniu, świadoma, jak ważna jest każda mijająca sekunda. Przecięła nożycami gips na nogach Johna, odsłaniając pomarszczone, pobladłe ciało. Jego nogi były cienkie w porównaniu

z resztą ciała, mięśnie miał zwiotczałe. Wstał.

– Jak nowe – powiedział, ale Franka nie była przekonana. Nogi potrzebowały jeszcze tygodnia, ale czas przeciekał jej przez palce jak woda.

John czuł się jak dziecko przez te kilka pierwszych sekund, rozkoszując się swobodą ruchów, jaką dało mu zdjęcie gipsu. Widok zakrwawionych zwłok Berkela pośrodku pokoju przywrócił go do rzeczywistości.

Poszedł do sypialni, sięgnął pod podłogę i wyciągnął plecak. Miał tam koce, nóż, zapalki, kompas i więcej amunicji, niż potrzebował. Mundur Luftwaffe leżał w głębi dziury, John zwinął go na dnie plecaka. Rozsuniecie ukrytego suwaka odsłoniło plik zwiniętych papierów – jego alternatywną niemiecką tożsamość wędrownego robotnika. John poupychał dokumenty po kieszeniach, choć miał nadzieję, że nigdy mu się nie przydadzą.

– Papiery? – zapytała Franka.

– Nie będą mi potrzebne. Bezpieczniej zabrać ze sobą wszystko, co może świadczyć, że tu w ogóle byłem.

– Co zrobimy z Berkelem?

Czuła się dziwnie, nazywając po nazwisku tego obrzydliwego trupa pośrodku pokoju. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś był to jej chłopak, męzny przywódca Hitlerjugend, za którym oglądały się wszystkie dziewczyny.

– Musimy jak najlepiej ukryć ciało.

– Na dworze? Chcesz go pochować? Ziemia jest raczej ciągle zamrznięta.

– Nie ma czasu. Musimy wyjechać jak najszybciej. Pomóż mi z nim.

John zaprowadził ją z powrotem do salonu.

– Wrzucmy go pod podłogę. W domu zaczną potwornie śmierdzieć, ale nas tu już dawno nie będzie. – John spojrzął na Frankę i zorientował się, że nie powinien był tego mówić. – Tylko tu możemy go łatwo schować. Jeśli zrobią pobieżną rewizję, to może nawet w ogóle go nie znajdą. Potrzebujemy tylko kilku dni. Ukrycie ciała da nam trochę czasu.

Franka starała się nie patrzeć w otwarte oczy Berkela, ale odnosiła wrażenie, że są przyklejone do każdego jej ruchu i śledzą ją po całym pokoju.

Ciało Daniela było jeszcze ciepłe, kiedy złapała go za stopy. John chwycił trupa za ramiona. Widziała, jak próbuje ukryć grymas wysiłku, dźwigając ciężar gestapowca. Krew ciekła na podłogę, pozostawiając szlak wiodący do sypialni. Otwór już czekał. Wrzucili go do środka. Franka zdjęła z wieszaka płaszcz Berkela i rzuciła do dziury, przykrywając zwłoki. Nie czuła żalu, nie martwiła się nawet o jego żonę i dzieci. Bez niego będzie im lepiej na świecie. Ledwo się powstrzymała, żeby nie napluć na ciało. Czuła ulgę, że już nie żył. Pocieszająca

była świadomość, że nikogo już nie skrzywdzi.

John dał jej znak, żeby mu pomogła. Odłożywszy deski na miejsce, znów przesunęli łóżko, żeby je zasłaniało. Franka poszła do kuchni po wiadro wody z mydlinami i następane dwadzieścia minut oboje spędzili, myjąc podłogę, aż nie było już krwi, aż miejsce zbrodni zostało starannie wyczyszczone. Nikogo nie będzie obchodzić, że działała w samoobronie. Wkrótce Franka Gerber stanie się wrogiem publicznym numer jeden, a Gestapo spuści ogary ze smyczy. Granica Szwajcarii była dla nich jedynym zbawieniem.

Podczas mycia niewiele rozmawiali, ale teraz John zabrał ją do kuchni i posadził przy stole.

– Musimy się jakoś pozbyć jego auta. Da się je tu gdzieś schować? Jakaś ścieżka czy lasek w pobliżu, gdzie moglibyśmy je porzucić, żeby go nie znalezione, póki nie będziemy daleko?

– Są różne miejsca.

John rzucił na stolik klucze Berkela.

– Pojadę jako drugi jego samochodem.

Założyli płaszcze i wyszli na zewnątrz. Franka naciągnęła szalik na twarz. Nawet gdyby się zatrzymali u jej stryjeczego dziadka, to przynajmniej jedną noc będą musieli spędzić pod gołym niebem. Śnieg nie padał już co najmniej od tygodnia, dni się ociepliły, ale noce wciąż były śmiertelnie zimne. Oddech buchał z ust białymi kłębam, gdy Franka podniosła wzrok na lśniące nad głowami gwiazdy.

John przeszukał samochód gestapowca.

– Dziękuję, panie Berkel – powiedział.

– Co to?

– Namiot. Mały, ale osłoni nas przed deszczem. Do tego jeszcze apteczka. Poradzimy sobie. Uda nam się.

Schowawszy namiot i apteczkę w bagażniku swojego wozu, Franka wyjechała spod chaty. Przednie reflektory rzucały białe światło, oświetlając co najwyżej zarys drogi i otaczające ją drzewa. John sugerował, aby jechać ze zgaszonymi światłami, ale ustąpił: najwyraźniej sobie uświadomił, że to by było samobójstwo. W mroku nocy prawie niemożliwe było odróżnić jedno miejsce od drugiego. Drogi były przejezdne, ale zdatne bardziej dla sań i narciarzy. Franka nie odważyła się jechać szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, przeczesując myśli w poszukiwaniu kryjówek znanych z dzieciństwa.

Po pięciu minutach dotarli w miejsce, które pamiętała. Była to droga donikąd, być może do nigdy niezbudowanego domu. Franka zatrzymała się na końcu i

poleciała Lynchowi przejechać jeszcze kilkaset metrów. Potem powlekła się za nim, by pomóc rozrzucić na samochodzie gałęzie i liście. Trudno było powiedzieć, jak starannie ukryli mercedesa Berkela – ciemności skrywały prawie wszystko – ale mieli mało czasu. Musiało wystarczyć. Było stąd około półtora kilometra do chaty, do wsi bliżej, ale nikt wtedy nie chodził. W każdym razie nie zimą.

W milczeniu wrócili do samochodu, ledwo zdolni rozpoznać, w którym miejscu stał. Franka wpatrywała się w czerni poza linią drzew.

John zaklął pod nosem, przykrył twarz dłonią.

– Trzeba go było schować w aucie. Przez tę całą panikę nie myślałem jasno.

– Może wrócimy i zabierzemy ciało?

– Za późno. Stracimy za dużo czasu.

– W domu pod podłogą to chyba lepsza kryjówka niż z tyłu jego własnego samochodu? Chata jest tak odosobniona...

– Taka nadzieja musi nam wystarczyć.

Wrócili przed dwudziestą trzecią. Franka trzymała lampę naftową nad podłogą, szukając śladów krwi. John był w kuchni. Mapa leżała już rozłożona na stole, gdy dziewczyna usiadła obok niego.

– Jak dobrze znasz tereny na południe stąd?

– Trochę. Chadzaliśmy wtedy na wycieczki, kiedy miałam kilkanaście lat, ale nigdy w nocy i nigdy zimą. To górzysty teren, częściowo pokryty gęstym lasem.

– Tym łatwiej będzie się tam ukryć – stwierdził John, przesuwając palcem w dół ku szwajcarskiej granicy. Na mapie było to zaledwie kilkanaście centymetrów, do najbliższego punktu około siedemdziesięciu kilometrów przez las. – Strefa przygraniczna rozciąga się w większości kierunków na osiemdziesiąt kilometrów od granicy. Las to nasza jedyna realna szansa. Na drogach i kolejach wokół strefy przygranicznej za dużo patroli. Tak nigdy nam się nie uda.

– A co z samą granicą?

– Już samo dotarcie do niej będzie nie byle wyczynem, ale to dopiero początek problemów. Naziści rozmieścili linię posterunków nasłuchowych w promieniu ośmiu kilometrów od granicy. Pomiedzy nimi patrolują strażnicy z psami. Na drogach i wsiach w tej okolicy roi się od żołnierzy, a na samej granicy szwajcarskiej straż stacjonuje co dwieście metrów, z rozkazami, żeby za dnia sprawdzać każdego, kogo zobaczą, a w nocy strzelać bez ostrzeżenia.

– Dlatego chciałeś przerzucić Hahna przez góry na południe od Monachium.

– Właśnie, dotarcie tam nie byłoby bułką z masłem, ale góry dają możliwości,

których tu nie mamy.

– A tam nie możemy się stąd dostać, bo niedługo będę poszukiwana za morderstwo.

– Otóż to. Moglibyśmy spróbować się przedrzeć, zanim znajdą trupa, ale musimy zakładać, że powiedział komuś, dokąd jedzie. Najdalej jutro zaczną cię szukać w celu przesłuchania. Tamtędy nie damy rady. Las to nasza jedyna szansa.

– A kiedy już będziemy na granicy?

– To spróbujemy szczęścia. Prześliźniemy się i będziemy wolni.

– Szczęścia? Na tym polega nasz plan?

– Nie na tym polega plan, ale będzie potrzebny solidny łut szczęścia, żeby się przedostać.

– Ale jest jakieś miejsce, na które mamy się orientować?

– Tak, koło Inzlingen, ale lepiej się skupić na przeżyciu wystarczająco długo, żeby tam dotrzeć.

– Nie, John – powiedziała, sięgając ku niemu. – Byłoby ci o wiele łatwiej, gdybyśmy wyruszyli osobno. Ty mógłbyś dotrzeć do granicy pociągiem. Ze swoimi papierami...

Odtrącił jej dłoń.

– W porządku. Zgromadź tyle jedzenia, ile zdołamy unieść. Zaczynj od lżejszych rzeczy: chleba i sera. Zapakuj tego, ile zdołasz. Następnie weźmiemy trochę konserw. Zabierz wodę i otwieracz do puszek. Ja mam zapalki, krzemienie i wezmę parę noży kuchennych. Mam też śpiwór, ale chciałbym, żebyś zabrała jeszcze co najmniej dwa koce. Załóż najcieplejszy płaszcz i kapelusz. Weź całą zapasową amunicję do rewolweru i tyle pieniędzy, ile ci wpadnie w ręce. Jeśli dopisze nam szczęście, może nam się uda przekupić strażnika, żeby nas przepuścił przez granicę. Ile mamy benzyny w samochodzie?

– Może z pół baku.

– Powinno wystarczyć. Musimy podejść jak najbliżej granicy bez używania głównych dróg. Na najczęściej używanych będzie się roić od strażników, nawet nocą. W żadnym wypadku nie możemy dopuścić, żeby nas zatrzymano, zwłaszcza kiedy się zorientują, że Berkel zniknął. Nie bierz kosmetyków ani więcej niż jednej zmiany odzieży. Będą nas tylko obciążać. Spakuj tylko to, co możesz udźwignąć, poczynając od jedzenia i wody.

Złożył mapę i wstał.

– Poradzimy sobie. – Wyciągnął rękę, Franka ją uchwyciła. – Nie ma czasu do stracenia. Możemy się stąd zmyć w piętnaście minut?



– Możemy.

John czuł w nogach słabość. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie zaznał. Zastanawiał się, czy w razie potrzeby będzie w stanie biec, a co dopiero mówić o wędrowce przez zasypane śniegiem lasy. Zawsze dotąd był w stanie zdać się na swoje ciało – czy chodziło o wrzucenie do kosza piłki rozstrzygającej mecz, czy o wspinaczkę po ścianie na szkoleniu podstawowym. Miał nadzieję, że i tym razem ciało go nie zawiedzie, kiedy będzie najbardziej go potrzebował. Nie mogło się tak stać, gdy ktoś inny zdawał się na niego i kiedy od jego ciała zależał los całego zadania. Lynch udał się do sypialni, rozkoszując się uczuciem siedzenia na łóżku, świadom, że na jakiś czas będzie to dla niego ostatnia chwila takiego komfortu. Wrzucił mikrofilm do ukrytej kieszonki w plecaku i z powrotem zasunął suwak. Pistolety były wyczyszczone, jeden wepchnął do kieszeni płaszcza, drugi umieścił w plecaku. John wstał, był już gotowy. Rozejrzał się ostatni raz po pokoju, potem rzucił okiem w dół, na drewnianą podłogę, myśląc o rozkładającym się ciele oficera Gestapo, które schowali pod spodem. Pokój wydawał się czysty – po pobieżnych oględzinach nic nie zdradzało tego, co się tu zdarzyło. Lynch zabrał lampę naftową, pozostawiając za sobą tylko ciemność.

Franka spakowała do plecaka lżejsze jedzenie, pozostawiając konserwy i butelki wody na kuchennym stole. John zmieścił je we własnym plecaku, czując, że ciężar się podwoił. To w dalszym ciągu było nic w porównaniu z Guadalcanalem czy nawet szkoleniem. Mógł to znieść.

Gdy wyszedł na zewnątrz, niebo było czyste. Brak chmur oznaczał brak śniegu, ale też brak izolacji. John spędził już w Niemczech prawie sześć tygodni, ale rozmawiał tylko z jedną osobą i prawie nie wychodził z chaty. Przyszedł dla niego czas zakończyć zadanie.

Franka zwinęła swoją zmianę ubrań i włożyła do starego plecaka, którego od dziesięciu czy więcej lat nikt nie ruszał. Dłonie wciąż jej drżały, może przez to, co się zdarzyło, a może na myśl o tym, co dopiero się zdarzy. Trudno było rozróżnić, gdzie kończyło się jedno uczucie, a zaczynało drugie. Znowu powtórzyła sobie w głowie trasę. Jako młoda dziewczyna zimą jeździła tymi bocznymi drogami na nartach, a w ciepłe letnie dni spacerowała. Ale nigdy nie jechała tamtędy samochodem. Były to nawet nie tyle drogi, co zaledwie sugestie korytarzy wiodących przez las. Nie miała za bardzo pojęcia, jak daleko mogą zajść, ale wiedziała, że nie ma innej możliwości. Gestapo nie daruje zabicia jednego ze swoich.

Plecak był gotowy, zarzuciła go na ramiona. Wiele ważył, ale dźwigała już cięższe ładunki. Obdarzając pokój ostatnim spojrzeniem, uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej nigdy więcej go nie zobaczy. To, co powszednie, nagle stało się drogocenne. Wypłowiła tapeta była teraz wspaniałym obiciem, każdy mebel – strażnikiem drogocennego klejnotu pamięci, stara szczotka do włosów na toaletce – rodzinną pamiątką, którą należało hołubić i przekazywać z pokolenia na pokolenie. To właśnie tu spędzili ostatnie lato z matką.

Salon nie dawał wytchnienia od bombardujących ją uczuć. Ujrzała tam ojca siedzącego w fotelu przy kominku, matkę reagującą śmiechem na jeden z jego kawałów z brodą. I Frediego. Bawił się kolejką na podłodze, nogi miał jeszcze dość solidne, by chodzić, a serce mocne, jak pozostało aż do końca. Franka zrobiła krok ku drzwiom, czując na twarzy zimny wietrzyk. John stał przy samochodzie. Wiedziała, że zostały jej już tylko sekundy. Na ścianie wciąż widniały ciemne plamy, zegar z kukułką odezwał się ostatni raz. Była jedenasta w nocy. Franka wróciła do biblioteczki. Zdjęcia leżały w pudełku na dolnej półce. Chciała je zabrać, ale zmieniła zdanie. Schyliła się, by wygrzebać kilkanaście czarno-białych fotografii rodziny, które pozdejmowała ze ścian. Jeszcze raz, już ostatni, Franka się rozejrzała i ruszyła ku drzwiom.

John zajął miejsce w fotelu pasażera, a Franka usiadła za kierownicą. Samochód parsknął kilka razy, zanim zapalił. Zjechała w dół wzgórza, nogę cały czas trzymając na hamulcu. Promienie światła z reflektorów przebijały mrok, oświetlając drogę na jakieś dwadzieścia metrów naprzód. Opony orały ziemię w poszukiwaniu przyczepności, samochód z warkotem zsuwał się ze wzgórza.

– Wiesz, którądy jechać?

– Przez kilka pierwszych kilometrów tak, ale dalej będziesz musiał mi pomóc.

John wyjął z kieszeni mapę i małą latarkę. Na papierze zabłyśły kręgi zielonkawej bieli, kiedy Lynch wodził po nim światłem. Wyczerpanie dawało o sobie znać, ale Franka zlekceważyła je jako błahostkę. Sen był luksusem, na jaki nie mogli sobie pozwolić.

Mijały godziny, a oni podróżowali w milczeniu, samochód sunął wolno, nie przekraczając trzydziestu kilometrów na godzinę. John wyglądał przez okna z każdej strony, trzymał w dłoni pistolet. Wybierali ścieżki biegnące mniej więcej we właściwym kierunku, ale czasami zakręcały, by kończyć się nagle w miejscach, gdzie odrosły drzewa, więc trzeba było się cofać i co najmniej raz brakowało miejsca, żeby zawrócić. Las wydawał się zdecydowany odebrać swoje drogi, które wtargnęły na jego terytorium. Szlaki zapamiętane przez Frankę z dzieciństwa były teraz nie do przebycia dla nikogo prócz najbardziej

zawziętych wędrowców. Świat ludzi zdawał się oddalać, gdy coraz bardziej zagłębiali się w las. Było to mile widziane uczucie – wytchnienie.

Franka przerwała milczenie, gdy dotarli w miejsce, które wyglądało na kolejny ślepy zaułek. Czerń drzew zdawała się ich okrążyć. Była prawie piąta rano.

– Możemy jechać dalej? – zapytała.

– Może, jeśli zawrócimy. Mapa jest niewyraźna.

– Gdzie teraz jesteśmy?

– Bürchau chyba leży prosto za tym wzgórzem przed nami.

Już od kilku lat nie odwiedzała stryjecznego dziadka. W dawnych latach wykrzykiwała pozdrowienia do tutejszych rolników, mijając ich na rowerze. Ale narodowi socjaliści wytepili resztki zaufania u ludzi, których jakoby chronili. Z zaufania rodziła się wolność słowa, a tej naziści bali się najbardziej.

– To mała wioska – stwierdził John. – Parę domów na krzyż. Sądzisz, że są tam jacyś strażnicy? A może wojsko?

– Trudno powiedzieć. Jesteśmy głęboko w strefie przygranicznej. Wszędzie tu się roi od żołnierzy.

John ledwo zdołał otworzyć drzwi. Drzewa rosły zaledwie o kilkanaście centymetrów po obu stronach. Szlak, na którym się znaleźli, nie widział pewnie samochodu od lat, jeśli w ogóle. Lynch przedzierał się przez linię drzew, aż dostrzegł w dole domostwa rozsiane na wzgórzach. Księżyc i gwiazdy rzucały światło na spadziste dachy. Nie było żadnego ruchu, idealnej ciemności nie przebijały żadne światła z domów. John odwrócił się i ruszył z powrotem przez piętnaście centymetrów śniegu.

Franka wyłączyła samochód i siedziała na miejscu pasażera.

– Tam na dole żadnego ruchu. – John wgramolił się z powrotem. – Ani światła, ani strażników. Wydaje się bezpiecznie.

W ciemności rysy jej twarzy zlewały się ze sobą.

– Możemy zaufać twojemu stryjowi? – zapytał. – Nie możemy sobie pozwolić na bez troskę.

– Nigdy nie wychodzi, a ja wiem, gdzie trzyma zapasowy klucz.

– Kiedy ostatnio sprawdzałaś?

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym i gwarantuję, że nadal tam jest. Rano z nim porozmawiam. Ty zostań ukryty. Nikt nie musi wiedzieć, że ze mną jesteś, nawet stryjek Hermann.

Wysiedli. Kilka minut spędzili, przykrywając auto gałęziami i liśćmi, aż stało się trudne do dostrzeżenia w ciemnościach. Nie mieli złudzeń – gdyby ktoś

pojawił się na szlaku, zobaczyłby wóz. Zarzucili na siebie plecaki i ruszyli w milczeniu poza linię drzew, w śniegi.

Franka przeprowadziła Johna i zatrzymała się na szczycie górującego nad osadą wzgórza. Lynch przykucnął obok. Noc wokoło wciąż była gęsta, ale w Bürchau nic się nie ruszało. Wioska wyglądała tak, jak ją zapamiętała, nietknięta przez narodowych socjalistów. Dziewczyna czuła otuchę, nie widząc nigdzie ich flag i plakatów. Zupełnie, jakby nie wiedzieli o istnieniu tej miejscowości. Kiedy Franka ostatnio odwiedziła Bürchau, mieszkało tu pięćdziesiąt osób i wątpiła, by wiele z nich zostało do tej pory. Schodząc ze wzgórza, dała znak Johnowi, by szedł za nią. Śnieg sięgał do kolan. Kilka minut zajęło im pokonanie niecałych dwustu metrów.

W oddali zaszczekał pies, kiedy znaleźli się u stóp wzgórza. John pochylił się, podchodząc bliżej. Franka, naśladowując jego ruchy, poprowadziła go w dół, do domu wuja Hermanna. Ciotka Lotte zmarła jeszcze w latach dwudziestych. Ojciec Franki mówił, że to przez złamane serce, od opłakiwania synów, których straciła w czasie Wielkiej Wojny.

Franka przyłożyła palec do ust i sięgnęła pod donicę na prawo od drewnianych drzwi frontowych. John skinął głową, wsunęła klucz do zamka. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Znieruchomiała na kilka sekund, nasłuchując. Dom wyglądał identycznie, jak go zapamiętała, tylko stary i podupadły. Poprowadziła Johna w górę po schodach. Wpatrywał się w nich portret ciotki Lotte. Dywan na schodach był poprzecierany, pośrodku poszarzały pod tysiącem kroków. Trzymali się z boku, ale schody i tak skrzypiały. Drzwi do sypialni Hermanna znajdowały się u szczytu schodów. Dało się stamtąd słyszeć jednoznaczny odgłos: chrapanie starszego mężczyzny. Franka przeprowadziła Johna obok sypialni, ku drzwiom na końcu korytarza. Położyła dłoń na klamce, jakby ta mogła się rozlecieć pod jej dotykiem, i z równą ostrożnością przekręciła. Pokój był pełen kurzu, ale poza tym czysty, łóżko nadal posłane.

– Tu sypiał mój stryj Otto – szepnęła. – Możemy tu odpocząć parę godzin.

– A twój stryjeczny dziadek?

– Wątpię, żeby tu wchodził przez ostatnie piętnaście lat. Ja się nim zajmę. Jesteśmy tu bezpieczni.

John zdjął plecak i postawił na krześle w kącie. Zasłony były zaciągnięte, światło poranka jeszcze nie wpadało do środka. Rozsunął je, tworząc wąską szczelinę, i spojrzał na domy w dole. Nie tego chciał, ale musieli odpocząć. Nigdzie nie będzie bezpieczniej. Od długiej wędrówki ku granicy dzieliło ich tylko kilka godzin. Tygodnie spędzone w łóżku znacznie go osłabiły, ogarniało

go wyczerpanie. Dał znać France, żeby zajęła łóżko, a sam położył się na podłodze.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała.

– To nie byłoby właściwe. Dobrze mi będzie na podłodze.

– Potrzebujemy snu. Łóżko jest do tego najlepszym miejscem.

Zdjęła buty i położyła się.

– No chodź – powiedziała, odwracając się plecami.

Poczuła, jak pod jego ciężarem ugina się materac. Przez kilka sekund leżała z otwartymi oczyma, aż ściszony oddech Johna ukołysał ją do snu.

W snach nawiedził ją Berkel – jego palce zaciśnięte na jej gardle, jego ciężar na jej ciele, wściekłość w jego spojrzeniu – aż zmusiła się do przebudzenia. John nadal spał obok niej. Wstał świt. Niebo na zewnątrz miało barwę betonowej szarości. Z parteru dobiegła ją krzątanka stryjecznego dziadka. Ścienny zegar zdradził jej, że niedawno minęło południe. Spali siedem godzin – dłużej, niż by chcieli. Za kilka godzin światło dnia zgaśnie, a nocą podróż przez las stanie się bardziej dyskretna, ale i bardziej ryzykowna. Najpierw Franka musiała zobaczyć się ze stryjem Hermannem – nie tylko dlatego, że inaczej byłoby niegrzecznie, ale również dlatego, że niewątpliwie wciąż miał dubeltówkę, którą mógłby wyciągnąć na pierwszy znak kłopotów. Intruzi w jego domu byłiby pierwszym celem.

John potrzebował tyle snu, ile tylko się dało. Na czystym uporze nie mógł zająć daleko. Franka pozostawiła go śpiącego i skierowała się ku drzwiom sypialni. Gdy weszła do kuchni, Hermann siedział przy stole, jedząc obiad złożony z zupy i chleba. Twarz miał pomarszczoną i zniszczoną jak zgnieciony, a potem rozprostowany papier, wąsy białe, tak samo jak bujną czuprynę. Na jej widok upuścił łyżkę.

– Franka? Skąd ty się tu wzięłaś?

– Wybacz, stryjku. Wybrałam się na wycieczkę i zabłądziłam. Musiałam gdzieś odpocząć przez parę godzin, a wiedziałam, że nie będziesz mieć nic przeciwko, jeśli się zdrzemnę.

– Oczywiście, że nie – odparł, z wysiłkiem wstając z krzesła.

– Proszę, nie wstawaj.

Usiadła obok. zaproponował jej posiłek i zignorował wszelkie próby odmowy. Po dwóch minutach siedziała przy stole, spożywając ciekawą zupę z rzepy, którą stryj, jak sam twierdził, żywił się przez większość tygodnia.

– Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że odpoczęłam tu kilka godzin.

– Skądże znowu. Już zbyt długo się nie widzieliśmy.

Starzec podszedł do garnka, nabrał objętość pełnej miski i wrócił do stołu.

– Przykro mi było słyszeć o twoim ojcu – powiedział. – Ta wojna z każdym dniem robi się coraz straszniejsza. Nazistowski obłąd zatruł nasz naród i doprowadził do śmierci tysięcy niewinnych. O tamtym szaleństwie sprzed trzydziestu lat mówiono, że to wojna, która zakończy wszystkie wojny, ale to się znów dzieje, tylko że tym razem jeszcze gorzej.

– Nie wydaje się, jakby wojna szczególnie cię tu dotknęła.

– Może i nie.

– Czy twoi sąsiedzi sądzą to samo? O nazistach?

– Kto wie? – Hermann wzruszył ramionami. – Nie rozmawiamy o tym. Ale sąsiadów mam miłych. Karoline, sąsiadka, zagląda codziennie, żeby sprawdzić, jak się mam. Straciła na froncie obu synów. – Pokręcił głową. – Od wojny nie ma prawdziwej ucieczki. Nawet tutaj. – Przełknął łyk zupy, zanim znów przemówił. – W którym roku się urodziłaś? Przypomnij.

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym.

– Pamiętam, jak cię trzymałem jako niemowlę. Miałaś wtedy takie same piękne blond loki jak dziś. – Odłożył łyżkę i wpatrzył się w przestrzeń przed sobą. – To był rok wielkiego głodu, spowodowanego przez aliancką blokadę Niemiec.

– Słyszałam o tym.

– Anglicy zablokowali Morze Północne i próbowali nas zagłodzić. Ludzie marnieli w oczach. Starczyło nam jedzenia, żeby przeżyć, ale byliśmy wszyscy wychudzeni jak charty. Twój pradziadek zmarł na dyzenterię, stryjeczna babka – na gruźlicę, wyniszczona niedożywieniem. Każda rodzina ucierpiała przez wielki głód, przez szaleństwo cesarza, przez Francuzów i Anglików, przez idiotyczny szowinizm, który posłał do grobu całe pokolenie. A teraz są zdecydowani zrobić to samo od nowa.

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu.

– Po obiedzie już pójdę, wujku.

– Nie zostaniesz dłużej? Minęło tyle lat...

– Nie mogę, chociaż chciałabym.

– Wspaniale było cię spotkać. Tak się cieszę, że miałaś okazję mnie odwiedzić.

– Ja też.

Gdy wstawała, krzesło zazgrzytało na kamiennej podłodze. Franka wiedziała, że marne były szanse, aby kiedykolwiek znów spotkała starca. Wstała

i przytuliła go pośrodku kuchni, puszczając dopiero wtedy, gdy sobie przypomniała, że John czeka na nią w pokoju na górze.

Kiedy wróciła do sypialni, był już gotów do drogi, stał przy drzwiach.

Franka odwróciła uwagę stryja, mówiąc, że chciałyby zobaczyć widok z tylnego podwórza, a tymczasem John przemknął na dół i za frontowe drzwi. Po kilku minutach Hermann przyprowadził bratanicę z powrotem do domu. Objęła go ze świadomością, że najpewniej nigdy już nie będzie trzymać w ramionach członka swojej rodziny. Umiłowane rodzinne wspomnienia będą wkrótce należeć wyłącznie do niej. Ona jedna pozostanie zdolna opisać poczucie humoru matki, śpiew ojca czy miłość, którą dzielił się Fredi z każdym, kogo spotkał. Te resztki jej przeszłości odpłyną w zapomnienie. Hermann pożegnał się z Franką, podnosząc rękę, gdy zamykała za sobą drzwi.

Ruszyła za Johnem i nurknęła za sąsiedni dom. Linia drzew przyciągała ją. Nie było innej drogi. W milczeniu wspięli się po zboczu i weszli w las. Drzewa ścięły się wokół nich. Przyćmione światło zimowego słońca stopniowo zgasło wśród ośnieżonych gałęzi i wędrowali już prawie w ciemności, choć był środek dnia. Śnieg na ziemi sięgał prawie pół metra. Franka żałowała, że nie zabrała rakiet śnieżnych, bo jej grube buty grzęzły w przywierającej bieli. John znalazł gałęzie, aby służyły za podpory. Brnęli dalej, mróz ich podgryzał, plecy zalewał pot. Lynch nalegał przedtem, by zachowywali w marszu całkowitą ciszę, więc nie rozmawiali.

John obracał w myślach każdy możliwy scenariusz, na jaki przygotowało go szkolenie, próbując sobie przypomnieć każde słowo wypowiedziane kiedykolwiek przez instruktorów. Szukał wyjścia z tej sytuacji, rozwiązania problemu dotarcia żywcem do Szwajcarii. Musiało jakieś istnieć. Przypomnił sobie instrukcje na temat przekradania się przez granicę. Było to możliwe. Żadnego drutu kolczastego ani muru, tylko linia posterunków nasłuchowych. Strażnicy byli ludźmi. Zasypiali. Czytali przy świecy listy z domu, kiedy powinni prowadzić obserwację. Rozmawiali, żartowali i jedli na służbie. Istniały luki, a mapa powie mu, gdzie. Przedostało się już wielu ludzi, a wobec obciążenia niemieckiej maszyny wojennej być może zredukowali straż graniczną. Wszystkich zdatnych ludzi potrzebowali do walki z Sowietami na froncie wschodnim i do obrony przed nadejściem wojsk alianckich na Zachodzie.

Franka patrzyła w marszu na plecy Johna. Jego ruchy były wyważone,

przemyślane. Trudno powiedzieć, czy to przez jego nogi, czy tylko ustalił sobie tak niespieszne tempo. Opierał swój ciężar na laskach, które sprawił sobie w czasie wędrówki. Franka próbowała sobie wyobrazić, co się znajdowało za granicą – ale to było nieistotne. Jedynym, co się liczyło, było dotarcie na miejsce. Nie mieli czasu na wahanie. Jedyna szansa kryła się w przekroczeniu granicy, zanim Gestapo znajdzie pod podłogą chaty ojca rozkładające się zwłoki Daniela. Kiedy już go znajdą, rzucają na drogi wszystkich dostępnych ludzi, jakich uda im się zmobilizować, a próba ucieczki do Szwajcarii stanie się prawie niemożliwa.

Każdy przemarznięty krok był krokiem naprzód. Zostało niecałe trzydzieści kilometrów.

John sprawdził kompas. Nieba prawie nie było widać. Dostrzegali tylko las. Nogi miał obolałe, ale nie wiedział, czy to od wysiłków tego dnia, czy dlatego, że jeszcze nie do końca wydobrzały. Pewnie z obu powodów.

Zatrzymał się przy pniu od dawna uschłego drzewa, by poczekać na Frankę. Rozwiązała szalik, a on wtem zauważył, że wpatruje się w jej twarz jak w cenny klejnot. Zadanie musiało pozostać na pierwszym miejscu, ale myśli o zabraniu jej do domu pozostały mu w głowie.

– Prawie piąta – szepnął, choć wszelkie ślady życia ludzkiego dawno się rozwiały. – Wkrótce zapadnie zmrok. Szacuję, że od chwili wyruszenia pokonaliśmy prawie dziesięć kilometrów. Jak się czujesz?

– Mam siły – odparła.

– Powinniśmy iść dalej, co najmniej jeszcze przez kilka godzin. Wędrówka nocą jest niebezpieczna, ale nie mamy wyjścia. O ile nam wiadomo, znaleźli ciało Berkela i właśnie wysyłają wojsko na obławę.

– Racja.

– Uważaj. Ostrożnie stawiaj nogi, spróbujemy znaleźć na noc pięciogwiazdkową jaskinię.

– Brzmi cudownie.

– Nie mów, że cię nie zabieram do najlepszych lokali.

– Z pewnością umiesz zapewnić dziewczynie dobrą zabawę.

– Jeśli nie znajdziemy miejsca, mamy jeszcze namiot Berkela. Jesteś gotowa?

– Oczywiście – odparła.

Wyruszyli.

Armin Vogel, mając za sobą siedem lat służby w policji przed dojściem narodowych socjalistów do władzy, bez trudu przeniósł się do Gestapo. To była



kwestia przestrzegania prawa, a prawo dawało mu środki, o jakich nawet nie mógł marzyć, wstępując na służbę w latach dwudziestych. Jego uprawnienia były oszałamiające, a przekonania, jakim hołdował w młodości, zmiotła nazistowska lawina błota. Był teraz nietykalny, odpowiadał wyłącznie przed bezpośrednimi przełożonymi, którzy prawie nigdy nie kwestionowali jego metod. Dopóki płynął plugawy strumień informacji, jego pozycja jako niezbędnego trybu w machinie praworządności pozostawała niezagrożona. Nie było tu miejsca dla litości czy skrupułów. Nie w tak ważnej roli, jaką pełnił. Litość była dla słabych, skrupuły dla pokonanych. On nie był ani jednym, ani drugim.

Telefon zadzwonił tuż po czternastej. Vogel odsunął papiery, które groziły zasypaniem biurka, i sięgnął po słuchawkę. W zetknięciu z uchem była zimna. Trochę czasu mu kiedyś zajęło przyzwyczajenie się do pozdrowienia, którego teraz używał cały czas.

– Heil Hitler!

– Panie Vogel, mówi pani Berkel – nietrudno było usłyszeć lęk w jej głosie. – Czy wie pan, gdzie jest mój mąż? Wczoraj wieczorem nie wrócił z pracy, dziś rano też. Już wcześniej zostawał do późna, ale nigdy na tak długo. Bez końca dzwoniłam do jego gabinetu, ale nie odpowiada.

Vogel obiecał, że znajdzie Berkela, i odłożył słuchawkę. Nie miał ochoty rozmawiać z żoną kolegi, szczególnie kiedy była w takim nastroju. Już własna małżonka wystarczająco go irytowała. Wstał po raz pierwszy od kilku godzin, przeciągnął się z trzaśnięciem stawów. Gabinet Berkela znajdował się po sąsiedzku. Drzwi były zamknięte. Vogel wszedł do środka i zastał pomieszczenie puste. Biurko Daniela przedstawiało podobny widok do jego własnego, z tym, że kolega na bieżąco zapisywał spotkania w oprawionym w skórę terminarzu. Vogel znalazł go w kilka sekund i przerzucał kartki, aż znalazł wpis z poprzedniego dnia. Berkel podchodził drobiazgowo do każdego aspektu swojej pracy, nic więc dziwnego, że w rubryce z poprzedniego wieczoru nagryzmołony był adres chaty.

– Poszedłeś się spotkać z Franką Gerber, co? – powiedział Vogel na głos. – Berkel, stary draniu.

Położył kalendarz wśród rozgardiaszu na blacie, postanawiając odczekać godzinę, zanim zajmie się sprawdzeniem tej sprawy.

Pani Berkel zadzwoniła po kwadransie. Tym razem Vogel nie miał w sobie na tyle beztroski, żeby ją zlekceważyć. Zmuszony był obiecać, że natychmiast zbada zniknięcie jej męża. Nie powiedział, że Berkel poszedł do swojej

atrakcyjnej byłej dziewczyny z czasów nastoletnich. Skoro w aktach Franki nie było numeru telefonu, a tylko sam adres, Vogel miał niewielki wybór. Udał się do samochodu, zastanawiając się, czy Berkel zamierza porzucić żonę. Na takie rzeczy istniały sposoby, ale wciąganie współpracownika w życie miłosne do nich nie należało. Pomimo uporczywej myśli z tyłu głowy o kulach zdobytych przez pannę Gerber, większość drogi w góry Vogel spędził, przeklinając niezdolność kolegi do utrzymania spodni na tyłku.

Było już po szesnastej, kiedy zajechał przed chatę. Głośno zaklął, wysiadając z samochodu, świadom, że będzie musiał wracać po ciemku. Dom wydawał się opuszczony, ale odciski stóp i ślady opon w śniegu mówiły co innego. Ktoś tu był jeszcze niedawno. Vogel utrzymywał wzrok na ziemi i zauważył co najmniej dwie różne pary kolein. Było tu kilka osób i zapewne nie mniej niż dwa samochody. W chacie nie paliło się światło, w powietrzu wisiała tylko cisza. Żadnych dzwoniących telefonów, żadnej zrzędzącej żony, żadnych krzyków torturowanych podejrzanych. Takim miejscem można się było rozkoszować. Od wielu lat nie czuł takiego odosobnienia... Zastukał do drzwi, po chwili jeszcze raz. Bez odpowiedzi. Były zamknięte. Podeszedł do okienka i zajrzał do sypialni – prawie dość czystej, żeby sugerowała, że ostatnio nikt tu nie spał, ale pościel była pognieciona, a na podłodze widniały świeże plamy wosku. Wrócił do drzwi frontowych i otworzył kopnięciem. Za trzecim razem otworzyły się z łoskotem na oścież. Vogel był dumny, że przed pięćdziesiątką ciągle jeszcze nie brakowało mu ikry.

Zegar z kukułką w holu powitał go niestrudzonym tykaniem. Vogel zawołał, nie spodziewając się odpowiedzi. Korytarzem zawędrował do salonu, gdzie na podłodze dostrzegł czysty fragment, wyraźnie się różniący od reszty desek. Schylił się, żeby go dotknąć czubkami palców, poczuł gładką powierzchnię.

Wstawszy z kolan, zapalił ustawioną w kącie lampę naftową. Wsunął głowę do kuchni. Była nieskazitelnie czysta, ale w piecu leżał świeży popiół, nie starszy jak sprzed dnia czy dwóch. Vogel wyszedł z kuchni do salonu i przyjrzał się gołym ścianom. Po około pięciominutowych oględzinach pomieszczenia znalazł niewielki otwór w tylnej ścianie. Położył na nim palec i poczuł dziurę pozostawioną przez pocisk. Taka dziurka już by wystarczyła, żeby wracać na Gestapo, ale wiedział, że musi tu być coś więcej, więc szukał dalej. Ktokolwiek tu był, odszedł w pośpiechu. Całkiem dobrze pozacierali ślady, ale mimo wszystko coś przegapili, nieważne, za jak drobiazgowych się uważali.

Vogel poszedł do głównej sypialni, przeszukał szafki, zajrzał pod łóżko, ale nie znalazł nic oprócz starych ubrań wiszących w szafie i jakichś damskich

artykułów. Udał się do drugiej sypialni. Szafka otworzyła się z łoskotem, a on przetrząsnął starą odzież dla obojga płci, niewiele znajdując. Przez kolejne pięć minut grzebał w toalecie i szafce nocnej. Wreszcie usiadł na łóżku, by zebrać myśli. Sprężyny zaskrzypiały pod jego znacznym ciężarem. Wtem poczuł powiew, najdelikatniejszy dotyk zimnego powietrza na skrawku skóry powyżej skarpetek, którego nie pokrywał materiał nogawek. Spojrzał na podłogę i zauważył szczelinę między deskami. Wstał, odsunął łóżko, odsłaniając deski na całej długości. Poszedł do kuchni po nóż, żeby je podważyć, i już po chwili spojrzał w skrwawione, martwe oczy Daniela Berkela.

Karoline Biedermann uważała się za dobrą kobietę i troskliwą sąsiadkę. Początkowo to poczucie obowiązku sprowadziło ją do domu starca, ale z biegiem czasu autentycznie się przywiązała do Hermanna, a nawet z przyjemnością myślała o regularnych odwiedzinach u niego. Jej mąż wolał siedzieć w domu, czytając gazetę albo słuchając radia w przerwach między łykami sznapsa domowej roboty. Synowie oddali życie za Rzeszę, a córki też już dawno zniknęły z domu – jedna wyszła za urzędnika z Bremy, druga zaręczyła się z kapitanem armii we Fryburgu – więc dobrze było mieć kogoś, kim można by się opiekować. Odwiedzała Hermanna przez większość dni w tygodniu i robiła mu obiad, a on wciąż powtarzał opowieści o lepszych czasach. Jego poglądy polityczne graniczyły z liberalizmem – w obecnym społeczeństwie

było to brzydkie słowo, ale niewiele się tym przejmowała. Starsi ludzie mieli prawo do gadaniny. Zasłużyli na nie.

Sięgnęła pod donicę, gdzie leżał klucz do frontowych drzwi Hermanna, i spostrzegła, że stała ona odwrotnie, niż Karoline zawsze ją zostawiała. To ją zaskoczyło. Podniosła donicę. Hermann drzemał w swoim fotelu, a ona poszła prosto do kuchni, by zabrać się do gotowania zapiekanki warzywnej. Obudził się na dźwięk stukotu, gdy siekała warzywa, i zawołał do niej z fotela.

– Niech pan nie wstaje, panie Gerber. To tylko ja.

Po pięciu minutach zapiekanka była gotowa do wstawienia, więc Karoline wsunęła ją do piekarnika, zanim poszła do sąsiada.

– Karoline, jak miło z twojej strony.

– Staram się, panie Gerber. Jedzenie będzie gotowe za dwadzieścia minut. Będzie pan mnie jeszcze potrzebował?

– Nie, to już wszystko.

– Miał pan dzisiaj gościa?

– Tak, moja stryjeczna wnuczka Franka zabłądziła na wycieczce. Przyszła wczesnym rankiem i trochę tu odpoczęła. Zjedliśmy razem obiad, a potem poszła. Wspaniale było ją widzieć. Minęło wiele lat, nawet nie wiem, ile.

Coś ją dziwnie tknęło.

– Franka? Czy to ta, która wdała się w aferę z tamtymi strasznymi wichrzycielami z Monachium, co występowali przeciw Führerowi?

– Tak, to ona, ale odbyła wyrok i jest już całkiem zrehabilitowana.

– Oczywiście – odparła Karoline. – Każdemu należy się druga szansa. No, prawie każdemu. Muszę już iść. Proszę dać mi znać, jeśli będzie pan czegoś jeszcze potrzebował. Jeśli nie, to do jutra.

Wyszła, w jej uszach pobrzmiwała wdzięczność starszego mężczyzny, ale jej myśli krążyły wokół czego innego. To pewnie nic ważnego, ale przy tym wszystkim, co się ostatnio działo, lepiej było zachować ostrożność. Była przekonana, że Hermann miał rację i Frankę zwiedziono na manowce. Mimo wszystko była ona znanym wrogiem państwa – w każdym razie kiedyś – a znajdowali się blisko granicy. Dlaczego wędrowała po górach w środku nocy i czemu nie poprosiła jednego z sąsiadów stryjecznego dziadka, żeby ją odwiózł do domu? Opadał koc ciemności, leśne drzewa oblekały się w czerń. Tak, najlepiej będzie to zgłosić. Policja na pewno okaże zainteresowanie.

Vogel z bólem pozostawiał ciało kolegi pod deskami tej górskiej rudery, ale wiedział, że nie należy zdeptywać miejsca zbrodni. Gdy Berkel żył, Vogel nigdy nie myślał o nim jako o przyjacielu, jednak Daniel był porządnym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem, lojalnym sługą Rzeszy. Morderstwo uwydatniło cechy, których za życia Vogel nigdy w nim nie dostrzegął. Kiedy wracał do Fryburga, wzbierała w nim nienawiść do zabójczynie Berkela. Knykcie mu zbieleły, zaciśnięte na kierownicy, zgrzytał zębami tak bardzo, że omal nie stał ich aż do dziąseł. Nie zawracał sobie głowy parkowaniem w zwyczajowym miejscu przed siedzibą Gestapo, porzucił auto na chodniku pod byle jakim kątem. Zwołał dyżurnych agentów na zebranie nadzwyczajne. Byli w szoku, gdy opowiedział im, co zobaczył. Wszyscy poprzysięgli zemstę morderczej suce, która odważyła się na tak okrutny i haniebnny czyn. Nie mając w kartotece zdjęcia Franki, wezwali rysownika policyjnego, żeby naszkicował jej twarz z pamięci kilku agentów, którzy ją znali.

– Nie było jej samochodu – stwierdził Vogel. – Odciąć wszystkie drogi w promieniu osiemdziesięciu kilometrów, w każdym kierunku, aż do samej granicy. Zaangażujcie garnizon Wehrmachtu do pomocy w poszukiwaniach.

Ona zmierza do Szwajcarii, nie mam co do tego wątpliwości. Gdzie indziej już nie może uciec. W kraju nikt się przed nami nie ukryje. Powiadomcie każdy lokalny posterunek policji i blokowego. Ktoś coś wie. My wiemy, że przed paroma tygodniami załatwiła kule – podobno dla swojego kawalera, który się połamał na nartach. Ktoś może jej towarzyszyć.

Agenci mamrotali pomiędzy sobą, aż Vogel znów przemówił.

– Nie dajcie uciec tej zdradzieckiej dziwce. Tego się nie robi Gestapo. Prawem jesteśmy my i nasza kara będzie surowa. – Walnął pięścią w ścianę. – Dajcie mi ją żywą. Chcę, żeby jej ostatnie żałosne godziny na tym świecie były straszne.

Pół godziny później nadeszła odpowiedź od blokowego z Bürchau, Vogel zwołał kolejne zebranie, na które tym razem stawili się trzykrotnie więcej agentów. Pragnęli krwi jak stado wygłodniałych psów. Wszystkie siły mieli rzucić pomiędzy Bürchau a granicę. Zdradziecka dziwka nigdy żywa nie zobaczy Szwajcarii.

Stopy Franki zmieniły się w bryły lodu. Jeśli kiedykolwiek w ogóle była tu ścieżka, to została zasypana, przy każdym kroku musieli wyciągać ze śniegu nogę za nogą. Było już po dwudziestej drugiej, nogi z każdym krokiem bolały ją coraz bardziej. John szedł pół metra przed nią i co jakiś czas dotykała wolną ręką jego pleców, żeby wiedział, że za nim idzie, żeby dodać mu ducha. Umysł miała prawie czysty, niewiele go wypełniało prócz ciągłego przymusu stawiania nogi za nogą i przytłaczającego zimna. Jej wzrok przywykł do ciemności. Księżyc wychynął dopiero wtedy, gdy luka w koronach drzew przepuściła ku ziemi jego srebrny blask. Drzewa rosły nierówno – czasami trafiali na otwarte pole, które musieli przeciąć, a czasem na skupisko całkowicie bezlistnych drzew z pniami sterczącymi w nocne niebo jak wielkie kolce. Mijali zagrody z domami wypełnionymi ciepłym światłem, widzieli dymy snujące się z kominów, ciche jak śmierć. Ale się nie zatrzymali.

Krótko przed północą John wystawił palec do góry, a Franka zatrzymała się za nim. Położyła dłonie na udach i zgięła się wpół. Lynch dał jej znak, żeby stała nieruchomo, po czym ruszył naprzód, powłócząc nogami. Franka – w której różnych częściach ciała ból i pieczenie walczyły o lepsze z dojmującym zimnem – oparła się o drzewo. Oddech miała ciężki, a gdy John wrócił, dyszała.

– Wśród tych skał jest jaskinia – powiedział, pokazując palcem. – Widzisz?

Nie widziała, ale przytaknęła.

– Musimy odpocząć kilka godzin. Chodź ze mną.

Zrobił pięć czy sześć kroków, obejrzał się. Franka pozostawała z tyłu, wyparowała z niej energia, od kiedy przystanęli. John wyciągnął dłoń w rękawiczce i dziewczyna ją przyjęła. Szli razem w milczeniu, aż pojawiła się przed nimi jaskinia: ciemniejsza plama na tle szarości skalnej ściany. Lynch wyjął latarkę z plecaka, Franka nawet nie wiedziała, że ją zabrał. Kiedy oświetlił wnętrze, ze środka wybiegł truchtem jeź.

– Chciałem się tylko upewnić, czy nie zakłócamy odpoczynku niedźwiedzicy z młodymi albo parze wilków.

Franka miała ochotę przyznać mu rację, ale była zbyt zmęczona, by mówić. John sięgnął, by zdjąć z niej plecak. Czuła zawroty głowy, kiedy go ściągał. Lynch zaprowadził ją w głąb jaskini, posadził na suchych liściach pokrywających podłoże. Zajrzał do własnego plecaka, wyciągnął pełną do połowy butelkę wody i podał France. Zimny płyn ją orzeźwił.

John nazbierał drewna na opał. Po kilku minutach w głębi jaskini zapłonęło porządne ognisko.

– Nie zobaczą nas? – szepnęła Franka.

– Jeśli są tuż za nami, to mogą zobaczyć, ale potrzebujemy ognia. Możemy tu odpocząć jakieś trzy godziny. Potem ruszamy ku granicy.

Wyjął mapę, siadając obok, ich biodra się zetknęły. Franka chwyciła jeden koniec mapy, John drugi.

– Jesteśmy gdzieś tutaj – powiedział – około piętnastu kilometrów od granicy. Idąc całą noc, możemy dotrzeć przed świtem.

– Będziemy przechodzić za dnia?

– Nie, najpierw musimy się rozejrzeć. Sądzę, że możemy przejść tędy. – Pokazał obszar w pobliżu wsi Inzlingen. – Jest tam ścieżka u stóp lasu, prowadzi do szwajcarskiego urzędu celnego po drugiej stronie. Możemy iść wzdłuż strumienia, który nas tam zaprowadzi. Według mapy nie ma tam straży ani posterunków nasłuchowych. To martwa strefa – wąski kawałek, który przeoczyli. Byłaś tam kiedyś?

– Nie, w dzieciństwie pojechałam do Szwajcarii, ale na szkolnej wycieczce terenowej nie musieliśmy się przekradać w środku nocy.

– To by wam uatrakcyjniło wyjazd.

– Naszym nauczycielom brakowało twojego zamiłowania do przygód.

– Znajdziemy ten strumień, a potem, po zmierzchu, przekroczymy granicę. Jutro o tej porze powinniśmy już być bezpieczni w Szwajcarii.

– W twoich ustach brzmi to jak drobnostka.

– Bo nie ma w tym nic skomplikowanego.

– A ty ukończysz swoje zadanie.

Wrzucił patyk do ognia.

– Chyba tak, w jakimś sensie. – Podniósł się, w jaskini nie mógł się w pełni wyprostować. – Czas coś zjeść.

Wzięli przyniesiony ze sobą chleb i ser, w kilka sekund pochłonęli ilość przeznaczoną na obiad. John otworzył jedną z konserw mięsnych. Franka najpierw zmoczyła swoją porcję, a potem patrzyła, jak dokańczał. Opróżniona puszka z miękkim stukiem wylądowała w głębi jaskini. Lynch siedział obok Franki, wpatrywali się w ognisko.

– Co dalej, kiedy już będziemy po tamtej stronie?

– Spędzę pewnie resztę wojny w szwajcarskim ośrodku internowania, zebrana do kupy z innymi uchodźcami i jeńcami wojennymi, którzy uciekli przez granicę. A ty?

– Przedostanę się do Berna. Mamy tam biuro. Zamelduję o swoich efektach i wyślą mnie prawdopodobnie do domu, żebym czekał na kolejne zadanie.

– Powrót bohatera, co?

– Nie całkiem. Ale wojna nie będzie trwać wiecznie. Co potem zrobisz?

– Nie wiem. W tym całym zamęciu próbowałam się skupić po prostu na przeżyciu. Niewiele myślałam o tym, co później. Sądzę, że wrócę do Monachium i rozpocznę dzieło odbudowy. Mojego życia, ale też kraju. Na moje kwalifikacje będzie popyt.

– Niemcy istniały przed nazistami i tak samo będą trwać bez nich.

– Może i tak, ale zmycie ich piętna będzie nas wiele kosztować.

John zakaszał, odgłos ten odbił się echem w zamkniętej przestrzeni jaskini.

– Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie, kiedy to wszystko się skończy, jeśli będziemy w stanie. Tak wiele ci zawdzięczam...

– Ja tobie co najmniej tyle samo, za to, co zrobiłaś dla mnie w chacie i wtedy, gdy cię znalazłam.

– Kiedy mnie znalazłaś? Przecież to ty mnie uratowałaś życie.

– Dałaś mi sens, którego mi zabrakło. Byłaś dla mnie tym, czego potrzebowałam, właśnie w momencie, gdy tego potrzebowałam.

– Ty dla mnie tak samo.

Ogień skwierczał i trzaskał, John pochylił się, by dorzucić jeszcze trochę suchego drewna.

– Zastanowiłabyś się, czy nie pojechać ze mną do Ameryki? Zdaję sobie sprawę, że tam jest inaczej, poza tym to kawał drogi, ale może ci się spodoba.

– Do Filadelfii?

– Czemu nie? – zapytał. – To wielkie miasto, ale będziesz mogła się udać, dokądkolwiek zechcesz.

Podniosła patyk i przez kilka sekund grzebała w ogniu, po czym odpowiedziała.

– Skupmy się lepiej na przeżyciu następnego dnia czy ile tam trzeba, dobrze? Potem będzie można pomyśleć o przyszłości.

– Masz rację – odparł. – Chyba mnie trochę poniosło.

Objął jej ramiona.

– Prześpij się trochę. Za trzy godziny znów wyruszamy.

Franka wyjęła z plecaka śpiwór i rozłożyła na dnie jaskini, które okazało się bardziej miękkie i wygodniejsze, niż przypuszczała. John wciąż siedział, wyglądając z wylotu pieczary w mrok nocy na zewnątrz. Zanim zapadła w głęboki sen, zdążyła pomyśleć: „Kiedy on też się położy?”

W snach znów nawiedził ją Berkel, tym razem z setkami żołnierzy, którzy wznosili w górę włócznie, miecze i płonące pochodnie, skandując pieśni, które Franka w wieku kilkunastu lat śpiewała jako członkini Związku Dziewcząt Niemieckich. Gestapowiec był zakrwawiony i rozszarpany, obnosił ślady po pociskach, które w niego wystrzeliła. Owczarek niemiecki szarpał żelazną smycz, na której trzymał go Berkel. Horda szalonych berserków ścigała Frankę po lesie, a ich pochodnie rozświetlały noc, gdy dziewczyna deptała własny cień.

Obudziła się z sercem walącym jak młot i spostrzegła jasność ognia. John najwyraźniej nie poruszył się, od kiedy zasnęła.

– Trzecia rano – powiedział. – Pora na nas.



## ROZDZIAŁ 14

Gdy samochód się zatrzymał, Vogel przetarł znużone oczy. Już od wielu lat nie pozostawał tak długo na nogach. Obowiązki zmuszające agenta do całonocnej pracy przypadły na ogół młodzieży, nie komuś o takim doświadczeniu. Tym razem było inaczej. Żądza zemsty dawała mu siłę. Vogel z radością powitał świt i okazję przesłuchania starca. Przespać się mógł później. Noc minęła na przeczesywaniu dróg w poszukiwaniu wszelkich śladów Gerber i dopiero tuż po szóstej jej auto znaleziono na zarośniętej ścieżce nieopodal wioski Bürchau – tej samej, do której Vogel właśnie wjeżdżał z uzbrojoną eskortą. Miejscowy garnizon Wehrmachtu użył mu siedemdziesięciu pięciu ludzi. Dawniej mógłby liczyć na kilkuset. Tutejsi oficerowie Wehrmachtu nie darzyli Gestapo przesadną sympatią, więc musiał się zadowolić siedemdziesiątką piątką żołnierzy, których wojsko podobno mogło poświęcić natychmiast. Wraz z około setką policjantów i gestapowców wystarczało to aż nadto, żeby znaleźć dziewczynkę wałęsającą się po lesie.

Vogel sam zapukał do drzwi, pragnąc zobaczyć minę starszego mężczyzny, gdy ten będzie odpowiadał. Oficer Gestapo przywitał się salutem, po czym, ignorując zdumienie starca, wprosił się do środka w towarzystwie pięciu żołnierzy. Zajął krzesło przy kuchennym stole, naprzeciwko miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą gospodarz pił kawę, z kubka wciąż leciała para. Starzec zaproponował Voglowi filiżankę. Gestapowiec odmówił i dał mu znak, żeby usiadł. Czasu było coraz mniej.

– Czym mogę służyć, panie Vogel?

– Doniesiono mi, że miał pan wczoraj gościa.

– Moja sąsiadka Karoline przychodzi do mnie prawie codziennie. Pomaga mi...

– Nie igraj ze mną, staruchu – warknął Vogel, w każde słowo wkładając sugestię groźby. – Szukam Franki Gerber. Słyszałem, że wczoraj tu była. Zamordowała mojego kolegę, dobrego człowieka, ojca dzieciom. Twoja bratanica zastrzeliła go z zimną krwią.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie widziałem Franki od lat.

– Nie marnuj mojego czasu, Gerber. Wiemy, że tu była. Nie nabiorę się na twoje fałszywe pozy. Co mówiła? Powiedziała, dokąd idzie? Była sama? –

Vogel otwartą dłonią uderzył filiżankę kawy. Spadła ze stołu, roztrzaskując się na płytkach podłogi.

– Myśli pan, że się boję?

– A powinienes. Nie ma kto ci pomóc. – Vogel rozejrzał się wokół stołu, patrząc na pięciu umundurowanych żołnierzy z karabinami przyciśniętymi do piersi. – Mógłbym cię stąd wyprowadzić i rozwalić na środku ulicy, a żaden trybunał w Rzeszy by mnie nie skazał. Mógłbym cię zamknąć w celi i zagłodzić na śmierć albo torturować po prostu dla rozrywki. Pytam jeszcze raz. Ta dziwka, twoja stryjeczna wnuczka – powiedziała, że dokąd idzie?

– Licz się pan ze słowami! Pamiętam, czasy, kiedy ten kraj był wielki, kiedy byliśmy bastionem przemysłu i sztuki, kiedy łobuzy takie jak pan przekradały się w ciemnościach, gdzie wasze miejsce. A teraz założył pan tę opaskę i odznakę i myśli, że daje to panu nade mną władzę?

Vogel wyjął pistolet i wymierzył w Hermanna.

Starzec nie zadrżał ani się nie zawahał.

– Od lat nie zabiłem człowieka. Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił to dzisiaj. Gadaj, gdzie Franka. Już mówiłem, że zamordowała mojego współpracownika. Przyszła sama, czy ktoś z nią był?

– Już panu mówiłem, że od lat jej nie widziałem.

Vogel odciągnął kurek pistoletu i skierował lufę na czoło Gerbera.

– Jestem już stary, Vogel. Prędzej czy później śmierć przyjdzie po każdego. Nie boję się jej ani pana. No już, strzelaj pan, wolę zginąć niż zdradzić rodzoną krew dla takich nadętych nazistowskich marionetek jak pan.

– Niech ci będzie. – Vogel pociągnął za spust.

Ból przytępiało dojmujące zimno. W myślach Franki nieustannym zmartwieniem stały się teraz odmrożenia. Po wielu godzinach brodzenia w śniegu stopy zdawały się jej betonowymi blokami, na których balansowała. Z ogromną ulgą powitała postój na śniadanie. Nie mogli teraz rozpalić ogniska. Rozmawiali szeptem.

– John, a co, jeśli nas znajdą?

– Postaramy się, żeby nie znaleźli.

Rozłożył koc, aby oboje mogli usiąść, i podał France butelkę wody. Jej ciało pragnęło snu, na który nie mogła sobie pozwolić.

– Musimy uważać, żeby się nie odwodnić – stwierdził John. – Wydaje się, że przy całej tej zamrożonej wodzie wokoło to nie jest istotny problem.

Franka przyjęła podany jej czerstwy chleb z serem. Trzy razy przeżuła, zanim

przełknęła. John wyciągnął szczegółową mapę szwajcarskiego pogranicza. Franka zastanawiała się, jak bardzo była dokładna, zważywszy, że zależało od niej życie obojga.

– Zostało nam zapewne tylko jakieś osiem kilometrów do granicy. Jak się czujesz?

– Dobrze. Czuję się, jakbyśmy mieli się niebawem znaleźć w Szwajcarii. A ty?

– Tak samo.

Oparła się o drzewo i spojrzała w górę pnia, wznoszącego się w niebo na dziesięć albo więcej metrów. W powietrzu ciężko wisiała woń leśnego poranka – mieszanka sosny, ziemi i śniegu. Ten znajomy zapach dodawał jej ducha. To było jej miejsce. To gestapowcy byli tu intruzami. Nisko wiszące chmury wyglądały jak płachty przybrudzonej bawełny, a lekki wiatr z południa wirował wokół, potrząsając na swojej drodze gałęziami drzew. John wyjął nóż zza pasa, pokroił reszkę sera i podał France kawałek.

– Co byś robił, gdyby nie wojna? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Nie sądzę, żebym przejął firmę, nawet gdyby nie było wojny. Musiałbym sobie znaleźć inną sprawę, o którą bym walczył. Może nadal byłbym żonaty. Kto wie... A co z tobą?

– W moim przypadku to nie takie proste. Gdyby ta wojna nie wybuchła, to i tak mielibyśmy w kraju nazistów i wciąż toczyłaby się u nas wojna wewnętrzna.

– A gdyby naziści nie rządili?

– Nie wiem. Nie znałam innych rządów, od kiedy miałam kilkanaście lat.

– Nie będziesz mogła już tu mieszkać, dopóki są u władzy.

– Jestem gotowa. Moje stare życie umarło dawno temu.

Włożyła do ust kawałek sera.

– Jestem gotowa – powtórzyła. Przez kilka sekund oboje milczeli. – Nic mi już nie zostało. Nie mam kraju, nie mam rodziny. Mam tylko siebie.

Do niej należała taka decyzja, jeżeli przekroczą granicę żywi... Jeżeli. Nogi bolały Johna całą noc, opuścił ręce, by masażem przegnać najgorszy ból. Jego ciało pragnęło snu. Wiedział, że jeśli tylko w tej chwili położy się na kocu, to sen nadejdzie, a wtedy Gestapo go znajdzie i oboje zginą. Przyszła pora ruszać. Wstał.

– Dlaczego mnie uratowałaś, kiedy leżałem w śniegu?

– Co takiego?

– Miałem na sobie mundur Luftwaffe. Według twojej wiedzy byłem częścią

reżimu, który zniszczył ci życie i ojczyznę. Dlaczego mnie uratowałaś?

– Bo jesteś człowiekiem, a ja pielęgniarką. To moje powołanie.

– Ale ryzykowałam życiem dla nieznajomego, i to jeszcze lotnika Luftwaffe.

– Potrzebowałam czegoś.

– Każdy potrzebuje – powiedział, pomagając jej wstać. – Dobrze, ruszajmy dalej. Może dotrzemy do granicy w ciągu godziny czy dwóch.

Vogel rozłożył mapę na kuchennym stole, starając się nie poplamzić jej krwią, która zbryzgała blat. Nie będą się przeprawiać wpław przez Ren, nie w styczniu. Skierują się na Inzlingen, gdzie granica szwajcarsko-niemiecka odrywała się od lodowatych wód rzeki. Vogel wysłał już w tamte strony pięćdziesięciu ludzi, żeby przedzierali się przez las, a kolejna setka przeczesywała obszar w promieniu piętnastu kilometrów. Wkrótce dziwka będzie jak szczur w pułapce, a on doczeka się powolnej zemsty. Konieczna była przestroga dla innych. Czy nie dałoby się powiesić jej zwłok w centrum miasta, jak robili to gestapowcy na terytoriach okupowanych? Nie mógł się doczekać dyskusji z przełożonymi na ten temat. Zwinął mapę i skierował się do samochodu, eskorta podążyła za nim. Do granicy zostało czterdzieści pięć minut jazdy, a on zamierzał tam być w momencie, gdy ją znajdą: zobaczyć minę zdrajczynie, gdy uświadomi sobie, że nie ma na świecie władzy większej niż jego własna.

Każdy krok był teraz małym zwycięstwem. Cała surowość marszu z poprzedniego dnia zaczęła dawać się we znaki ich umęczonym ciałom. John włókł obie nogi przez śnieg, opierając się o drzewa, cały ciężar wspierając na lasce, którą sobie sprawił.

– To już prawie koniec – powiedział. – Niedługo będziesz wolna, po raz pierwszy, od kiedy miałaś kilkanaście lat.

Sporo ironii kryło się w wizji spędzenia dni wolności w szwajcarskim ośrodku internowania, bez możliwości podjęcia pracy, ale wojna powinna się niedługo skończyć. John pragnął być tym, który ją wyzwoli. Jego zadanie przeistoczyło się w coś innego. Wyobrażał sobie, jak przekazuje mikrofilm samemu Dzikemu Billowi Donovanowi – uścisk dłoni, flagę – ale nad każdą myślą unosił się duch Franki. Widział ją w każdym wyobrażeniu swojej przyszłości i z tej wizji czerpał pocieszenie i sens.

Brnęli dalej przez śniegi. John był pewien, że do tej pory Berkela odnaleziono, a pościg Gestapo podążał niedaleko za nimi. Prawie dwa kilometry dzieliły ich od potoku, który miał ich bezpiecznie przeprowadzić przez granicę –

jeśli faktycznie mapa była dokładna.

Dotarli na polanę. Ich ścieżkę przecinała droga. John gestem nakazał France się zatrzymać i podszedł sam, wystawiając głowę spośród linii drzew. Rozejrzał się po obu stronach drogi. Była cicha i pusta, jak okiem sięgnąć, aż do miejsca, w którym zakręcała. Tylko kilka metrów dzieliło drogę od linii drzew, z której wychodzili. Drzewa po drugiej stronie oddalone były od pobocza o prawie dwieście metrów. Przekraczając szosę, kilka minut spędzą na otwartej przestrzeni, ale nie było innego wyjścia. Do strumienia, który miał ich powieść ku wolności, został niecały kilometr. W pobliżu musiały się znajdować posterunki nasłuchowe i droga z pewnością nie miała długo pozostać spokojna.

Franka była już obok niego.

– Las nam sprzyja. To tylko dzięki niemu jeszcze żyjemy. Wyjdziemy, to już po nas – Pokazał na drugą stronę drogi, na polanę i drzewa za nią. – Strumień, którego szukamy, jest pewnie w tej kępie drzew. Musimy się przedostać na drugą stronę polany, gdzie znów będziemy osłonięci. Jestem pewien, że już znaleźli ciało Berkela i właśnie nas szukają. Nie ma już dokąd iść, tylko tam, gdzie zmierzamy. Wiedzą, że zimą nie będziemy forsować rzeki. Jeśli już ich tu nie ma, to niedługo będą, ale jesteśmy blisko. Poradzimy sobie.

– Jak myślisz, kto zostawił te ślady na śniegu? – zapytała. Śnieżne pole wiodące ku drzewom po drugiej stronie drogi przecinało kilka par odcisków stóp.

– Trudno powiedzieć. Chyba od kilku dni śnieg tu nie padał. Wyglądają na stare.

– Może rolnik z krowami?

– Może. Jestem pewien, że nikt tu na nas nie czeka, jeśli o to ci chodzi.

– Wydaje się spokojnie.

– Nie traćmy czasu – rzekł John, wychodząc spomiędzy drzew. Przekroczył drogę, nachylony ku ziemi. Franka podążała kilka metrów za nim, naśladowując jego ruchy. John czekał na skraju drogi, po czym weszli na zaśnieżoną łąkę prowadzącą ku odległej linii drzew. Lynch puścił się biegiem naprzód. Franka utykała za nim, plecak jej się zsunął. Sięgnęła, by poprawić paski na ramionach. John przebył polanę tak szybko, że dziewczyna została prawie trzydzieści metrów w tyle. Właśnie wchodził pomiędzy drzewa, kiedy zza zakrętu drogi rozległ się ryk ciężarówki.

Vogel jechał z przodu, omiatał wzrokiem oba pobocza, gdy dostrzegł sylwetkę

brnącą przez śniegi ku drzewom.

– Stać! – krzyknął, a kierowca wcisnął hamulec. – Tam jest. Brać ją! – Walnął w brezentową plandekę, by zbudzić jadących z tyłu żołnierzy.

Franka odwróciła się, gdy samochód stanął, ogarnęła ją fala przerażenia. Wstała, biegnąc co sił przez śnieg, w którym grzęzły nogi. John przykucnął za drzewem, wyciągnął pistolet w jakiejś złudnej nadziei, że uda mu się pokonać czterech ciężko uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu, wyskakujących z wozu. Jeden podniósł karabin do ramienia i zaczął strzelać. Pociski padały wokół biegnącej Franki, zrozpaczone oblicze Johna wzywało ją ku niemu, wyciągnął rękę.

Vogel wszedł w śnieg za podwładnymi, ciężarówka pozostała na drodze, podczas gdy sześciu ludzi goniło oddaloną o sto metrów sylwetkę. Wyciągnął pistolet, żeby strzelić, kiedy zniknęła w leśnej gęstwinie. John złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Chodź. Musimy ich jakoś prześcignąć. Granica blisko. Zostaw plecak.

Zrzuciła go, przypominając sobie o zdjęciach rodziny, które upchnęła po kieszeniach. Obejrzała się na żołnierzy przedzierających się przez śniegi i otyłego oficera, który z trudem usiłował ich dogonić. Chyba zaczęli ich doganiać. John ciągnął ją za rękę, biegli, wspinając się na wzgórze, a potem zbiegając, drzewa były wszędzie wokół. Żołnierzy za nimi już nie było widać, wzgórze i drzewa zasłaniały widoczność.

– To już niedaleko – powiedział John, kiedy na skraju pola widzenia Franki pojawiło się światło. Drzewa kończyły się jakieś dwieście metrów dalej. Pomiędzy nimi widać było wielkie białe światło. Franka natychmiast dostrzegła to, czego nie pokazywała mapa. Las się urywał, a dalej na półtora kilometra w obu kierunkach ciągnęło się kilkunastometrowe urwisko, u którego stóp szczyrzyły się poszarpane skały.

John zaklął.

– Nie, nie – opanował się. – Możemy zejść na dół.

– Są tuż za nami. Zestrzelą nas podczas wspinaczki. Nie ma ucieczki, nie dla mnie.

– Co takiego?

– Nie wiedzą, że mi towarzyszysz. Nie zauważyli twoich śladów wśród tych innych na śniegu. Kiedy wysiedli, już się schowałeś między drzewami. Ja cię nie widziałam, więc oni tym bardziej. Ruszaj beze mnie. Możesz się spuścić na dół i dotrzeć do granicy przed zmrokiem.

– Nie zostawię cię.  
– To na nic, John. Razem nie damy rady. Pomyśl o swoim zadaniu. Musisz już iść.  
– Na pewno istnieje inne wyjście.  
– Nie istnieje. Pójdę tam i odwrócę ich uwagę.  
– Nie. Nie mogę cię zostawić. Nie zrobię tego.  
– Pamiętaj o swoim zadaniu. To już nie w naszej mocy. Pamiętaj, po co cię tu przysłali. Proszę. Zostały nam sekundy.

Dobiegły ją już odgłosy żołnierzy przedzierających się przez las, może ze sto metrów za nimi.

– Zrób to dla mnie – powiedziała.

Przycisnął ją do siebie i pocałował. Po kilku sekundach Franka cofnęła się i dotknęła jego czoła swoim.

– Nie mogę cię zostawić.

– Musisz iść – stwierdziła.

– Tak mi przykro, Franka – powiedział, opuszczając się w dół krawędzi urwiska. Spojrzała na niego ostatni raz, gdy on patrzył na nią. Odwróciła się ku pogoni, podniosła ręce do góry. Słyszała, jak żołnierze krzyczą, żeby kładła się na ziemi, złożyła ręce na karku. Była wiele kilometrów stąd, wiele lat wcześniej, z rodzicami w chacie, ciepłego letniego wieczora, gdy słońce zachodziło ponad drzewami.

Doganiając ją, gruby oficer wydał okrzyk triumfu.

– Franka Gerber? Inspektor Vogel z Gestapo. Jest pani aresztowana za morderstwo Daniela Berkela i muszę dodać, że jest pani moja. Zapłaci pani za to, co zrobiła mojemu koledze. Cieszę mnie te łzy na pani twarzy. Będzie jeszcze więcej. – Schował broń do kabury. – Gdzie pani kawaler?

– Kto?

– Niech się pani nie zgrywa – powiedział, uderzając ją w twarz. – Zdobyła pani dla niego kule. Gdzie on jest?

– Wyjechał w zeszłym tygodniu. Przekroczył granicę. Powiedział mi, którądy przejść – po jego śladach.

– Rozejrzyjcie się – rozkazał oficer. Jego ludzie się rozproszyli, poświęcając kilka minut na przeszukanie terenu.

Vogel wykorzystał ten czas, by przeszukać aresztowaną. Jego dłonie skupiały się na konkretnych miejscach, wyciągnął jej z kieszeni portfel i rewolwer ojca.

– Nic – powiedział jeden z żołnierzy, kiedy wrócili. – Nikogo więcej tu nie ma. Wszędzie pełno śladów. Nie da się rozróżnić, czy teraz ktoś jeszcze z nią

był.

Myślała o Johnie i jego ucieczce przez granicę. Jego ucieczka była jej zwycięstwem. Oczami wyobraźni ujrzała Johna przekraczającego linię graniczną spokojnym krokiem, oddającego mikrofilm, odbierającego zasłużoną pochwałę, i to wystarczyło. Cierpienia następnych kilku godzin miną. Dokonanie ich dwojga przetrwa.

John czekał wśród drzew, świadom, że pozostaje mu tylko odejść, a droga ku granicy będzie już wolna. Kusila go wolność i chwała z powodu wykonania zadania. Mikrofilm był rzeczą kluczową. Może nawet rzeczywiście mógł odwrócić losy tej wojny. John wyobraził sobie ponowne spotkanie z rodziną i wyraz dumy na twarzy ojca. Próbował wyrzucić z głowy Frankę. Od reszty życia dzielił go prosty spacer przez granicę.

Żołnierze rozkopywali śnieg butami, brnąc z powrotem do ciężarówki, ciesząc się chwilą. Vogel celował z pistoletu w głowę Franki. Kto go niby powstrzyma? To był jego świat. Ta dziwka wkrótce się o tym przekona. Po piętnastu minutach wrócili do wozu. Żołnierze uczcili sukces papierosem. Vogel zmusił zatrzymaną, by uklękła w śniegu na poboczu z rękami na karku, a sam wyjął radio, żeby zameldować o powodzeniu. W swojej karierze przeżył wiele wspaniałych chwil, ale ta była chyba najwspanialsza. Podnosząc słuchawkę radiostacji, pomyślał o Berkelu. Nadchodziła sprawiedliwość, o którą wołało to morderstwo. Przekazał przez radio dobre wiadomości, ogłaszając je kilka razy.

– Teraz zabiorę cię na Gestapo – powiedział. – To będzie ostatnie miejsce, jakie w życiu zobaczysz.

Zapakował ją na tył ciężarówki i związał jej dłonie powrozem, bo w całym tym pośpiechu zapomniał kajdanek. To nie miało większego znaczenia. Z tyłu jechali z nią czterej żołnierze, więc nie ucieknie. Siedzieli obok niej, zaś Vogel, kierowca i ostatni z żołnierzy zajęli miejsca z przodu.

– Gratulacje, chłopcy! – krzyknął gestapowiec, gdy byli gotowi do drogi. – Po powrocie czeka was wychodne na noc!

Żołnierze wznosili radosne okrzyki, a kierowca uruchomił silnik i ruszył z miejsca. Przebyli nie więcej niż kilkaset metrów, gdy nagle w oddali pojawiła się sylwetka wzywająca pomocy. Vogel nachylił się do przodu, by ujrzeć oficera Luftwaffe, który z wysiłkiem szedł z naprzeciwka, trzymając w górze dokumenty. Mundur miał brudny i podarty, zasypany śniegiem i zabłocony. Wyglądał na wyczerpanego, może nawet bliskiego śmierci. Kierowca zatrzymał



wóz.

– Proszę, pomóżcie! – krzyknął mężczyzna.

– Co znowu? – zapytał Vogel półgłosem.

Lotnik z rękami w górze stał tuż przed ciężarówką. Był tak blisko, że Vogel rozróżniał kolor jego oczu.

– Spędziłem tu całą noc. Miałem lot szkoleniowy i samolot mi spadł parę kilometrów w głębi lasu. Myślałem, że nie przeżyję. Usłyszałem strzały, więc tu przyszedłem.

– Mamy więźnia do przewiezienia. To ważna sprawa. Jakies trzy kilometry na zachód stąd jest miasteczko.

– Chyba nie dam rady. Moje nogi... Proszę, nie zostawiajcie mnie.

Vogel zastanawiał się przez parę sekund. Mógł zasłużyć na dodatkową pochwałę za uratowanie zagubionego w lesie oficera Luftwaffe, może nawet medal – te nadęte dupki z lotnictwa zaczną go poważać, jeśli przywiezie im jednego z oficerów. Pstryknął palcami ku skrzyni ciężarówki.

– Możemy pana podrzucić do miasta.

Kulejąc, mężczyzna okrążył z boku ciężarówkę. Vogel zawołał do żołnierzy z tyłu, że mają jeszcze jednego pasażera, a jeden wyciągnął dłoń do lotnika, by pomóc mu wsiąść. Franka z początku nie unosiła wzroku, ale podniesiona plandeka z tyłu ciężarówki wybudziła ją ze stanu, w jaki wpadła. Poczula, jak krew odpływa jej z twarzy, bo usiadł przy niej John w mundurze Luftwaffe. Miała go po prawej, a z przeciwnej strony jednego z żołnierzy. Pozostali trzej siedzieli naprzeciwko z karabinami przy boku. Silnik znów zawarczał i wóz ruszył z łoskotem. John dyszał, nachylił się do przodu, opierając przedramiona na udach. Plecak położył pod nogami.

– Dziękuję, że mnie podwieźliście. Zawdzięczam wam życie. Co to za dziewczyna?

– Aresztantka – powiedział jeden z żołnierzy. – Zabiła oficera Gestapo.

– I za to ją aresztowaliście? – John wybuchnął śmiechem. – Czemu taka ładna dziewczyna jak ty zabiła jednego z naszych ukochanych gestapowców? Nie spodobał ci się jego czarny płaszcz? Wiecie, co powiadają o gestapowcach, prawda?

– Nie, a co? – zapytał najbliższy siedzący żołnierz, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Że wszyscy gestapowcy są uczciwi i inteligentni. Ale ja się z tym nie zgadzam.

– Dlaczego? – zaciekawiał się ten sam żołnierz.

– Jeśli gestapowiec mówi, że jest inteligentny, to nie jest uczciwy. Jeśli jest uczciwy, to nie jest inteligentny. A jeśli jest i uczciwy, i inteligentny, to nie jest z Gestapo.

Wszyscy czterej zaczęli się śmiać.

– Wiem, że mogę mieć przez to kłopoty, ale to tylko żarty.

– Jasne – odparł żołnierz.

Franka zmartwiła w niedowierzaniu. John nie dał jej żadnego znaku. Niczego.

– Znam jeszcze jeden, tylko obiecacie, że nikomu nie powtórzycie.

– Jasne – powiedział żołnierz obok niego.

– W porządku, ten jest dobry – powiedział John. – Czym się różni chrześcijaństwo od narodowego socjalizmu?

– Nie wiem – odrzekł jeden z żołnierzy.

John milczał przez kilka sekund.

– W chrześcijaństwie jeden człowiek umarł za wszystkich. W narodowym socjalizmie wszyscy umierają za jednego człowieka.

Ryknęli śmiechem.

John wstał, wyciągając pistolety z kieszeni.

– Franka! Padnij! – krzyknął, wypuszczając szereg pocisków prosto w piersi żołnierzy naprzeciwko. Ostatni wstał, sięgając po karabin. John strzelił mu dwa razy w twarz. Ciężarówka gwałtownie zahamowała, prawie zbijając Johna z nóg. Przez sekundę odzyskiwał równowagę, po czym opróżnił magazynki, strzelając przez plandekę prosto w kabinę. Wyciągnął rękę do Franki. Całą twarz miała we krwi żołnierzy.

– Oberwałaś? Jesteś ranna?

– Nie, wszystko w porządku.

John zabrał pistolet jednego z zabitych i wyskoczył z ciężarówki. Franka poszła za nim. Drzwi kabiny otworzyły się i Vogel chwiejnie wyszedł na drogę, na piersi miał paskudną ranę. Oddał dwa strzały, zanim John trafił jego i pchnął ciało, aby upadło ohydłą stertą w śnieżne błoto. Sprawdził Vogla, potem tych w kabinie. Wszyscy zabici. Oparł się o burtę ciężarówki. Franka podeszła.

– Wróciłeś? Do tej pory mogłeś już być po tamtej stronie.

– Mówiłem, że cię nie zostawię.

Przytuliła go, ale cofając się, dostrzegła czerwoną plamę w miejscu, gdzie przycisnęła się do jego ciała.

– O nie – jęknęła, po plecach przebiegły jej lodowate ciarki. – Pokaż.

Podniósł rękę, ukazując ranę postrzałową po prawej stronie klatki piersiowej,

na wysokości łokcia.

– Nie najgorzej – skłamała.

– Dam sobie radę, ale musimy już ruszać. Przyjdzie tu więcej wojska.

– Poczekaj. Muszę najpierw coś zabrać.

Franka pobiegła do kabiny ciężarówki i otworzyła drzwi. Żołnierze Wehrmachtu opadli bezwładnie do przodu jak szmaciane lalki, ich krew całkiem zbryzgała potrzaskaną przednią szybę. Ciało kierowcy wypadło na drogę w bezkształtnym nieładzie. Apteczka leżała na podłodze. John siedział na śniegu, gdy do niego wróciła. Odcięła trochę gazy i owinęła jego pierś, usiłując powstrzymać upływ krwi. Górna część spodni już mu przesiąkła czerwienią. Lynch zdjął kurtkę Luftwaffe i rzucił na śnieg.

– Przytrzymaj. – Podała mu gruby bandaż. – Dociskaj najmocniej, jak możesz.

Pokiwał głową, ale twarz miał bladą jak porcelana. Sięgnął do plecaka po cywilny płaszcz i ledwo zdołał wsunąć w niego ramiona. Już po kilku sekundach okrycie przesiąkło krwią.

– Musimy się stąd natychmiast wynieść – stwierdziła Franka.

Wyjęła mu mapę z kieszeni. Pokonali kilka kilometrów od miejsca, z którego zamierzali podejść do granicy. Kiedy wrócą, nadal będzie ich czekać ściana urwiska.

– Dam sobie radę – powiedział. – Wyrzucić ciała z ciężarówki, to pojedziemy z powrotem tam, gdzie byliśmy.

Franka podeszła do kabiny od strony pasażera, wyciągnęła zwłoki drugiego żołnierza. Pomogła Johnowi wstać, otoczyła go ramieniem i zaprowadziła do wozu, gdzie zdołał podciągnąć się do kabiny. Silnik wciąż warczał, kluczyki pozostały nietknięte w stacyjce. Zawróciła ciężarówkę i popędziła drogą, w twarz wiał jej zimny wiatr. Rzeź, którą pozostawili na drodze, była już daleko w tyle.

– Będziesz potrzebował lekarza, i to prędko.

– Przerzucić mnie przez granicę, a później załatwimy resztę. Już raz uratowałaś mi życie. Wygląda na to, że będziesz musiała powtórzyć tę sztuczkę.

Jechali kilka minut, aż znaleźli miejsce, gdzie urwisko wydawało się niższe, a linia drzew bliższa. Lynch otoczył ją ramieniem, gdy opuścili ciężarówkę, nie przejmując się już zacieraniem śladów. Granica. Wolność. Franka wzięła od Johna plecak i wyrzuciła, ile się dało, po czym zarzuciła sobie ciężar na plecy. Szli razem, on wspierał się na niej, pozostawiali za sobą na śniegu ciągnącą się szkarłatną linię.

– Poradzę sobie – powtarzał.

Po obu stronach przesuwały się przywiędłe drzewa w głębokim na trzydzieści centymetrów śniegu. Znowu podeszli do urwiska. W tym miejscu było wysokie na sześć metrów.

– Weź linę. Zamocuj wokół drzewa i opuść mnie.

Franka sięgnęła do plecaka po linę i założyła pętlę wokół solidnego drzewa. John owinął sobie sznur wokół ramion i uchwycił oburącz, a Franka zaczęła go opuszczać cal po calu. Stopami wspierał się o skały. Wiedział, jak bardzo jest zmęczony, ale wiedział też, czym mógłby grozić sen. Franka zeszła jako druga. Gdy znalazła się na dole, siedział oparty o ścianę, ledwo zdolny utrzymać ciało pionowo. Znowu podciągnęła go, żeby wstał.

– Naprzód, żołnierzu – powiedziała po angielsku, tak, jak ją nauczył.

Usłyszała cichy szmer strumienia i przecisnęła się między drzewami, by go odszukać. Przy brzegach był zamrznięty, ale środkiem swobodnie płynął nurt.

– To tutaj – powiedziała. – Uda nam się.

– Dam radę – odparł, ale głos miał słaby, jakby każdy krok mógł być jego ostatnim. Znowu się potknął, jeszcze raz go podniosła.

– Dalej, John. Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze tylko kawałek.

Szli wzdłuż brzegu strumienia, jeszcze jeden krok, potem następny. Johnowi zaczęły się plątać nogi, znowu się potknął, a Franka runęła na niego. Zajęczał, gdy próbowała go podnieść, ale to zignorowała, siłą zarzucając sobie jego ramię na plecy. Uścisk miał coraz słabszy, ale szli dalej. Jakoś.

– Jesteśmy tak blisko, nie zostawiaj mnie...

Przez następne kilka minut brnęli przed siebie, aż uścisk Johna osłabł, a on sam padł na ziemię. Spośród drzew wychynał budynek urzędu celnego. Zostało do niego niecałe trzydzieści metrów.

– Udało nam się! – zawołała. – To Szwajcaria! Jesteśmy wolni!

– Ty jesteś wolna – szepnął. – Dziękuję ci, Franka, za wszystko. Weź mikrofilm.

– Nie! – krzyknęła. – Nie dam ci umrzeć, i to jeszcze tak blisko. Wstawaj, słyszysz? Wstawaj! Bez ciebie nie idę!

Sięgnęła w dół, otoczyła się ramieniem Johna i zarzuciła sobie na plecy cały jego ciężar.

– Damy sobie radę. Uda nam się. Nie pozwolę ci umrzeć – powtarzała w kółko, brnąc ku małemu budynkowi celnemu z szarego kamienia, a drzewa Schwarzwaldu, Czarnego Lasu, górowały nad nią tak gęsto, że nie widziała nieba.

## ROZDZIAŁ 15

### *Wieś pod Bazyleą, Szwajcaria, październik 1945 r.*

Zachodzące słońce zabarwiło horyzont czerwienią, oranżem i fioletem. Franka rozprostowała plecy, opierając się na motyce. W oddali dało się rozróżnić wzgórza i drzewa Schwarzwaldy jako ciemne kształty na tle nieba. Wieczory były już chłodniejsze, letni żar rozwiewało nadchodzące jesienne powietrze. W promieniu kilkuset metrów ziemię pokrywały schludne zielone rzędy bylin ziemniaczanych, ich monotonię przełamowały tylko sylwetki innych robotnic rolnych, powracających po całym dniu pracy. Franka schyliła się, by podnieść wiadro wyrwanych chwastów, i ruszyła z powrotem do stodoły. Rosa Goldstein czekała na nią koło drzewa, pod którym często jadały obiad, i przywitała ją uśmiechem.

– Nie sądziłam, że jeszcze tu będziesz, Franka. Myślałam, że miałaś jechać do domu.

– Ciągłe tu jestem – odparła Franka. – Z jakiegoś powodu podróż mi się opóźniła. Dziś mój ostatni dzień w gospodarstwie. Brzmi to absurdalnie, ale będzie mi brakowało tego miejsca i wszystkich wspaniałych ludzi, których tu poznałam.

– Wojna się skończyła. Koniec z nazistami. Czas wrócić do swojego życia, cokolwiek z niego pozostało.

Dwie młode kobiety spacerowały razem. Z czasem dołączały do nich inne, a zanim doszły do stodoły, grupa przekraczała już dwadzieścia osób, z których każda życzyła France wszystkiego najlepszego, gdy się z nimi żegnała.

Przed obiadem zmywała naczynia w łazience używanej wspólnie z dziesięcioma innymi kobietami, z których każdą znała już jak siostrę, gdy nagle wróciły do niej wspomnienia Hansa. Jego słowa przetrwały dłużej niż jego własne krótkie życie. Hansa, Sophie, Williego i innych, którzy zapłacili najwyższą cenę w imię wolności, wkrótce zacznie się stawiać za wzór jako bohaterów, za jakich od zawsze ich uważała. Wróciła do pokoju i usiadła na piętrowym łóżku. Sala sypialna była pusta, reszta kobiet rozkoszowała się drinkiem w wieczornym słońcu. Spod łóżka wyciągnęła skrzynkę zawierającą cały jej dobytek. Ulotka leżała złożona w bocznej kieszeni. Franka wyjęła ją, jak

często w ostatnim czasie, i przeczytała nagłówek:

*MANIFEST STUDENTÓW MONACHIJSKICH*

Była to szósta ulotka Białej Róży, przemycona z Niemiec przez prawnika, a potem powielona i w setkach tysięcy egzemplarzy zrzucona na Niemcy przez alianckie bombowce. Sylvia Stern, żydowska uchodźczyni z Ulm, przeniosła ją przez granicę i podarowała dla natchnienia France, gdy ta zimą 1944 roku przybyła do obozu. Franka nigdy jej nie powiedziała, ani nikomu innemu, że była przy tym, gdy pewnej nocy Hans, jego siostra Sophie i najlepszy przyjaciel Willi zredagowali tę ulotkę. Nie pochwaliła się, że brała udział w jej kolportażu ani że siedziała w więzieniu za słowa zapisane na tej kartce. To wspomnienie należało do nich. Tylko oni zasługiwali na ten zaszczyt.

Złożyła ulotkę, schowała z powrotem do walizki i podeszła do okna na końcu rzędu piętrowych łóżek. Wyjrzała na oddalone o wiele kilometrów góry Schwarzwald. Do czego wróci? Nazistów pokonano, a ich Rzesza, która miała trwać tysiąc lat, została zniszczona razem z nimi. Ale co miało ją teraz czekać w kraju? Wszyscy, których najbardziej kochała, już nie żyli. Pozostały tylko wspomnienia, obmywające ją pociechą i smutkiem, otaczające miłością. Wciąż przemawiała do matki, czuła objęcia ojca, wciąż widywała w snach uśmiech Frediego. Mieli pozostać z nią już na zawsze, do końca życia.

Ciągle myślała o Johnie. Czuła jeszcze jego ciężar na ramionach, ciepło jego krwi, która ją zalewała, i pamiętała wyraz twarzy celnika – coś pomiędzy współczuciem a niedowierzaniem – kiedy wtargnęła przez drzwi, dźwigając Lyncha na plecach. Celnik próbował ją przekonywać, żeby dała spokój, bo on już nie żyje, ale nie chciała w to wierzyć. Zmusiła go pod groźbą rewolweru, aby zawiózł ich do oddalonego o pięć kilometrów szpitala. Była pewna, że pójdzie za to za kratki. Ale nie poszła. Interweniował amerykański konsulat. Mikrofilm przerzucono do Stanów, bomby spadły na Hiroszimę i Nagasaki. Nigdy się nie dowiedziała, w jak wielkim stopniu przyczyniła się do tego koszmaru, ale teraz było już po wojnie. Amerykanie twierdzili, że te bomby uratowały setki tysięcy ludzi. Najlepiej było myśleć o tym w taki sposób, alternatywa była zbyt bolesna. Być może rola, jaką odegrali z Johnem w doprowadzeniu do zakończenia wojny, była dziedzictwem, z którym pewnego dnia zdoła się pogodzić. Wystarczyło wiedzieć, że się przyczynili.

Gdy John trafił do szpitala, Frankę umieszczono w bezpiecznym obozie. Od tamtej pory się z nim nie widziała i tylko listownie otrzymała wiadomość, że

cudem przeżył. Przysyłał w listach podziękowania, że ocaliła mu życie swą czystą siłą woli, w kółko obiecywał, że do niej wróci, ale z jakiegoś powodu wciąż czuła się samotna. Nie mogła się zmusić, żeby mu uwierzyć, a nadzieja w niej zgasła, gdy strumień ich korespondencji stopniał do cienkiej strużki.

Zbliżała się noc, ze światła dnia pozostał jedynie blask nad oddalonymi górami Schwarzwald. Franka nie włączyła lampy w kącie. Pomieszczenie wypełniło się mrokiem. Nie było sensu zapalania światła w pokoju, który miała opuścić. Nadszedł czas. Teraz już nie dało się tego uniknąć. Walizka stała przy łóżku. Franka podeszła i spakowała resztę dobytku. Gdy zamykała bagaż, był pełny tylko do połowy. Podniosła walizkę i poczuła w jednej dłoni ciężar tego, co pozostało z jej życia.

Rozległ się cichy odgłos zamykania drzwi sali.

– Mówiłem, że po ciebie wrócę – rozległ się z tyłu głos, który przez ostatnie miesiące słyszała jedynie w snach. Wyciągnęła dłoń do lampy w kącie i zapaliła. Pokój ogarnął złocisty blask, oświetlając miejsce przy drzwiach, gdzie stał John w wojskowym mundurze galowym, ze lśniącem szeregiem medali na piersi. Zdjął czapkę i wetknął pod pachę.

– Nigdy więcej cię nie zostawię.

– Nigdy ci na to nie pozwolę – odrzekła.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona, a wszystkie inne słowa utonęły w ich uścisku.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować swojej żonie Jill za to, że we mnie wierzy i służy mi jako wielozadaniowa konsultantka. Pragnę również podziękować betom za przesiewanie gruzu, jakim były moje wczesne rękopisy. Należą do nich: Jack Layden, Shane Woods, Betsy Frimmer, Carol McDuell, Chris Menier, Jackie Kosbob, Nicola Hogan, Liz Guinan Havens, Morgan Leafe i oczywiście piękna Jill Dempsey. Podziękowania należą się także dr Liz Slaninie i dr. Derekowi Doneganowi za pomoc techniczną. Dziękuję mojemu świetnemu agentowi, Byrdowi Leavellowi, oraz redaktorom – Jennie Free, Erin Anastasii i Willowi Championowi, którego barwny język w uwagach redaktorskich wielokrotnie sprawiał, że śmiałem się w głos. Podziękowania także dla Jodi Warshaw i Chrisa Wenera, moich fantastycznych redaktorów w Lake Union, oraz dla całego przyjaznego, pomocnego i uprzejmego personelu.

Dziękuję mojemu bratu Brianowi za to, że pilnował, bym był uczciwy, a bratu Conorowi za jego udział w zaszczepieniu we mnie miłości do wszystkiego, co związane z historią. Dziękuję także siostrze, Orli, za nieustające wsparcie, oraz, rzecz jasna, rodzicom, Robertowi i Anne Dempseyom, za to, że dzięki nim jestem dziś tym, kim jestem. Ponadto dziękuję moim wspaniałym synom, Robbiemu i Samowi. Jesteście kluczem do wszystkiego i główną siłą prowadzącą mnie naprzód w mojej drodze do stania się takim pisarzem, jakim mam nadzieję pewnego dnia zostać.



## O AUTORZE

Eoin Dempsey urodził się w Dublinie w Irlandii. W 2008 r. przeprowadził się do Filadelfii, gdzie pracuje jako nauczyciel i mieszka ze wspaniałą żoną oraz dwoma synami. Jego debiutancka powieść, wysoko oceniona przez krytyków *Finding Rebecca*, znalazła się w ogólnej pierwszej dziesiątce bestsellerów sieci Amazon. Napisał również powieść *The Bogside Boys*. Można go obserwować na Twitterze: @EoinDempsey1 lub odwiedzić jego stronę: [www.eoindempseybooks.com](http://www.eoindempseybooks.com)